

Prof. Andrzej Romanowski
i historia dla dorosłych

Paweł Łysak
Po co społeczeństwu teatr

Prof. Noam Chomsky
Europa i USA z dala od dyplomacji

**Polskę zalewa zboże
z Ukrainy**

Barbara Labuda

KOŚCIÓŁ NAS OGRAŁ



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115



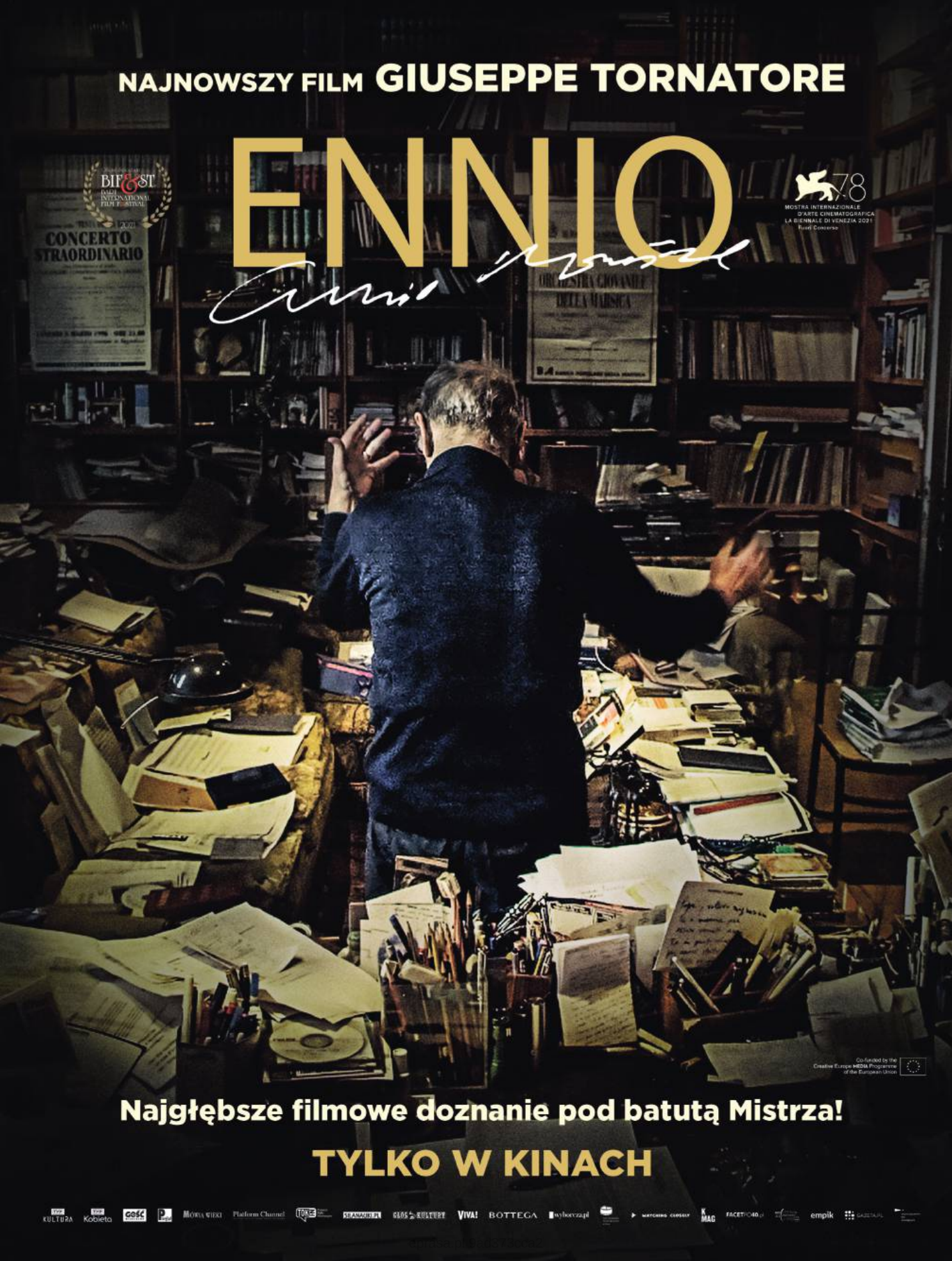
9 771509 311201

29 >

NAJNOWSZY FILM GIUSEPPE TORNATORE

ENNIO

Ennio Morricone



Najgłębsze filmowe doznanie pod batutą Mistrza!

TYLKO W KINACH

Co-funded by the
Creative Europe MEDIA Programme
of the European Union



Międzynarodówka kłamców

Kolejny idol rządzącej w Polsce prawicy odchodzi w niesławie. Skorumpowany kłamca i skandalista Boris Johnson do ostatniej chwili wciągał Polskę do antyunijnych sojuszy. Nie bez powodu. Wiedział, że jest tu sporo polityków sprzyjających takim odśrodkowym ruchom. Powszechnie krytykowany w Wielkiej Brytanii, nad Wisłą uchodził za wybitnego stratega i męża stanu. Choć może to nie powinno dziwić, bo jak się przyjrzeć naszym politykom, to widać, że nietrudno ich omotać. Prezydent Duda i premier Morawiecki to politycy formatu, który bez trudu mieści się w kieszonce marynarki takiego cwaniaka jak Johnson. A Morawiecki kłamie przecież w każdej sprawie z rozmachem, który nawet Johnsonowi może zaimponować.

Co polską prawicę tak u Anglika fascynowało? Bezczelność, z jaką wywijał się z kolejnych opresji? A może zasługi w rozwalaniu Unii Europejskiej i brexit, który Johnson uważa za swoje wielkie osiągnięcie? W przeciwieństwie do jego rodaków. Bo w sprawie brexitu popiera go teraz tylko 28% Brytyjczyków. Reszta widzi w tej decyzji głównie problemy.

Ach, jak ta Unia ciągle w oczy kole wielu ludzi na prawicy. I to nie tylko tych z Solidarnej Polski. Układanie się polskiej prawicy z Johnsonem było jakimś substytutem

miłości do Trumpa, gdy wstawanie z kolan skończyło się klęceniem. Trump to postać na wskroś obrzydliwa. Ale i skrajnie niebezpieczna. Do tego stopnia, że po porażce wyborczej gotów był na czele oszołomów maszerować na Kapitol. Anonimowy ochroniarz, który go powstrzymał, to faktyczny obrońca demokracji. Trumpa zapamiętamy też z tego, jak traktował naszego, pozał się Boże, prezydenta. Duda gotów był na każde upokorzenie, byle tylko móc na chwilę przycupnąć na fotelu w Gabinetie Ovalnym. Jak naród tyle mówiący o dumie mógł to znosić? I kibicować zabiegom Dudy o ciepłą synekurę w ONZ po kadencji? Mało tego. Dla kariery Duda cierpliwie znosił fochy wystanniczki Trumpa w Warszawie. Wiele było w Polsce ambasaderek, ale kogoś porównywalnego do Georgette Mosbacher nie pamiętają najstarsi górale. A o góralach wspominam, bo język, w jakim pani ambasador załatwiała amerykańskie interesy z polskimi politykami i ministrami, był mało dyplomatyczny. Ale za to skuteczny. Robili wszystko, co chciała. I jeszcze mile się uśmiechali. Prawie jak Piotr Kraśko podczas rozmowy, którą z nią przeprowadził w TVN. Można by ten wywiad pokazywać studentom dziennikarstwa, niech zobaczą, co w Polsce określa się jako „wolne media”.

BAKOWSKI



Wakacje z E-PRENUMERATĄ PRZEGLĄDU

Teraz tylko
~~49,90 zł~~ **20 zł**

Aż 60% rabatu
na e-prenumeratę kwartalną:

- dostęp do 12 e-wydań tygodnika
- e-book „Oko smoka” w prezencie
- czytasz, gdziekolwiek jesteś

Promocja ważna
do 31.08.2022



sklep.tygodnikprzeglad.pl

KRAJ

- 8 Kościół nas ograł. Dostał wszystko, czego chciał**
– rozmowa z Barbarą Labudą
- 14 Wzbiera kolejna fala koronawirusa**
Udajemy, że nic się nie dzieje
- 16 Chleba naszego powszedniego**
Ukraińskie zboże dobija rolnictwo
- 19 Z Tuskiem czy osobno?**
Ruchy na lewicy
- 48 Cena życia**
WOPR nad morzem
- 52 Lasy i obywatele**
Ruchy społeczne na rzecz lasów

ZAGRANICA

- 20 Kiedy cyrk zwalnia klauna**
Dymisja Borisa Johnsona
- 26 Sprawa Juliana Assange'a**
Co dalej z wolnością mediów
- 30 Kto i dlaczego lata na naszym niebie?**
Tajemnicze samoloty

WOJSKO

- 24 Potencjał zdalnego odstraszenia**
Wojsko amerykańskie w Polsce

HISTORIA

- 32 Zbrodnia „lisa z Radomia”**
Pacyfikacja Garbatki-Letniska

OPINIE

- 34 Historia dla dorosłych**
Eseje prof. Andrzeja Romanowskiego
- 37 Niemoralne gry**
– rozmowa z Noamem Chomskym

KULTURA

- 40 Po co społeczeństwu teatr**
– rozmowa z Pawłem Łysakiem
- 44 Czeladnik, dostawca, maestro**
Niezapomniany Ennio Morricone
- 47 Culturalia**
- 66 Beksiński na Śląsku**

OBSERWACJE

- 56 Parmezan na celowniku oszustów**
Serowarzy kontra podróbki

ZWIERZĘTA

- 58 Kokainowe hipopotamy Escobara**
Utrapienie dla ekologów

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Międzynarodówka kłamców
- 13 Jan Widacki**
Sędziowie pokoju
- 23 Roman Kurkiewicz**
Hamak, teflon, wojna, biznes
- 29 Tomasz Jastrun**
Czasy ciemniaków
- 51 Wojciech Kuczok**
Blizna po macierzy
- 55 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Po co otwierać mikrofon



52
KRAJ

LASY I OBYWATELE

Ruchy społeczne na rzecz ochrony lasów



56
OBSERWACJE

PARMEZAN NA CELOWNIKU OSZUSTÓW

Serowarzy kontra podróbki



58
ZWIERZĘTA

KOKAINOWE HIPOPOTAMY ESCOBARA

Utrapienie dla ekologów

Projekt okładki: Ed Mund

NA OKŁADCE Z BARBARĄ LABUDĄ BRONISŁAW GEREMEK I JACEK KUROŃ.
I ZJAZD PARTII RUCH OBYWATELSKI-AKCJA DEMOKRATYCZNA, 27 STYCZNIA 1991 R.
FOT. PAP/CAF/TEODOR WALCZAK, KRZYSZTOF ZUCZKOWSKI



f To nie wysokość płac odpowiada za drożyznę

Lewico, w tym kraju są też ludzie, którzy pracują na własny rachunek, nie myślę o śmieciówkach. To też są ludzie pracy. Zaczniecie w końcu o nich myśleć, upominać się o nich? Może oni też chcą mniej pracować i zarabiać tyle samo, może chcą, żeby pomóc im się uwolnić od morderczego ZUS? Wielu drobnych przedsiębiorców zamyka biznes, bo zarabia zbyt mało, żeby zapłacić ZUS. Uważam, że każdy, także etatowiec, powinien móc płacić minimalny ZUS. Ale od podstawy należy obliczać składkę procentowo – tak pracownikom, jak i przedsiębiorcom. Każdy powinien być traktowany równo.



Przez ostatnie lata lewica nie rządziła. Ciekawe, dlaczego liberalowie i prawica nie zmienili systemu? Ponieważ opłaca się on bogatym biznesmenom. Podatek nie jest sprawiedliwy – taka sama kwota składek, np. 1,2 tys. zł, jest kulą u nogi dla przedsiębiorcy czy

Rafał Czarnecki

pracownika, który zarabia 3,5 tys. zł, ale dla biznesmena, który zarabia 10 tys. zł, to już nie jest duża kwota. Też jestem za tym, aby zasady (nie kwoty) opodatkowania i oskładkowania były takie same dla wszystkich obywateli. Zarobiłeś 2 tys. zł, płacisz od 2 tys. zł, zarobiłeś 10 tys. zł, płacisz od 10 tys. zł, niezależnie od tego, czy jesteś pracownikiem, czy przedsiębiorcą.

Marcin Szymański

Oczywiście, że to nie wysokość płac odpowiada za drożyznę. Wystarczy przyrzeć się faktom. Nagły wzrost cen nie jest spowodowany wzrostem płac, bo wzrostów płac po prostu nie było.

Piotr Krajewski

f Do polityki idą coraz gorsi



Do polityki idą ci, dla których bogiem są pieniądze. Dla nich zrobią dosłownie wszystko.

Jolita Poznańska

Najbardziej pożądaną cechą jest brak kręgosłupa i bezdyskusyjne słuchanie władz partii.

Rafał Pietrzak

To skutek ordynacji wyborczej. Głosujemy na partię, a nie na ludzi. Tymczasem partią zarządza prezes, który otacza się ludźmi miernymi, ale wiernymi, by nikt nie mógł zagrozić jego pozycji.

Robert Olejniczak

Prawo Kopernika sprawdza się zarówno w bankowości, jak i w polityce, policji, wojsku, służbie zdrowia, administracji. Wszędzie. Jakoś tak jest, że w czasach ustabilizowanej władzy zawsze awansują miernoty.

Marek Głowinkowski

f Pułkownik i jego goście

Dla mojego taty, starego wiarusa, który w Korpusie Polskim gen. Andresa wyzwał Bolonię, gen. Jaruzelski był prawdziwym patriotą, który ustrzegł ojczyznę przed wojną domową. Ojczyznę, do której tata wrócił z Anglii w maju 1947 r. Nigdy nie był w partii, a całe życie uczciwie pracował. Twierdził, że wojna domowa jest najgorszą z wojen.

Waleria Lubner



ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski



Michał Kołodziejczak: „Wszystkie te państwowe spółki rzną nas, jak mogą, zdzierają z nas skórę bez znieczulenia”. Protest Agrounii, Warszawa 7 lipca 2022 r.

Już 6,5% wynosi główna stopa procentowa NBP. Nawyżej od 2004 r. Oprocentowanie kredytów, w tym kredytów hipotecznych, wynosi 7,41%. W ubiegłym roku było to 0,25%.

Odsetek Polaków uczestniczących w liturgii przynajmniej w każdą niedzielę spadł z 49% w 2018 r. do 37% w 2022 r. (badanie CBOS).

Na 28 postępowań, jakie prowadzi Watykan w sprawie biskupów tuszących przestępstwa seksualne w Kościele, aż 16 dotyczyło i dotyczy polskich biskupów (portal Bishop Accountability i „Nie”).

Z bonów turystycznych w ciągu dwóch lat skorzystało 5,8 mln dzieci. Beneficjenci wydali już 2,3 mld zł, które trafiły do ok. 28 tys. obiektów noclegowych i organizatorów turystyki.

Zasługi **Michała Dworczyka**, szefa kancelarii premiera, w ujawnieniu machlojek władzy są tak wielkie, że gdy już PiS straci władzę, akurat ten minister powinien mieć obniżoną karę. Nikt lepiej od niego nie kompromituje premiera, prezes Trybunału Konstytucyjnego, ministrów i partii władzy.

19 czerwca polskie OZE, czyli fotowoltaika i farmy wiatrowe, wyprodukowały ponad połowę krajowego zapotrzebowania na energię, a 24 czerwca ponad jedną czwartą prądu w Polsce, czyli więcej niż elektrownie w Bełchatowie, Turowie i Koninie razem.

Prokuratura Rejonowa Warszawa-Żoliborz złożyła apelację do Sądu Apelacyjnego w Białymstoku na korzyść oskarżonych i skazanych na kary więzienia

liderów faszystującej organizacji ONR. I tak prokuratura zamieniła się w adwokata skazanych ONR-owców.

Katarzyna Wielga-Skolimowska, była dyrektorka Instytutu Polskiego w Berlinie, zwolniona przez PiS, bo nie chciała promować filmu „Smoleńsk”, została szefową Kulturstiftung des Bundes – niemieckiego funduszu wspierającego ogólnokrajowe i międzynarodowe projekty kulturalne.

Upychanie rodzin polityków PiS na dobrze płatnych posadach i wydawanie pieniędzy podatników na gadżety. Taki jest wynik kontroli NIK w **Instytucie de Republica** powołanym przez premiera Morawieckiego w 2021 r. Siedziba w luksusowym hotelu Regent, ponad 800 tys. zł na gadżety z logo, czekoladki, torby, kubki itp. I Hanna Lichocka, matka posłanki PiS Joanny Lichockiej, w radzie Instytutu.

Nad Soliną w Bieszczadach uruchomiono kolejkę gondolową. Kosztowała ok. 100 mln zł i jest pierwszą górską kolejką, której trasa o długości ok. 1,6 km prowadzi nad zaporą wodną, będącą czynną elektrownią.

Tylko 18,5 tys. gospodarstw w Polsce legitymuje się certyfikatem ekologicznym. Na te uprawy przeznaczono 3,5% areалу gruntów ornych.

21% Polaków pali codziennie papierosy (Ministerstwo Zdrowia, dane z 2019 r.).

Ministerstwo Finansów to prawdziwy moloch. W 2015 r. zatrudniało 2002 osoby, a w tym roku już 2597. Jeszcze szybciej rosną wydatki na płace. Ze 163 mln zł do 297 mln zł.

PRZEBŁYSKI

Ponury świat z BNP Paribas

Francuski bank wydał ogromną kasę na reklamę. I co? Sprawdziła się co do joty. BNP Paribas Bank Polska w tysiącach spotów telewizyjnych, plakatów i ulotek reklamował się jako „bank zmieniającego się świata”. I faktycznie – rolnicy mający kredyty w BNP Paribas znaleźli się w nowym, ponurym świecie. Wszystkie opłaty rosną w szaleńczym tempie. Bankowe prowizje biją rolników po kieszeni. Szaleją wynajęci windykatorzy i komornicy. Dla francuskiego właściciela banku liczą się tylko kolejne miliony euro. Wicepremier Kowalczyk nie widzi problemu. Ale czy rolnicy przeżyją bez polskiego banku?



Kulasek na tropie fałszywki

Wielki to pan. I wielka władza jego. Imć Marcin Kulasek, dożywotni sekretarz generalny u Włodzimierza Czarzastego, ogłosił, że dopiero co powołane Stowarzyszenie Lewicy Demokratycznej to fałszywka. A w takim razie wicemarszałek Senatu Gabriela Morawska-Stanecka, posłowie Joanna Senyszyn, Robert Kwiatkowski i Andrzej Rozenek są fałszerzami... znaku SLD. Zdaniem Kulaska, ten znak przejęła fundacja, którą reprezentuje tenże Kulasek. Ciekawa jest zresztą ta fundacja, a jeszcze ciekawszy jest jej zamysł, by ten przejęty symbol zakopać. Kulasek straszy Stowarzyszenie Lewicy Demokratycznej sądem. A od sądu domaga się, by Stowarzyszenie wykreślił z rejestru. Czekamy więc na ten proces i występy Kulaska w TVP Info.



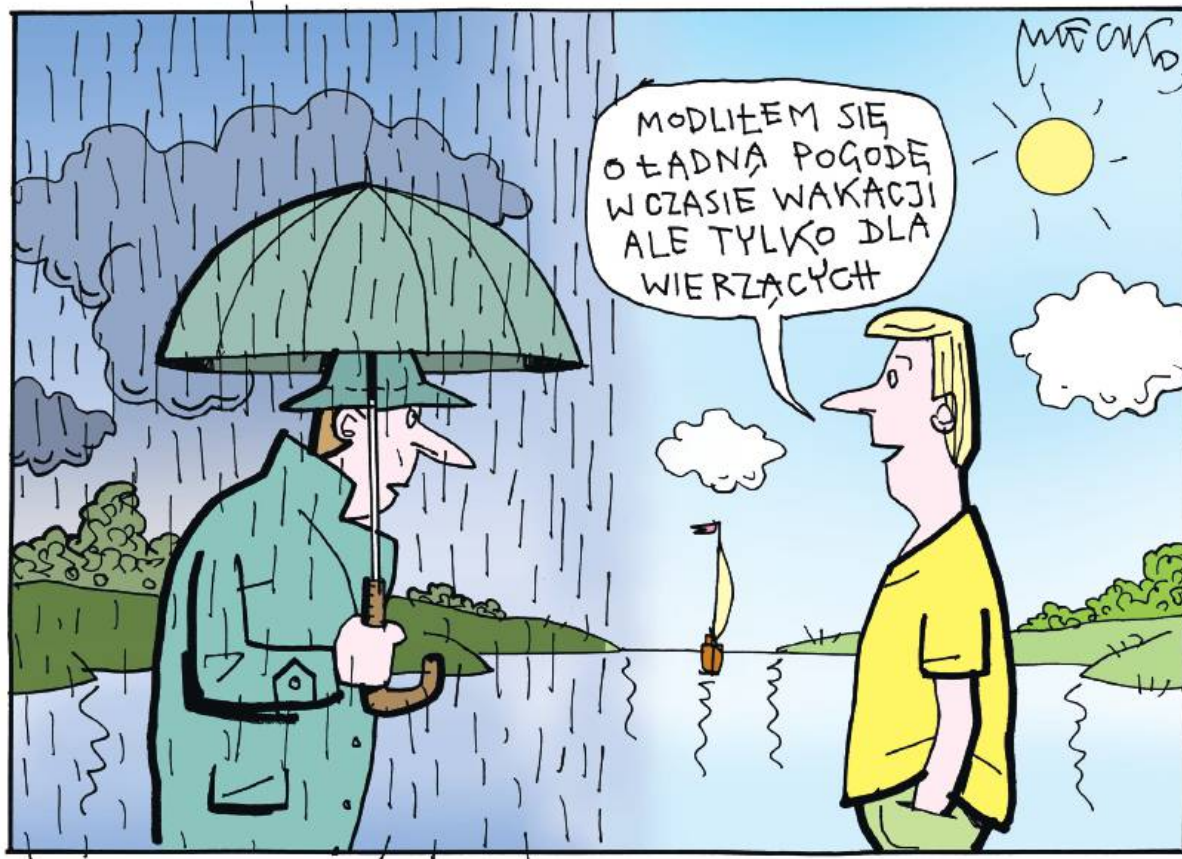
Polska nędza w Braszowie

A może by ich wysłać do Rumunii. Kogo? Wiceministrów spraw zagranicznych. Pawła Jabłońskiego i Marcina Przydacza. Razem lub osobno. Mogliby trafić do konsulatu w Braszowie. Nawet na konsula. A niech tam. Pasują do tych potwornie brudnych flag przy wejściu. I do stojących obok kubłów na śmieci. Na drogę mogą wziąć farby, mopy i proszek do prania. No to kiedy wyjazd?

Michniewicz za, a nawet przeciw

Sława trenera Czesława Michniewicza nabiera międzynarodowego rozpędu. I już M. przerasta popularnością reprezentację. Choć nasze 1:6 z Belgią też zrobiło spore wrażenie. Do znanych już „711” i „27” największa hiszpańska gazeta sportowa „Marca” dorzuciła nowe: „El Barbero” i „Capo del fútbol”.

A że Michniewicz człowiekiem zmiennym jest, to widać po traktowaniu dwóch piłkarzy grających w Rosji. Macieja Rybusa wyrzucił z kadry... bo gra w moskiewskim klubie, a Sebastiana Szymanowskiego powołał do reprezentacji... mimo że gra w Rosji.



PYTANIE TYGODNIA | Czy dziś najważniejsi dla polityków są wyborcy emeryci?

DR HAB. JAROSŁAW FLIS,

socjolog, komentator polityczny, UJ

Nie widzę uzasadnienia dla takiej tezy. Po prostu poszczególne partie mają różnych wyborców i różne cele. Na pewno są ugrupowania, dla których emeryci są bardzo ważni, choćby dlatego, że stanowią większość ich elektoratu, trwałą bazę niezbędną im do politycznego przetrwania. Mam natomiast wątpliwości, czy zabieganie o seniorów jest kluczowe dla zwycięstwa w wyborach. Najstarsi głoszący są bowiem grupą, która najrzadziej zmienia preferencje wyborcze.

WIESŁAW GAŁĄZKA,

dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

Wyraźnie widać, że wszystkie partie skierowały wzrok na starszą część społeczeństwa, m.in. w kontekście doniesień o pogarszaniu się jej sytuacji materialnej. Większość seniorów chodzi na wybory, więc przeciąganie ich na swoją stronę jest teraz jedną z głównych aktywności poszczególnych formacji politycznych.

Rzecz jasna starsi wyborcy PiS są elektorem betonowym, ale wśród emerytów są także osoby niezdecydowane, np. wahające się między Hołownią a Tuskiem. Dziwię się, że opozycja nie wygenerowała żadnego programu adresowanego do tej części społeczeństwa, nie zaproponowała zniesienia opodatkowania emerytur.

MACIEJ KONIECZNY,

poseł Razem

Lewica nie może zapominać o żadnej grupie wiekowej. Coraz chętniej głoszą na nas najmłodszy wyborcy. W niczym nie zmienia to faktu, że emeryci są dla nas bardzo ważni. Mamy dla nich konkretną ofertę: domagamy się drugiej waloryzacji emerytur w tym roku. Świadczenia muszą nadążać za inflacją.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

JÓZEF BRZOZOWSKI

Najważniejsze dla polityków są haki na innych polityków. Reszta jest do opanowania.

MATEUSZ NIKSA

Może nie najważniejsi, ale to duża, spójna i przewidywalna grupa, podatna na sugestie i skłonna do polaryzacji. Co więcej, jej oczekiwania są możliwe do spełnienia w prosty sposób.

DAMIAN PAWEŁ STRĄCZYK

W dużym stopniu tak, bo to do tej grupy wyborców jest skierowany strumień pieniędzy. Natomiast nauczyciele na ogół nie stanowią elektoratu PiS, więc dostają nędzne 4,4%, czyli nic.

EWA WESOŁOWSKA

Emeryci nie są grupą jednorodną, łączy ich wiek i przepracowane lata, dzieli miejsce zamieszkania i wykształcenie. PiS adresuje działania do emerytów spoza dużych miast i o niskim wykształceniu. Dla tej partii osoby starsze liczą się tak samo jak reszta społeczeństwa – stanowią „mięso wyborcze”.

Not. Michał Sobczyk

KOŚCIÓŁ NAS OGRAŁ

Dostał wszystko, czego chciał

U nas Kościół jest jak twierdza, która albo czuje się oblegana, albo sama robi wypad

Rozmawia Robert Walenciak

Patrząc na III RP z perspektywy roku 2022, ograł nas Kościół?

– Tak. Kościół właściwie osiągnął to, co chciał.

Boli to panią?

– To boli osoby o otwartych poglądach, laickich. Łączę to z francuskim *laïcité*, chodzi mi o korpus wartości z tym związany, czyli sytuację, w której Kościół jest oddzielony do państwa. W wielu krajach tak to działa. Jest zachowana równowaga, jest uszanowanie i zrozumienie, że są ludzie widzący w Kościele instancję, która pomaga im w sensie moralnym, także psychicznym. Państwo to wspiera, również finansowo. Ale zarazem Kościół nie może przekroczyć pewnych granic. Nie może mieszać się do polityki, nie wolno publicznie, z urzędu biskupiego wygłaszać poglądów zachęcających obywateli do postaw politycznych.

Taki Kościół jest zamknięty w swojej twierdzy.

– Nieprawda! We Francji Kościół jest otwarty. Kard. Lustiger kiedyś powiedział: „Jesteśmy biedni, ale wolni”. Jako instytucja. Bo nikt ich nie zobowiązuje, jak u nas, do wygłaszania deklaracji politycznych. U nas duchowni zupełnie inaczej rozumieją rolę Kościoła. Mają poczucie misji politycznej. I to u nas Kościół jest jak twierdza, która albo czuje się oblegana, albo sama robi wypad. Przeważnie robi wypad na wolną przestrzeń obywatelską i tam dokonuje podbojów.

Biskup włocławski Wiesław Mering mówił do Jarosława Kaczyńskiego: „Pańskie sukcesy są naszymi sukcesami. Dziękujemy Panu Bogu, że PiS rządzi”. Wiemy, dlaczego tak mówił.



Barbara Labuda – w latach 70. współpracowała z KOR, potem działała w Solidarności, skazana w stanie wojennym na 1,5 roku więzienia. Po roku 1989 posłanka z ramienia Komitetu Obywatelskiego, potem

Unii Demokratycznej. Jedna z liderek komitetów społecznych zbierających podpisy pod wnioskiem o referendum w sprawie dopuszczalności przerywania ciąży (1992). W latach 1995-2005 minister w kancelarii

prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Członkini Rady Programowej Kongresu Kobiet, działała też w komitecie poparcia partii Wiosna oraz w gronie ekspertów Ogólnopolskiego Strajku Kobiet.

– W tym sensie Kościół wygrał, jak również nas ograł. Bo osiągnął wszystko, co można. Ma majątki, ma władzę polityczną, ma władzę moralną, ma władzę w sprawach społecznych, wpływa na legislaturę, ma duży wpływ na to, jakie ustawy zostaną przyjęte. I jeszcze ma władzę nad wiecznością. Ale wszystkiego nie ma.

Czego nie ma?

– Nie ma szacunku ludzi. On upada. Pamiętamy, co było 30 lat temu – Kościół cieszył się niekwestionowanym szacunkiem, podziwem, wdzięcznością. To się skończyło! Teraz jest to instytucja kontrolująca. A ludzie boją się jej, więc zachowują pozory.

Jakie pozory?

– Typu: ochrzczę dzieci – na wszelki wypadek. Weźmiemy ślub kościelny – na wszelki wypadek... Ludzie często nie rozumieją tych rytuałów, sakramentów, nie wiedzą, o co

żebyśmy wyszli z podziemia, przestali się buntować. A wtedy Kościół wszystko za nas załatwi. Myśmy się temu sprzeciwiali.

Biskupi pośredniczyli między wami a władzą.

– Kościół wykorzystał tę sytuację, uważam, że bardzo zręcznie, i był wszędzie tam, gdzie podejmowano decyzje. W Magdalence czy przy Okrągłym Stole – wszędzie byli duchowni. Kościół już nie odpuścił, cały czas trzymał lejce i w III RP wykorzystał tę wdzięczność. To było autentyczne uczucie. Po roku 1989 Kościół nie powiedział: sprawa załatwiona, więc teraz wracamy na swój teren, a wy, wolni ludzie, róbcie z tym państwem, co chcecie. Nie, uznał, że dalej będzie odgrywał wiodącą rolę. Pamiętam lata 90. w Sejmie, listy biskupów do posłów. Ja też je dostawałam – jak mam głosić, jaka ustawa jest dobra, a jaka

Kościół ma majątki, ma władzę polityczną, ma władzę moralną, ale nie ma szacunku ludzi.

w nich chodzi. Ale na wszelki wypadek biorą ślub kościelny, chrzczą dzieci. Zawsze mnie zdumiewało, dlaczego to robią. Moim zdaniem jest to rodzaj zniewolenia. Gdzieś, kiedyś to ziarno zostało zasiane. Nasze społeczeństwo jest przesiąknięte katolicyzmem pozornym, obrzędowym, powierzchownym.

Autentyczne poczucie wdzięczności

Cofnijmy się do lat 90. Dlaczego Kościół wtedy dostawał wszystko, co chciał? Dlaczego politycy we wszystkim mu ustępowali?

– Dostawał, bo w mojej formacji, solidarnościowej, dominowało poczucie wdzięczności wobec Kościoła. Moim zdaniem nie było ono za bardzo oparte na faktach. Zasługi Kościoła w popieraniu Solidarności, także podziemnej, były wyolbrzymione. To było nie tylko moje wrażenie, także Bogdana Borusewicz czy Zbigniewa Bujaka. Mówiliśmy o tym wielokrotnie, że Kościół nie wspierał nas w stanie wojennym. Że nas namawiali,

zła. Było tak, że prymas w kościele wytykał postanekę, bo „źle” zagłosowała. Ten przykład pokazuje, co się wówczas stało. Wymieszanie poczucia wdzięczności, które prowadziło do uległości ze strony osób laickich, i poczucia wyższości Kościoła. Że jemu wszystko się należy!

Jak dawali, to brał.

– Uległość nieprawdopodobna! Wyćwiczona od wieków, obecna u wielu ludzi związanych z Kościołem, z prawicą, wierzących. Ale także niewierzących, którzy się wycofywali. Mówię o części naszych, osobach światłych, o otwartym umyśle, niewierzących, bądź związanych z innymi religiami. Nastąpił rodzaj reżera dy. Ludzie dochodzili do wniosku, że opór nie ma szans. Przegrywaliśmy! Wszystkie nasze propozycje padały, Kościół obrastał w siłę. Miał wsparcie polityczne i finansowe władz. I zaczął przenosić swoją przestrzeń religijną na instytucje i na ceremonie państwowe. Nic się nie zaczynało bez mszy! Musiało być kropidło i duchowny, który wygłaszał mowy, był źródłem moralności i mądrości.

Ale przecież w Solidarności było wielu światłych ludzi. Nie wiedzieli, w którym kierunku to zmierza?

– Wiedzieli. Oczywiście! I bardzo tym się martwili. Zaczęliśmy się więc sprzeciwiać. I co się okazało? Że osoby, które zaczęły uchodzić za antyklerykalne, mówię tu o naszej grupie solidarnościowej, choć moim zdaniem to też zaczęło się dziać na lewicy, zaczęto klasyfikować jako niewygodne.

Co to znaczy?

– Ano to, że nie wpuszczano ich na listy wyborcze. Bo będą prowokować awantury, a przecież, jak mówiono, nie można drażnić Kościoła. Pytano mnie: „Basia, po co ty tak drażnisz ten Kościół? Machnij ręką!”. To była główna filozofia takiego racjonalnego konformizmu – machnij ręką! Po co się szarpać? A nie byłam sama, było więcej osób zbuntowanych, to były nasze przekonania, byliśmy przerażeni wpływem Kościoła, klerikalizacją. Podobne nastroje były w SLD – Izabella Sierakowska, Danuta Waniek, Jolanta Banach, że tylko je wspomnę, to przecież kobiety z twardym charakterem. Wspaniale. I nie daliśmy rady. Najważniejszą siłą i grupą polityczną, grupą zawodową, stawali się duchowni. Ta grupa zawodowa na dziesięciolecia zdobyła największy wpływ na wszystko.

Mówili, że tak trzeba

Manifestacją ich siły było to, jak potraktowano 1,7 mln podpisów zebranych pod wnioskiem o referendum w sprawie prawa do przerwania ciąży. 30 lat temu, 24 lipca 1992 r., Sejm wyrzucił je do kosza.

– Na zwycięstwo Kościoła składają się różne cegiełki, mniejsze i większe. Także to, że większość instytucji państwa była wobec biskupów ustępliwa. W tym Trybunał Konstytucyjny. Pamiętam, jak składaliśmy do Trybunału wnioski, ja składałam w imieniu Parlamentarnej Grupy Kobiet. A Trybunał wszystko, co uważał za szkodliwe dla Kościoła, za antyklerykalne, ogłaszał za niezgodne z konstytucją. I to przepadało. Taki był Trybunał Konstytucyjny! Ze swoim wysokim statusem, szanowany, bo sędziowie najwyższej próby. Bo to instytucja, która ma mówić, co jest zgodne ►

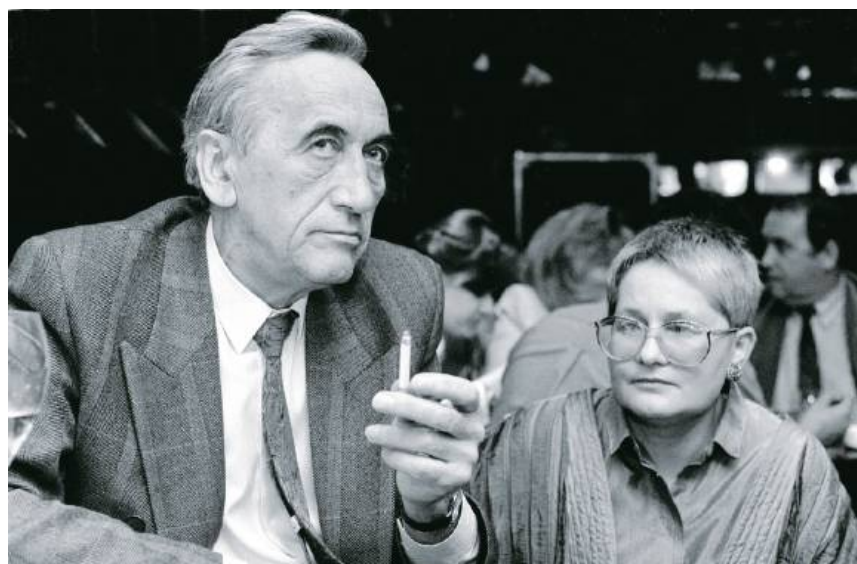
► z konstytucją, a co nie. I mówiła – że to, co nie podoba się Kościołowi, jest niewłaściwe. Koniec, kropka. Ale to nie był tylko Trybunał Konstytucyjny! Religia do szkół wprowadzona instrukcją, w sierpniu 1990 r. Bardzo szybko! Pamiętam jakie awantury, jakie toczyły się z tego powodu w naszej grupie.

A jak Samsonowicz to tłumaczył?

– Dokładnie tego nie pamiętam, ale sens był taki – że trzeba. Takie było wtedy myślenie. Powszechne! Także tych, którzy byli krytyczni wobec Kościoła i nie mieli do niego zaufania. A i tak go wspierali. Jacek Kuroń mówił, że Kościół jest nam potrzebny do możliwie jak najłagodniejszego przeprowadzenia bardzo



Rejestracja w sądzie partii Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna ROAD. Nz. od lewej: Andrzej Wierulowiecki, Barbara Labuda, Henryk Wujec. Warszawa, grudzień 1990 r.



Z Tadeuszem Mazowieckim, Warszawa, 6 maja 1992 r.

Bo czuli się ponad państwem i prawem?

– Uważali za normalne, że niczego nie zgłasza się do prokuratury. Wszystko zatrzymywali w środku, a księdza, który dokonał przestępstwa, przenosili do innej parafii. Przepraszam – czy zgodzilibyśmy się przenieść murarza pedofila na inną budowę, gdyby się okazało, że jest notorycznym gwałcicielem? Zdumiewa poczucie bezkarności Kościoła. Ale ono nie wzięło się znikąd, tylko z poczucia akceptacji w społeczeństwie, akceptacji władz wszystkich szczebli. Od samej góry po sołtysa akceptowano wyższość Kościoła, jego pychę, zachcianki, wtrącanie się we wszystko. Jak księża zwracają się do ludzi? Po imieniu. Także do starszych pań. Kobiety całują księży w rękę. To są postawy uniżoności, bałwochwalstwa.

Referendum – to był wielki ruch!

Dlaczego ludzie korzyli się przed Kościołem?

– Ludzie mają wielką potrzebę więzi z czymś, co uważają za

ciężkich reform, które są w Polsce konieczne. Tak dosłownie mówił.

Czyli po to, żeby ludzie nie zbuntowali się przeciwko Balcerowiczowi, trzeba było mieć poparcie podczas mszy w niedzielę. I za to zapłacić.

– Lekcje katechezy wprowadzono do szkół instrukcją, bez konsultacji z kimkolwiek. To było niezgodne z prawem, bo katecheza powinna wejść do szkół drogą ustawy. Pewnie ta ustawa by w Sejmie przeszła, bo by nas stłamszono, tę garść posłów, która się sprzeciwiała. Mówię tu o postach wywodzących się z Solidarności. Bo grupa popezeteperowska była wtedy tak przerażona, że głosowała za wszystkim, czego zażyczył sobie Kościół.

Gdy rządził SLD, komisja majątkowa też szła Kościołowi na rękę.

– To było jakieś wynaturzenie! Zamknięta komisja, gdzie przyznaje się Kościołowi majątek. Nasz wspólny majątek, własność naszego kraju! Państwo obrosło instytucjami, które służyły wyłącznie spełnianiu zachcianek Kościoła. W Komisji Wspólnej konsultowano z episkopatem projekty ustaw. Przyznano więc rolę wyjątkową, specjalną jednej instytucji w państwie. Instytucji, która w dodatku ma wielką możliwość wpływania na ludzi, odwołując się do wiary, do moralności. To bardzo rozwinęło tę beczelność wewnętrzkościelną – zepsucie, amoralność i przede wszystkim pedofilię.

większe, lepsze i wspaniałe. Lepsze moralnie! Wiary w Boga, w absolut. Dlatego że potrzebują logiki w tym, co się dzieje, jakiegoś sensu, porządku. I to Kościół im daje. Daje wiarę, że jak się pomodli do Matki Boskiej, to ona mnie otoczy opieką i pozwoli przetrwać. To jest perfidne wykorzystywanie ludzkich słabości, ale Kościół na tym opiera swoją władzę.

A politycy kombinują, że jak się ułożą z taką instytucją, to zyskają, to się optaci. Więc podlizywali się biskupom.

– Żeby księża ich nie atakowali. Choć warto powiedzieć, że bardzo wielu wyborców głosowało na antyklerykałów. Mogę dać swój przykład – przez całe lata, gdy kandydowałam, dostawałam na liście najwięcej głosów. A przecież nie rezygnowałam ze swoich poglądów. Ludzie chcieli, żeby byli obecni w Sejmie. Po to przychodzili na moje spotkania – żeby posłuchać, jak Kościół oszukuje, jak okrada, o jego triumfalizmie, jaki jest zepsuty w środku i jak to wpływa na życie polityczne. Bo część z socjotechnik kościelnych przeszła do życia publicznego. Spowiadanie się. Potępienie. Moralizowanie. Poczucie wyższości. Książd ogłasza – tu jest dobro, a tu zło, tych potępimy, tych pochwalimy. Poza jakimkolwiek merytorycznym porządkiem. To zdeprawowało ludzi w Polsce.

Zasługi Kościoła w popieraniu Solidarności, także podziemnej, były wyolbrzymione.

Co się stało z tymi, którzy próbowali zatrzymać Kościół?

– Te wszystkie grupy, które były przeciw, stopniowo stawały się niszowe. Przegraliśmy. Ale nie można mówić, że bez walki. To długo trwało, a my próbowaliśmy w kurczącej się przestrzeni wolności walczyć o swoje przekonania. Wielka praca referendalna, zbieranie podpisów o referendum w sprawie prawa do przerywania ciąży, zbudowała wielki ruch społeczny. To był ruch oddolny, największy od czasów pierwszej Solidarności. Było w nim mnóstwo ludzi, z różnych stron, od małych miejscowości po duże miasta, bo ludzie byli w szoku,

że można wprowadzić tak drakońskie prawo. Byli też z nami wielcy intelektualiści, pisarze, aktorzy. Gdy to upadło, to był dla ludzi wielki cios. Wydawało się, że tak wiele zrobiliśmy, tak wielka była agitacja, to trwało przecież grubo ponad rok i cały ten wysiłek został wywalony przez prezydium Sejmu do kosza.

Te podpisy.

– Nie chodziło tylko o podpisy. Bardzo ważne były spotkania, dyskusje o przyszłości kraju, siła psychiczna, moralna, która się pojawiała. Myśmy objeżdżali cały kraj. Szefowaliśmy różnym ciałom wokół referendum. I wyrzucono to do kosza. To była klęska, ludzie bardzo to przeżywali. Powstały na tej bazie organizacje brońące świeckości państwa. A potem one się kurczyły, coraz mniej znaczyły i były coraz bardziej prześladowane.

Jak to się działo?

– Jak? Powstało pismo „Bez Dogmatu”. Na bardzo wysokim poziomie, dotyczące świeckości państwa, różnych obszarów życia, gdzie nie rządzi siła ideologiczna. Prowadziła je wybitna profesorka Basia Stanosz. I musiała finansować je z własnej kieszeni. Było „Neutrum”, jak w stanie wojennym drukowane niemal w podziemiu. Zasięg tych pism był nieduży, ale opisywały ważne rzeczy. Na przykład prześladowania i szkany wobec uczniów, którzy byli

To było argumentowanie na zasadzie – daj spokój, po co się awanturować?

– Owo łagodne, aksamitne tłumaczenie było niebezpieczne. Bo to ludzi rozbraja. Jak nie masz w sobie wściekłości, to myślisz, że może rzeczywiście to nic strasznego. Przyjmuje się wtedy perspektywę wycofywania się albo machania ręką. I to machanie ręką zdarzało się coraz częściej. Miałam w otoczeniu prawie samych agnostyków i ateistów. I co słyszałam od nich? „No dobra, masz rację w tym, co robisz, ale zaczyna to być męczące, nic nie wskórasz. Poczekaj. To samo umrze. Przecież ludzie z tym nie wytrzymają”.

Czy ta twierdza kruszeje?

A okazało się, że nic nie umarło. Kościół przestał być otoczony, twierdzą, tylko stał się twierdzą zdobywającą.

**49 zł
20 zł**

**29,90 zł
9,90 zł**

Pierwsi w walce z faszyzmem

17 lipca przypada 86. rocznica wybuchu wojny w Hiszpanii

Zamów książkę na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka
listem nierejestrowanym Poczta Polska



Konferencja w sprawie ustawy oświatowej, Warszawa, 11 lutego 1999 r.

– Twierdzą zdobywającą wypadem! Na przykład poprzez bezczelne żądanie od polityków wszystkiego dla siebie. Albo poprzez doprowadzenie do przyjęcia kościelnego punktu widzenia na wszystko związane z życiem codziennym. Także poprzez słownictwo. Nie mówi się embrion albo płód. Mówi się – dziecko poczęte. A to jest pojęcie religijne, ideologiczne. Cywilizacja śmierci? Tak Kościół mówi o ateizmie. O humanistycznym podejściu do człowieka, które jest kompletną przeciwnością cywilizacji śmierci.

oddziaływania psychologicznego. Wobec innych – pedagogikę zawstydzania. Kto to wytrzyma? Ilu takich wariatów może być w Polsce?

Niewielu.

– Ale właśnie te wariatki i ci wariaci rozpoczęli walkę w Polsce przeciwko pedofilii. Do tego dorzuciłbym wojnę wytoczoną Kościołowi przez dziewczyny związane z Partią Razem i ze Strajkiem Kobiet. Oraz grupę dziennikarek i dziennikarzy, którzy to wspierają, informują, robią wywiady. To wielka rzecz, bo z nami w latach 90. bano się robić wywiady!

Pytano mnie: „Basia, po co ty tak drażnisz ten Kościół? Machnij ręką!”.

Kobiety, które stosują antykoncepcję albo na ten temat się wypowiadają, to rozpustnice. Pamiętam listy od kobiet, dostawałam ich po 200 tygodniowo! Wstrząsające opisy! Wyklinali z ambon po nazwisku – że pojechała do drugiej miejscowości. Pewnie przerwać ciężę! Albo kupić środek antykoncepcyjny. Bo Kościół zaczął walczyć nie tylko z aborcją, ale i z antykoncepcją.

Te wszystkie działania okazały się skuteczne.

– Bo była ze strony Kościoła bezwzględna chęć zdobywania władzy, pieniędzy, wpływów. I Kościół dążył do tego różnymi środkami. Wobec jednych stosował miękkie metody

Tę nową sytuację musiał zauważyć Donald Tusk, który niedawno mówił, że w Polsce nastąpił faktyczny rozdział Kościoła od społeczeństwa.

– A, Tusk! Pewnie w którymś z sondaży przeprowadzonych na potrzeby partii i kampanii wyborczej wyszło im, że naród nie jest już takim bezkrytycznym zwolennikiem obecności Kościoła we wszystkich obszarach życia.

Kiedy ludziom Kościół się podobał, Tusk zaciągnął żonę Małgosię do ślubu kościelnego.

– Pamiętam też jego wywiady, co on w nich opowiadał! Że nie wolno krytykować Kościoła. To mnie zdumiało: dlaczego nie wolno? To

jest taka sama instytucja jak inne. A teraz prawdopodobnie doszedł do wniosku, że sympatia wyborców się zmieniła. Bo sondaże pokazały, że ludzie są Kościołem głęboko rozczarowani i że to, co nazwaliśmy sobie na początku rozmowy wygraną Kościoła, obraca się teraz przeciwko niemu.

Bo często jest też tak – to również mówi Tusk – że człowiek idzie na mszę do kościoła, a czuje się, jakby poszedł na zebranie partyjne PiS.

– Kościół i PiS wspierają się wzajemnie. Muszą. Bo z kim mają się dogadywać?

To dodaje im sił?

– Gdyby nie Kościół, PiS miałoby 20-25% poparcia. Przecież to jest zlepek. Kościół, telewizja i program dofinansowania emerytów – te trzy rzeczy wpływają na ludzi. Kościół daje wytyczną dobra i zła. A rządowa telewizja – paliwo dla nienawiści. Mściwość, oczernianie, nienawiść – to wszystko wychodzi z telewizji, ale jest usprawiedliwiane w kościołach jako moralnie słuszne.

Gorszy to panią?

– Tak! Ludzie, idąc do kościoła, mają potrzebę obcowania z czymś wyższym. A dostają propagandę i usprawiedliwienie podłego postępowania. Polityka polskiej prawicy jest oparta na oczernianiu i na szukaniu wroga, na nagonce. To niszczy kondycję społeczną, psychiczną, moralną. Prowadzi do tego, że jesteśmy skłóconym i agresywnym społeczeństwem. A przecież, jak pokazała wojna w Ukrainie, potrafimy pomagać, potrafimy być cudowni! A oni te wszystkie najlepsze cechy niszczą i sączą jad.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Z Galicji



Jan Widacki

Sędziowie pokoju

W Sejmie leżą już cztery projekty ustaw o instytucji sędziego pokoju. Obawiam się, że nie ma żadnego innego powodu, aby zajmować się tą instytucją poza wolą Kukiza, który ma taką obsesję – chce instytucją sędziego pokoju uszczęśliwić Polaków. Niestety, arytmetyka sejmowa spowodowała, że Kukiz stał się ważny. Tym samym jego obsesję też. Naprawdę, poza zrobieniem przyjemności Kukizowi nie ma innej potrzeby tworzenia tej instytucji i wprowadzania jej do polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Cóż to takiego ten sędzia pokoju? Otóż instytucja ta funkcjonuje w niektórych państwach, przy czym w różnych państwach, a w przypadku USA czy Kanady nawet w różnych stanach czy prowincjach, różni się ona dość istotnie.

Są państwa (stany, prowincje), w których sędzia pokoju sędzi drobne sprawy lub nie sędzi, tylko orzeka o tymczasowym aresztowaniu albo decyduje, czy sprawa jest na tyle dojrzała, że może trafić przed sąd. W jednych państwach (stanach, prowincjach) sędzia pokoju musi mieć wykształcenie prawnicze, a nawet doświadczenie sądowe, na przykład jako adwokat, a w drugich nie musi. W jednych państwach sędziowie pokoju są wybierani (lub nominowani przez ministra sprawiedliwości albo gubernatora) dożywotnio, w drugich na kadencję. Czasem sędzia jest wynagradzany za pracę (na pełnym etacie), kiedy indziej ma płacone tylko za konkretne wykonane czynności.

Nie bardzo wiem, jakiej potrzebie polskiego wymiaru sprawiedliwości miałyby czynić zadość instytucja sędziego pokoju. Pomijam już niebagatelny przecież problem, czy instytucja ta byłaby zgodna z naszą konstytucją, wedle której „wymiar sprawiedliwości w Rzeczypospolitej Polskiej sprawują Sąd Najwyższy, sądy powszechne, sądy administracyjne oraz sądy wojskowe” (art. 177).

Powszechnie przyjmuje się, niestety jako pewnik bez żadnego dowodu, że największą bolączką naszego sądownictwa jest przewlekłość postępowań. Oczywiście przewlekłość postępowań jest jedną z bolączek naszego sądownictwa, ale obawiam się, że nie najpoważniejszą. Co najmniej równie poważną jest niska jakość wymierzanej sprawiedliwości, a ostatnio znacznie poważniejszą, bodaj w ogóle najpoważniejszą, jest uzależnienie sądów od władzy politycznej, uczynienie z ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego przełożonego dyscyplinarnego sędziów i prokuratorów, nominowanie sędziów

z rekomendacji upolitycznionej Krajowej Rady Sądownictwa. Jak do tego wszystkiego ma się instytucja sędziego pokoju? Jeśli od wyroku sędziego pokoju będzie przysługiwało odwołanie (apelacja) do sądu powszechnego, to przyśpieszenie postępowania jest wątpliwe. Przybędzie tylko dodatkowa instancja. Czy sprawiedliwość wymierzana przez sędziego pokoju, który z natury rzeczy będzie miał niższe kwalifikacje niż sędzia sądu powszechnego, będzie lepszej jakości? Oczywiście, że nie. Jeśli do tego dodać, że sędzia pokoju ma pochodzić z wyborów, to przecież nie będzie on wybierany podczas jakiegoś wiecu na skwerku (jak, zdaje się, sędzi Kukiz), tylko te wybory ktoś będzie musiał organizować, ktoś będzie zgłaszał kandydatów, ktoś prowadził kampanię wyborczą. Wreszcie ktoś będzie musiał sprawdzać przeszłość kandydatów, choćby tylko pod kątem ich niekaralności, dotychczasowego trybu życia i tak dalej. Do tego potrzebna jest organizacja, którą dysponują przede wszystkim partie polityczne. Proces wyborczy w naszej tradycji zawsze jest procesem politycznym.

Poza zrobieniem przyjemności Kukizowi nie ma innej potrzeby wprowadzania do polskiego wymiaru sprawiedliwości sędziów pokoju.

W efekcie, jeśli instytucja ta powstanie, będziemy mieli upolitycznionych, zależnych od lokalnych elit politycznych sędziów o niskich kwalifikacjach zawodowych. Wrócimy zatem, choć pod inną nazwą, do instytucji kolegów do spraw wykroczeń, które na początku lat 90. słusznie likwidowaliśmy jako przeżytek z czasów PRL.

Czy naprawdę nie byłoby prościej i z większym pożytkiem, zamiast fundować sobie wątpliwą instytucję sędziów pokoju, po prostu zwiększyć liczbę etatów w sądach rejonowych? Nie tylko etatów sędziów, ale także etatów asystentów sędziów, personelu administracyjnego. Per saldo byłoby taniej i o całe niebo lepiej.

Ze zdumieniem patrzę, jak w pisanie projektów ustaw o instytucji sędziego pokoju angażują się niektórzy profesorowie prawa, wynajęci przez rozmaite partie polityczne. Myślałem, że tytuł profesora prawa jednak do czegoś zobowiązuje. Okazuje się, że nie. To, że opozycja nie protestuje, tylko jeszcze dokłada swoje projekty, już mnie nie dziwi.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Wzbiera kolejna fala **koronawirusa**

W Europie mamy setki tysięcy przypadków tygodniowo, w Polsce notuje się zaledwie kilkadziesiąt zachorowań. Cud

Anna Stachowiak

W Szanghaju już trzy tygodnie temu zaczęło się masowe testowanie, nad chińskimi miastami zawisło widmo twardych lockdownów, a Europa znowu choruje na COVID. Liczba nowych zachorowań rośnie. W Niemczech w ostatnich siedmiu dniach odnotowano 625 tys. nowych przypadków koronawirusa, we Francji – prawie 833 tys., we Włoszech prawie 600 tys. W zestawieniu tydzień do tygodnia liczby te oznaczają we Francji i Włoszech wzrost liczby zachorowań o ponad 50%. Jak podaje brytyjski Office for National Statistics (ONS), w Wielkiej Brytanii od początku czerwca liczba zakażeń zaczęła co tydzień rosnąć o 30%. „W całym Zjednoczonym Królestwie obserwujemy trwały wzrost liczby przypadków na poziomie około pół miliona, najprawdopodobniej spowodowany rozprzestrzenianiem się odmian BA.4 i BA.5”, mówiła w rozmowie z mediami Sarah Crofts, badaczka ONS.

We Francji, w Niemczech, Austrii, we Włoszech, w Wielkiej Brytanii i Grecji nie ma wątpliwości, że covid znowu atakuje.

Rosną też statystyki zgonów. W Niemczech liczba śmierci z powodu koronawirusa wzrosła ostatnio aż o 135% – z 268 do 629 tygodniowo (dane z 1 lipca). We Francji odnotowano 265 zgonów tygodniowo, a we Włoszech 380.

Pozorny spokój

Tymczasem w Polsce spokój. Pozorny. Stan na 8 lipca: 1046 zakażeń, w tym 894 nowe, nikt nie zmarł, nikt nie był na kwarantannie. Zupełnie



W Niemczech w ostatnich dniach odnotowano 625 tys. nowych przypadków koronawirusa.

jakby nasze granice miały magiczną moc, która uszczelnia układy immunologiczne mieszkających tu ludzi. Albo jakby zagrożenie kolejną falą pandemii było ignorowane – jak

wcześniej, kiedy na konferencjach prasowych ministrowie zdrowia, najpierw Łukasz Szumowski, a później Adam Niedzielski, powtarzali, że „wszystko jest pod kontrolą”, a wykonywano za mało testów.

Z rządowych danych wynika, że do 8 lipca wykonano 5385 testów. Dla lekarzy sprawa jest jasna: Polska za mało testuje. 1 lipca odbyło się kolejne webinarium Stowarzyszenia Higieny Lecznictwa, w którym udział wzięli m.in. dr Paweł Grzesiowski, dr Agnieszka Sulikowska, dr Paulina

Kołat-Brodecka. Ekspert omawiali krajowe dane epidemiczne, które na tle europejskich i ze świata muszą budzić zdumienie. „Widać, jak bardzo jesteśmy niedoszacowani”, mówi prowadzący spotkanie dr Paweł Grzesiowski, ekspert Naczelnej Rady Lekarskiej ds. walki z COVID-19. Dodatkowo zawodzi system IT, który ma monitorować zagrożenie epidemią w kraju, tzw. EWP. Jak mówią lekarze, od miesiąca system praktycznie nie działa, bo wdrażany jest nowy program. „Przez miesiąc szpitale, które nie działają w aplikacji gabinet.gov.pl, nie mogły wpisywać wyników testów”, potwierdziła dr Agnieszka Sulikowska, dodając, że lekarze mają te wyniki „w jakichś zeszycikach”. Co istotne, w systemie można zapisać wyłącznie informacje o zakażeniach do tygodnia wstecz, dlatego duża część w ogóle nie będzie figurować w oficjalnych statystykach. Dr Sulikowska

zwracała również uwagę, że rozporządzenie nie przewiduje także druków ZLK (czyli zgłoszeń zachorowania na chorobę zakaźną), a zgłoszeń tych nie przejmuje sanepid.

Tymczasem, kiedy pod koniec czerwca w całej Europie zaczynała się fala wznosząca i w statystykach widać było duży wzrost zachorowań, minister zdrowia Adam Niedzielski stwierdził co prawda, że

ministra Niedzielskiego jest zupełnie nieuzasadniony.

Niepokojący współczynnik R

Tym bardziej że wskaźnik R, czyli współczynnik reprodukcji wirusa, który stanowi informację o zakaźności patogenu w danym momencie epidemii, wynosi obecnie według danych Ministerstwa Zdrowia 1,36. Inne

do czynienia z „ryzykiem zakażeń, lekkich zachorowań, a nie dynamicznego wzrostu hospitalizacji”.

COVID-19 czy COVID-22

W Polsce do 6 lipca podano w sumie ponad 54,6 mln szczepionek; w pełni zaszczepionych jest 22,5 mln osób. Nie wiadomo jednak, jaka jest skuteczność szczepionek w przypadku nowych wariantów koronawirusa. Jak pisał w „Gazecie Wyborczej” Jacek Kubiak, profesor biologii z francuskiego Krajowego Centrum Badań Naukowych oraz Laboratorium Onkologii Molekularnej i Terapii Innowacyjnych Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie, „niektórzy wirusolodzy sądzą, że aktualnie atakujące nas warianty genetyczne SARS-CoV-2 omikronu (głównie BA.4 i BA.5) są już tak różne od wyjściowego szczepu i powodują tak różne objawy, że wywołują inną chorobę – COVID-22”. Dlatego, jak informuje badacz, firmy farmaceutyczne i niezależni naukowcy pracują nad nowymi szczepionkami przeciw COVID-19. Naukowiec zaznacza jednak, że o ile dobrą wiadomością jest fakt, iż podanie boostera nowych szczepionek

Dziś COVID-19 wygląda zupełnie inaczej niż wcześniej. Większość osób choruje grypopodobnie, a powikłania pojawiają się nawet kilkanaście tygodni później.

pojawiała się „zwyżka zachorowań na COVID-19”, ale uspokajająco dodawał, że „bez potencjału przerozelenia się w falę”. Mówił też o tym, że pojawiają się mutacje wirusa – BA.4 i BA.5, które „uciekają immunizacji”. A to znaczy, że są one „dalszymi krewnymi omikronu”, czyli szczepienia mniej chronią przed zakażeniem. Minister dodał także, że sam omikron i jego warianty nie spowodują przeciążenia szpitali, bo „nie wywołują takiej presji na system opieki zdrowotnej”. Po prostu „nie ma tylu hospitalizacji”.

Dane z Niemiec wyraźnie pokazują jednak, że nie ma powodów do nadmiernego optymizmu. W ciągu dwóch tygodni odnotowano tam ponad milion nowych zachorowań, a ponad tysiąc pacjentów jest hospitalizowanych na oddziałach intensywnej terapii. Jednocześnie, jak podaje „Gazeta Wyborcza”, połowa OIOM-ów w drugiej dekadzie czerwca zgłaszała braki kadrowe. Na początku lipca liczba specjalistycznych oddziałów, w których brakowało lekarzy i pielęgniarek, wzrosła już do 630. „Sytuacja jest bardzo poważna. Jeszcze nigdy nie mieliśmy do dyspozycji tak małej liczby miejsc na oddziałach intensywnej terapii”, mówił w rozmowie z gazetą Christian Karagiannidis, członek rządowej rady ekspertów ds. koronawirusa. Wyda się więc, że skoro w Niemczech, gdzie na tysiąc osób przypada sześć łóżek do intensywnej terapii (w Polsce 4,85), pojawił się problem z wydolnością służby zdrowia, optymizm

źródła podają wyższą wartość: 1,5. Współczynnik R wskazuje, ile osób może zarazić jeden chory. Gdy nie przekracza 1, oznacza, że pandemia gaśnie, kiedy zaś wynosi więcej niż 1 – nabiera rozpędu.

Obecny wynik, 1,36, którym posługuje się rząd, to uśredniona wartość ze wszystkich województw. Na przykład w województwie warmińsko-mazurskim, wynosi 1,57, a na Podkarpaciu – 1,21. W styczniu, podczas piątej fali pandemii, współczynnik R wynosił ok. 1,5, a jesienią

W Polsce robi się za mało testów genetycznych, by wiedzieć, które warianty wirusa dominują.

2020 r., podczas drugiej fali – 1,55. Z kolei przez ostatnie miesiące, po piątej fali, utrzymywał się na poziomie niższym niż 1. W kwietniu wynosił mniej niż 0,5. Co to oznacza? Sytuacja jest znacznie poważniejsza, niż wynikałoby z wypowiedzi ministra. „Przebiegi choroby są stosunkowo lekkie, a czasami wręcz niezauważalne”, mówi Niedzielski, dodając, że jesienią będziemy mieć

wywołuje mocną odpowiedź ze strony układu odpornościowego, o tyle nieco gorszą – że dostępne one będą dopiero jesienią, a nowa fala pandemii, z nowymi wariantami wirusa, rozpędu nabiera już teraz.

We Francji, Niemczech, Austrii, Włoszech, Wielkiej Brytanii i Grecji nie ma wątpliwości, że koronawirus znowu atakuje. W Polsce robi się za mało testów w ogóle, a już na pewno za mało tych genetycznych, by wiedzieć, które warianty wirusa dominują. W dodatku zmienia się i sama choroba, i pandemia. Dzisiaj COVID-19 wygląda zupełnie inaczej niż jeszcze kilka miesięcy temu. Większość osób choruje grypopodobnie, ale powikłania pojawiają się nawet kilkanaście tygodni po przechorowaniu koronawirusa. ■

Chleba naszego powszedniego

Tanie ukraińskie zboże dobija polskie rolnictwo

Marek Czarkowski

Od marca do końca maja br. ceny rzepaku w naszym kraju oscyływały między 4 tys. a 4,6 tys. zł za tonę. Dziś można za tonę zapłacić 2,9-3 tys. zł. Tona pszenicy konsumpcyjnej kosztowała od 1,6 tys. do 1,8 tys. zł, by pod koniec czerwca – w zależności od województwa – spaść do 1,2-1,3 tys. zł. Z cenami pszenicy paszowej jest jeszcze gorzej – w połowie maja płacono za nią nawet 1,6 tys. zł za tonę. Dziś 1,1-1,2 tys. zł z wyraźną tendencją spadkową. Rolnicy spodziewają się, że w kolejnych tygodniach pokonana zostanie psychologiczna bariera 1 tys. zł. Podobnie kształtują się ceny kukurydzy, jęczmienia i żyta. Kto za to odpowiada? Ukraina, Komisja Europejska, rząd Mateusza Morawieckiego i niezawodny Putin. Polska wieś znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Tony pszenicy na granicy

Powiedzieć, że rolnicy są dziś wściekli, to nic nie powiedzieć. Zgoda, w latach 2019-2021 pszenica kosztowała 650-850 zł za tonę, rzepak 1650-2450 zł, a chłopci płakali, że to bardzo mało. Michał Kołodziejczyk z Agrounii wyprowadzał na drogi swoich zwolenników i domagał się zmian w polityce rolnej. Lecz w tamtych latach ceny nawozów sztucznych, środków ochrony roślin, benzyny i oleju napędowego, węgla i energii elektrycznej były kilka razy niższe niż dziś.

Rolnicy, którzy wiosną tego roku kupili nawozy, zapłacili za nie trzy razy więcej niż rok temu. I wiedzą, że po żniwach nie uzyskają za zboża ceny, która pokryje poniesione przez nich koszty.

Powód jest oczywisty – pod koniec kwietnia Komisja Europejska, w związku z wojną w Ukrainie,

zapropozowała zawieszenie na rok ceł na wszystkie importowane z tego kraju towary. W maju Rada Unii Europejskiej przyjęła tę propozycję i na początku czerwca Polskę załapała fala taniej pszenicy oraz innych zbóż, których, ze względu na zajęcie przez Rosjan ukraińskich portów nad Morzem Czarnym oraz blokadę Odessy nie można z tego kraju wywieźć.

Oficjalnie pszenica miała z trójmiejskich portów trafić do państw afrykańskich. Jednak część została sprzedana na pniu rodzimym producentom pasz oraz spółkom handlującym zbożem, a to z kolei odbiło się na cenach.

Schemat był prosty – ciężarówki wypełnione ukraińskim zbożem przekraczały granicę w Korczowej, Dorohusku lub Hrebennem, po czym zamiast do Gdańska jechały albo do pobliskiego punktu skupu zboża, albo do zakładów produkujących paszę. Upusty sięgały nawet 40-50% polskiej ceny, co czyniło biznes wyjątkowo opłacalnym. Nic dziwnego, że w czerwcu ceny zbóż w punktach skupu spadły i nadal spadają.

Rolnicy są zdenerwowani, bo do żniw zostały dwa tygodnie i nikt nie wie, po ile jesienią będzie pszenica. Jeśli gospodarz miał szczęście i kontraktował ją wczesną wiosną po 1,6-1,7 tys. zł za tonę, nie powinien czuć się wygranym. Jest wielce prawdopodobne, że spółka, która zawarła z nim umowę, tyle mu nie zapłaci, bo oznaczałoby to dla niej dużą stratę.

Możemy dziś mówić, że w polskim rolnictwie runął system kontraktacji, który i tak był bardzo słaby. A to oznacza jeszcze większą niepewność i rosnące z dnia na dzień ryzyko w prowadzeniu gospodarstw.

Rolnicy oglądają TVP Info i znają rządowe plany wprowadzenia wakacji kredytowych dla tych, którzy zaciągnęli kredyty mieszkaniowe. I zaczynają pytać, dlaczego oni nie mogą liczyć na takie przywileje. Wszak normalne funkcjonowanie

– zwłaszcza wielkotowarowych gospodarstw – jest bez kredytów bardzo trudne, wręcz niemożliwe. Czy ci rolnicy, którzy mają albo wkrótce będą mieli problemy ze spłatą zobowiązań, nie powinni także zostać objęci wakacjami kredytowymi?

Zwłaszcza że polska wieś zмага się nie tylko z inflacją, spadającymi cenami zbóż, rosnącymi cenami środków produkcji i energii elektrycznej, ale też suszą, która dotyka coraz większe obszary upraw. Trzeba przyznać, że – na razie – nasi rolnicy wykazują wręcz anielską cierpliwość.

W ubiegłym tygodniu dziesiątki tysięcy holenderskich farmerów wyjechało traktorami na drogi i autostrady, by zaprotestować przeciwko polityce rolnej rządu premiera Marka Ruttego, która zakłada szybką redukcję emisji tlenu azotu. Moment został wybrany fatalnie. Ze względu na kryzys gazowy będący efektem wojny w Ukrainie drastycznie wzrosły ceny nawozów sztucznych. Wiosną poszły w górę koszty ogrzewania szklarni, co zmusiło część producentów kwiatów do zamknięcia interesu. Teraz rząd uznał, że trzeba wyróżnić część stad krów, bo emitują one zbyt wiele gazów cieplarnianych do atmosfery. I rolnicy nie wytrzymali. Padły pytania, z jakiego mleka będą produkowane słynne holenderskie sery, np. gouda. Blokadę dróg dojazdowych do centrów dystrybucyjnych popularnych sieci handlowych Lidl i Aldi sprawiły, że półki w supermarketach opustoszały. Policja, by poskromić protestujących, użyła gumowych kul, a w jednym przypadku ostrej amunicji. Na szczęście oberwał tylko traktor.

Czy we wrześniu i październiku będziemy świadkami podobnych protestów nad Wisłą? Jest to wysoce prawdopodobne. Inflacja może przekroczyć 20%, co oznacza, że rząd nie będzie w stanie nad nią zapanować. Złoty jest dziś rekordowo



Żniwa już niedługo. Rolnicy wiedzą, że za zboża nie uzyskają ceny, która pokryje poniesione przez nich koszty.

słaby. Nie daje to nadziei na obniżkę cen paliwa na stacjach benzynowych. No i bez cła jesienią wjadą do Polski transporty ukraińskiego zboża z tegorocznych zbiorów. Co dobije polskie rolnictwo.

Za wszelką cenę

Szacunki mówią, że z ubiegłorocznych zbiorów zostało w ukraińskich magazynach 20-25 mln ton zbóż, których z powodu wojny nie można wywieźć. Wiceminister rolnictwa Taras Wysocki powiedział ostatnio, że mimo trudności tegoroczne zbiory wyniosą co najmniej 50 mln ton. Część z nich powinna trafić na eksport. W tym – bez cła – do Polski. Oznacza to, że cena pszenicy, kukurydzy, żyta, a nawet bobiku będzie w tym roku nad Wisłą rekordowo niska. A to nie wszystko.

Ostatnio Kyryło Szewczenko, prezes Narodowego Banku Ukrainy, opublikował artykuł o groźbie wybuchu hiperinflacji, z powodu ogromnej emisji pieniądza. Dane, które poda, robią wrażenie. W marcu wyemitowano – czyli wydrukowano – 20 mld hrywien. W kwietniu i maju po 50 mld, a w czerwcu – 105 mld hrywien. W kolejnych miesiącach będzie podobnie. Bo, jak powiedział Napoleon Bonaparte, „do prowadzenia wojny potrzeba trzech rzeczy – pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy”.

A ponieważ ściąganie podatków w Ukrainie jest dziś niezwykle utrudnione, administracja prezydenta Zełenskiego musi drukować pieniądze.

Dlatego, jeśli choć częściowo spełnią się ostrzeżenia prezesa Szewczenki, ceny zbóż w Polsce jeszcze spadną. Dla ukraińskich przedsiębiorców bowiem jedynym sposobem, by zdobyć gotówkę, zamienić ją na euro, dolary lub franki szwajcarskie i uchronić się przed jeszcze większymi stratami spowodowanymi hiperinflacją, będzie szybka sprzedaż tegorocznych zbiorów za wszelką, nawet bardzo niską cenę.

Dla rodzimych konsumentów i np. producentów drobiu, taki scenariusz oznacza, że ceny pieczywa i pasz nie będą zbyt szybko rosły, lecz dla rolników to katastrofa, którą rząd zbytnio się nie przejmuje.

Pod koniec maja br. w wywiadzie dla Programu I Polskiego Radia minister rolnictwa Henryk Kowalczyk oświadczył, że nasz kraj może pomóc Ukrainie w wywozie 1-1,5 mln ton zbóż miesięcznie transportem drogowym, choć będzie potrzebny dodatkowy tabor. Nie wydaje się to możliwe, gdyż oznaczałoby konieczność dwukrotnego powiększenia taboru kolejowego i drogowego, zaangażowanego dziś w transport ukraińskiego zboża. Rząd musiałby też rozwiązać problem naszej zbyt skromnej infrastruktury portowej,

która nie jest przystosowana do przeładunku takich ilości towaru.

Dlatego ukraińscy przedsiębiorcy będą pozbywali się swojego zboża tak szybko, jak to możliwe. To już się dzieje, przy czym to nie ukraińska pszenica, lecz kukurydza dominuje w punktach skupu i magazynach firm zajmujących się produkcją pasz. Te praktyki zdestabilizowały rynek zbożowy w kraju. A to dopiero początek.

Jeśli wojna potrwa dłużej, możemy się spodziewać, że Unia Europejska na kolejny rok zawiesi cła na ukraińskie towary. Polska nie będzie miała nic do gadania. A rząd nie ma dziś żadnego pomysłu, co z tym zrobić.

Błogi sen ministra Kowalczyka

O tym, że sytuacja producentów zbóż w naszym kraju jest fatalna, wiedzą organizacje skupiające rolników. Larum podnosiła Agrounia, organizując tu i ówdzie blokady. Na początku czerwca prezes Krajowej Rady Izby Rolniczych Wiktor Szmulewicz interweniował w tej sprawie u premiera Mateusza Morawieckiego oraz wicepremiera i ministra rolnictwa Henryka Kowalczyka. Pisał, że Unia Europejska choć zwolniła z cła ukraińskie zboże, „jednak pozostawiła możliwość wstrzymania importu, jeżeli będzie on powodował zachwianie konkurencyjności na rynku wewnętrznym ▶

► UE". Z czym – zdaniem prezesa KRIR – mamy dziś do czynienia.

Szmulewicz zwracał uwagę, że właścicielami wielkich obszarów, na których uprawiane są zboża, są często zachodnie koncerny lub ukraińscy oligarchowie. Jego zdaniem pomoc dla nich nie może odbywać się kosztem polskich rolników, którzy będą zagrożeni upadkiem gospodarstw. „Zbliżają się żniwa i konieczne jest opróżnienie magazynów, ponieważ polscy rolnicy nie będą mieli gdzie przechowywać nowo zebranych zbóż”, pisał Szmulewicz. I ostrzegał, że spowoduje to jeszcze większe załamanie rynku i obniżenie cen poniżej kosztów produkcji.

Prezes KRIR apelował do premiera Morawieckiego o interwencję i spowodowanie eksportu w pierwszej kolejności polskiego zboża. Pod koniec czerwca br. odpowiedział mu wiceminister w resorcie rolnictwa i rozwoju wsi Norbert Kaczmarczyk, który opisał doskonale znaną wszystkim sytuację i zapewnił, że „Ministerstwo

Rolnictwa i Rozwoju Wsi będzie podnosić poruszone przez Pana Prezesa kwestie w celu uniknięcia destabilizacji tego rynku”. Zamiast konkretnej odpowiedzi urzędnicza nowomowa.

Z punktu widzenia rządu tanie ukraińskie zboże to drobny element w walce z inflacją. Przyczyni się do niewielkiego obniżenia cen pieczywa i drobiu, który karmiony jest paszą produkowaną z tamtejszych zbóż. A dopóki rolnicy nie wychodzą na drogi, nie blokują skrzyżowań i nie rozlewają gnojowicy przed biurami postów Prawa i Sprawiedliwości, nie ma problemu.

Nikogo też nie interesuje jakość ukraińskiego zboża. To kraj spoza Unii Europejskiej, więc nie obowiązują w nim unijne ograniczenia w stosowaniu środków ochrony roślin, nasion GMO itp. Ukraińskie zboża przeznaczone do celów spożywczych, paszowych i do przerobu nie podlegają też granicznej kontroli fitosanitarnej Państwowej Inspekcji Ochrony Roślin i Nasiennictwa.

PIORiN kontrolowała wyrywkowo jedynie 10% takich transportów. A badanie obecności środków ochrony roślin i mykotoksyn w importowanej do naszego kraju żywności, w tym w zbożach, to domena Państwowej Inspekcji Sanitarnej.

Nie brakuje też obaw, że – niejako przy okazji – z Ukrainy do Polski trafiają nielegalne środki ochrony roślin. Zwalczaniem tego procederu zajmują się Krajowa Administracja Skarbowa, policja i Straż Graniczna. W roku ubiegłym KAS we współpracy z PIO-RiN ujawniła 186 przypadków nielegalnego przywozu środków ochrony roślin lub niedopełnienia obowiązków dokumentacyjnych. Pracownicy KAS udaremniili wprowadzenie na rynek 2816 kg/l środków ochrony roślin pochodzących z przemytu. Ponadto ujawniono 21 615 kg/l środków, które nie zostały zgłoszone do Wojewódzkich Inspektoratów Ochrony Roślin i Nasiennictwa.

Nie jest tajemnicą, że kontrole graniczne na przejściach z Ukrainą, są delikatnie mówiąc – symboliczne. Wynika to z ogromnego natężenia ruchu w obie strony, obok uchodźców szukających w Polsce schronienia na terenach naszego sąsiada płynie pomoc wojskowa i humanitarna. Z drugiej strony do naszego kraju wjeżdżają transporty ze zbożem i innymi ładunkami, o których bezpieczniej nie pisać.

Czym to się skończy? Nie wiadomo.

Wież od lat jest zapleczem politycznym Prawa i Sprawiedliwości. Niskie ceny zbóż uderzają w ich polskich producentów. Na pewno zadowoleni są i będą producenci drobiu. Przy czym muszą być ostrożni. Ukraina to wielki producent mięsa drobiowego, które sprowadzane bez cła do UE może wyprzeć polskich producentów z lukratywnych rynków. Na pewno ukraińskie filety, skrzydełka i nóżki będą tańsze. Zatem czy przyjdzie nam zamykać kurniki? I czy po zakończeniu działań wojennych Unia Europejska wróci do ceł nakładanych na sprowadzane z Ukrainy towary? To zupełnie inna historia.

NAGRODA SAMORZĄDOWA im. NORBERTA BARLICKIEGO za rok 2022

Zarząd Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska informuje, że uruchomiona została tegoroczna edycja Nagrody Samorządowej im. Norberta Barlickiego.

Nagroda jest przyznawana osobom fizycznym i prawnym związanym z samorządem terytorialnym za działania na rzecz wspólnot samorządowych w Polsce.

Osoby fizyczne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:

- Samorząd miejski.
- Samorząd powiatowy.
- Samorząd województwa.
- Całokształt działań na rzecz samorządu terytorialnego.

Osoby prawne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:

- Jednostka samorządu terytorialnego.
- Organizacja pozarządowa.
- Firma przyjazna samorządowi terytorialnemu.

Zgłoszenia kandydatur do pierwszego etapu selekcji laureatów nagrody można składać w terminie do dnia 12 sierpnia 2022 r., pocztą, na adres: Zarząd Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska, ul. Czackiego 7/9, II piętro, 00-043 WARSZAWA lub elektronicznie na adres: zarzad@stowarzyszeniero.pl

Nagroda zostanie przyznana przez kapitułę pod przewodnictwem prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się w listopadzie 2022 r.

Więcej informacji dotyczących Nagrody Samorządowej im. Norberta Barlickiego można znaleźć na stronie: www.stowarzyszeniero.pl.



Jan Kazimierz Czubak,
sekretarz Zarządu Stowarzyszenia
Rzeczpospolita Obywatelska

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Z Tuskiem czy osobno?

Ruchy na lewicy: kto jest na marginesie, a kto patrzy w przyszłość

Robert Walenciak

Gdy cztery lewicowe partie, Unia Pracy, PPS, SDPL oraz Wolność i Równość zawarły porozumienie w sprawie wspólnego startu w przyszłych wyborach, Robert Biedroń stwierdził, że „niepotrzebnie się marginalizują”. Tak oto do publicznej debaty wkroczyło słowo marginalizacja. I pytanie – co nią jest, a co jest próbą wydobywania się z tego stanu?

Nowa Lewica, której współszefami są Robert Biedroń i Włodzimierz Czarzasty, działa już prawie rok. Jej powołanie miało być impulsem, który przyciągnie nowych wyborców. Nic takiego się nie zdarzyło, NL wciąż nie może w sondażach pokonać bariery 10% poparcia, nie widać też, by aktywizowała jakieś nowe środowiska czy też narzucała ton debacie politycznej. W zasadzie stoi na uboczu wojny PiS i PO. I jeżeli mówi się o partii Czarzastego i Biedronia, to tylko w takim kontekście, czy przyłączy się do PO, tworząc wspólną listę opozycji, czy też wybierze samodzielny start.

A jak będzie? Wszystko w gruncie rzeczy zależy od kalkulacji szefów NL – czy więcej miejsc w Sejmie dostaną, idąc samodzielnie, czy na wspólnej liście z PO. Całą tę sytuację można skomentować, że tak naprawdę Czarzastemu i Biedroniowi pozostało handlowanie hipotetycznymi wyborcami, i to jest w zasadzie ich główny atut. Z tego punktu widzenia Nowa Lewica jest więc marginesem polskiej polityki – bo zabiega o to, do kogo się przykleić, na pewno emocjonują garstkę działaczy, ale nie wyborców.

Aż się prosi w tym miejscu zapytać – jak więc ocenić inicjatywę „czwórprzymierza” UP, PPS, SDPL i WiR? Plus powołanie do życia SLD, które zbiera niechcianych przez

Czarzastego działaczy Sojuszu? Z różnych wypowiedzi wynika, że oni również mają podobny plan – chcą zarejestrować pełnomocników w 41 okręgach wyborczych i zebrać podpisy, by zarejestrować listy wyborcze. A potem, zależnie do sytuacji, albo iść do wyborów pod własnym szyldem, albo też w ramach listy opozycji. Dla Nowej Lewicy rzecz jest więc prosta – to w zasadzie polityczna dywersja. Nowa siła zwracać się będzie przeciw do tych samych wyborców, a w wypadku rozmów z Tuskiem w sprawie wspólnej listy opozycji będzie osłabiać pozycję Czarzastego i Biedronia. Tak oto przyjdzie im zapłacić za pomysł sprzed roku, że biorą szyld Lewicy na własność, a wszystkich, którzy mogą w czymś zagrozić, wypychają w niebyt.

Nowa Lewica nie jest dziś dla wyborcy lewicowego partią pierwszego wyboru.

Czyżbyśmy więc byli świadkami rozgrywki w ramach „marginesu”? Tak nie jest. Warto spojrzeć na sprawę szerzej – lewica to nie tylko posłowie czy działacze. To także środowisko czy raczej różne środowiska. Jeżeli spojrzymy na przedwojenną PPS, to jej siła nie polegała przecież na stosunkowo niewielkiej grupie posłów, którą wprowadzono do Sejmu. Tylko na tym, że wokół partii krążyły dziesiątki środowisk i inicjatyw, mających odzew w społeczeństwie. To byli spółdzielcy, związkowcy, artyści, obrońcy praw kobiet, nauczyciele, dziennikarze, działacze sportowi, profesura itd.

Ten model wielkiej formacji lewicowej został w III RP mocno okrojony, a w ostatnich latach porzucony. Wybrano inny sposób działania

– z partyjnych szczytów mądrość miała wędrować w lud. Gorszące wydarzenia z ubiegłego roku, gdy przewodniczący partii zawieszał niepasujących mu członków kierownictwa, i to w trakcie głosowania, było tego dowodem. W miejsce modelu, w którym partia jest tylko częścią formacji, zaproponowano prywatną partię, rodzaj przedsiębiorstwa dla zaufanych prezesa.

Dlatego warto docenić kolejne inicjatywy na lewej stronie, powrót do politycznego życia działaczy wyrzuconych z SLD czy też ugrupowań, które na kolejnym zakręcie historii porzucili ci trochę więksi.

Jest to także o tyle istotne, że Nowa Lewica nie jest dziś dla wyborcy lewicowego partią pierwszego wyboru. Szacuje się, że wyborców o poglądach lewicowych jest dziś nieco ponad 20%. I większość z nich głosuje na... PO. W ten sposób Donald Tusk kłusuje na nie swoim terytorium, ma za darmo głosy, za które w realnej polityce musiałby sporo zapłacić. W ten sposób ileś lewicowych postulatów ginie, są przemilczane, kwalifikowane jako fantasmagorie. Życie polityczne jest zredukowane do wojny Kaczyńskiego z Tuskiem. I epitetów, którymi się obrzucają.

Ci, którzy działają w różnych niewielkich partiach czy organizacjach, nie robią tego przecież dla pieniędzy, bo jakich? Nowa Lewica dostaje rocznie od państwa 11 mln zł. Ma pieniądze na działalność, na kampanię wyborczą. Mniejsze partie lewicowe, stowarzyszenia nie otrzymują nic. Działa się więc w nich z potrzeby serca, a nie biznesowych kalkulacji.

Każda inicjatywa, która zachęca ludzi do działań, do dyskusji, wyciąga ich z apatii, jest cenna i warta zauważenia. Bo tylko w ten sposób można budować formację liczącą się w społeczeństwie. Taką, która ma własną wizję porządku społecznego, zmian, które w państwie należy przeprowadzić. I to wszystko jest przedyskutowane, przemysłane. Im więcej takich przedsięwzięć, tym większe szanse na odbudowę lewicy, na jej upodmiotowienie. I na realne wyjście z marginesu na szerokie wody.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Mateusz Mazzini

W czasie długiej i barwnej kariery w życiu publicznym – najpierw jako dziennikarza, potem komentatora, wreszcie zawodowego polityka – do odchodzącego szefa brytyjskiego rządu przylgnęło wiele określeń. Bywał nazywany bezczelnym, infantylnym, bezwstydnym, ale też błyskotliwym, ambitnym, skutecznym. Przez ostatnie kilkanaście miesięcy najczęściej jednak w kontekście Borisa Johnsona wracały słowa, które na jego temat wypowiedział wybitny brytyjski historyk i publicysta Max Hastings, przełożony popularnego BoJo w „The Observer”, jednej z najważniejszych lewicowych gazet na Wyspach. Johnson był tam korespondentem z Brukseli, publikował też na poły satyryczne



Kiedy cyrk zwalnia klauna

Wreszcie doszło do dymisji Borisa Johnsona. Szkoda, że tak późno

felietony. Hastings miał z nim wiele problemów, bo podwładny niekoniecznie słuchał poleceń, ignorował też linię redakcyjną gazety. Mimo to nikt nigdy nie podniósł na niego ręki, nie miała się go krytyka czytelników i niechęć reszty zespołu. Było tak, bo – jak twierdził Hastings – Boris Johnson ma wiele cech, ale przede wszystkim jest teflonowy.

Lepkie ręce Pinchera

Do 6 lipca wieczorem wydawało się, że i tym razem przetrwa. Brytyjską politykę wstrząsał właśnie kolejny skandal, trudno już nawet zliczyć, który w ostatnich miesiącach. Po tzw. PartyGate, aferze związanej z imprezami odbywającymi się w biurach premiera na Downing Street 10 w czasie ścisłego pandemicznego lockdownu, ledwo odbitym przez rząd w parlamencie

wotum nieufności i kompletnie zignorowanej przez media oraz opinie publicznej podejrzanej serii spotkań jeden na jeden premiera z rosyjskim oligarchą Aleksandrem Lebediewem na jaw wyszło tuszowanie oskarżeń o napaść na tle seksualnym jednego z politycznych nominatów Johnsona.

Chodziło o Chrisa Pinchera, polityka torysów, którego odchodzący premier nominował na stanowisko zastępcy tzw. Chief Whipa, a więc osoby odpowiedzialnej za egzekwowanie dyscypliny partyjnej w czasie głosowań parlamentarnych. Jak pod koniec czerwca doniósł brukowiec „The Sun”, Pincher imprezował w jednym ze stołecznych klubów, gdzie pod silnym wpływem alkoholu miał według relacji ofiar i świadków napastować dwóch młodych mężczyzn. Pomimo wyraźnych sprzeciwów dotyczył ich miejsc intymnych

i kładł ręce na pośladkach. Już to było powodem do dyscyplinarnego usunięcia z urzędu, ale raczej Pinchera, niekoniecznie Johnsona. Wina premiera leżała gdzie indziej. Okazało się bowiem, że Pincher dopuścił się podobnego zachowania już po raz drugi.

W 2017 r. w identycznie ordynarny sposób zalecał się do Alexa Story’ego, działacza Partii Konserwatywnej i popularnego na Wyspach sportowca, byłego członka kadry olimpijskiej w wioślarstwie. Story sprawę zgłosił, a wobec Pinchera wszczęto postępowanie etyczne. Również z powodu podejrzenia o płatną protekcję – mężczyzna miał wprost sugerować, że może wpłynąć na „przyszłość Story’ego w Partii Konserwatywnej”, czyniąc w tym samym momencie niewybredne awanse seksualne. Sprawę przebadano, złamanie zasad etycznych

Boris Johnson kurczowo trzymał się stanowiska, próbując namalować autoportret odpowiedzialnego męża stanu.

obowiązujących w partii nie stwierdzono. Nie znaczy to jednak, że Pincher został wybielony. Komisja nie decydowała o zasadności zarzutów, tylko o ich powadze. Puszczanie go bez konsekwencji nie było więc tożsame z uznaniem, że wspomnianych czynów się nie dopuścił.

Wówczas Pincher został zmuszony do odejścia, co ciekawe, z tej samej instytucji, z biura Chief Whipa. Na chwilę znalazł się w politycznym niebycie, ale pomocną dłoń podał mu Boris Johnson, już wtedy premier Wielkiej Brytanii. Znalazł mu pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, potem zatrudnił znowu do pilnowania partyjnej dyscypliny. Dalszy ciąg historii historii już znamy, 30 czerwca Pincher ponownie rezygnował ze stanowiska.

Rząd w płomieniach

Warto przekierować wektor na samego premiera. Sprawa na jaw wyszła dzień później, 30 czerwca. Dziennikarze, ale też niektórzy politycy Partii Konserwatywnej natychmiast zwrócili się do Johnsona z pytaniem, czy wiedział o historii Pinchera, gdy wręczał mu nominację. Johnson najpierw zdecydowanie zaprzeczył, potem zaczął kluczyć i udzielać wymijających odpowiedzi. Przeciwno niemu świadczyły jednak dowody. Simon McDonald, były wiceminister spraw zagranicznych, który współkierował resortem w czasie, gdy Pincher był tam zatrudniony, poinformował BBC, że Johnson o zarzutach wobec Pinchera został poinformowany drogą formalną. Potwierdził to Dominic Cummings, były spin doktor i najbliższy współpracownik odchodzącego premiera. Według niego Johnson miał na spotkaniu w zamkniętym gronie zignorować przestrogi o potencjalnych konsekwencjach zatrudniania Pinchera, a także trywializować zarzuty wobec niego. Brytyjskie media dotarły do zeznań naocznych świadków, którzy twierdzą, że premier powiedział nawet: „Wszyscy

przestępcy seksualni zawsze mnie popierają”.

Skonfrontowany z tymi cytatami Johnson w typowym dla siebie stylu ani ich nie potwierdził, ani im nie zaprzeczył. Grillowany przez opozycję w czasie środowej (6 lipca) sesji Izby Gmin oraz na spotkaniu przedstawicieli wszystkich partii odpowiadał, że nie pamięta, czy użył dokładnie tych słów. Wtedy już, w środę po południu, była to jednak kwestia wtórna. Premier miał dużo większe pożary do gaszenia – w płomieniach stanął rząd, a wraz z nim konserwatywna większość w parlamencie. I przede wszystkim jego dalsza kariera polityczna.

Pierwsze poważne rezygnacje pojawiły się we wtorek wieczorem. Od razu mocno zabolaty, bo odeszli zdecydowani protagoniści ostatnich lat w brytyjskiej polityce. Rishi Sunak, kanclerz skarbu, i Sajid Javid, minister zdrowia, obaj traktowani jako symbole polityki Johnsona ostatnich

Boris Johnson ma wiele cech, ale przede wszystkim jest teflonowy.

lat. Dymisje złożyli w odstępie kilku minut, argumentując, że już nie wierzą w przywództwo swojego szefa. Za dużo skandali, kłamstw, niewyjaśnionych afer. Niekonsekwentna, pozbawiona kryteriów polityka personalna i przede wszystkim utrata poparcia w szeregach własnej partii. W końcu wotum nieufności sprzed miesiąca przygotowali niezadowoleni torysi. Johnson wygrał głosowanie minimalną większością, wypadł gorzej niż krytykowana za nieudolność w kwestii brexitu Theresa May.

Obaj ustępujący zapoczątkowali gigantyczną kulę śnieżną. Wtorek wieczorem – dwie dymisje. Środa rano – już kilkanaście, a koło południa licznik wskazywał 25. Ostatecznie zatrzymał się na 50 odejściach polityków w randze ministrów i sekretarzy stanu, dyplomatów, kierowników misji handlowych i doradców ministerialnych. W czwartek Johnson próbował jeszcze się ratować, dokonując rekonstrukcji rządu, ale to był już tylko ruch maskujący. Stało

się oczywiste, że z poparcia w szeregach Partii Konserwatywnej zostały tylko zgłiszczka. Niektórzy nominaci wytrwali zresztą na stanowisku półtora dnia, rekordziści zaledwie 16 godzin.

Statek opuszcza szczyry

Mimo to Johnson kurczowo trzymał się stanowiska. Jeszcze w środę, atakowany przez opozycję w parlamencie, budował narrację o potrzebie dojrzałego przywództwa w trudnych czasach. Mówił oczywiście o sobie, próbując namalować autoportret odpowiedzialnego męża stanu. To też scenariusz wielokrotnie już przez niego odgrywany. Nie jest tajemnicą, że jedną z jego politycznych obsesji i ambicji jednocześnie jest postać Winstona Churchilla, którego biografię zresztą napisał. Między innymi z tego względu w pierwszych tygodniach rosyjskiej inwazji na Ukrainę był najostrejszym jastrzębiem pośród europejskich przywódców – bardzo chciał stać się premierem czasów wojny, kimś, kto przeprowadzi Wielką Brytanię przez kryzys. Marzył, by zostać bohaterem narodowym. Dwa miesiące później prasa chętniej porównuje go jednak do klauna. Keir Starmer, lider Partii Pracy, powiedział o aferze wokół Pinchera i roli Johnsona w niej jako o „pierwszym przypadku, w którym to statek opuszcza szczyry, a nie odwrotnie”. Miał na myśli dymisje współpracowników i premiera, który zdawał się wypierać fakt, że jego okręt tonie lub już znalazł się na dnie.

Do dymisji nie przekonała premiera nawet królowa, której Johnson miał powiedzieć, że „nietaktem” byłoby teraz odchodzić. A jego głowy chcieli już wszyscy. Złożył ją w ofierze dopiero w czwartek rano, pod wpływem paraliżującej dalsze sprawowanie władzy presji i wakatów w rządzie. Zrobił to jednak w typowy dla siebie sposób, przekuwając porażkę w częściowe zwycięstwo. Rezygnował z funkcji szefa Partii Konserwatywnej, ale premierem pozostanie co najmniej do października. Oficjalnie do momentu, kiedy ▶

zostanie wyłonił jego następcę. W praktyce jednak nikt w Wielkiej Brytanii nie wie, co dalej z nim i z jego rządem. Bo wszyscy już mają świadomość, że Borisowi Johnsonowi nie można ufać.

Kłamca, oportunistą, leniuch

Tak naprawdę nigdy nie można było mu wierzyć – Johnson to człowiek uzależniony od władzy, ale też patologiczny kłamca. Karierę dziennikarską inkrustował historiami, które w całości wymyślał, i nigdy tego nie ukrywał. Z Brukseli przysyłał korespondencje na temat nieistniejących unijnych regulacji, wyśmiewając tym samym nie tylko zawziętość wspólnotowej biurokracji, ale też naiwność i głupotę tych, którzy w jego banialuki wierzyli. Trefniem był zresztą od czasów studiów na Oksfordzie, w czasie których należał do owianego legendami tajnego stowarzyszenia, Klubu Bullingdona. Razem z późniejszymi kolegami z rządu, Davidem Cameronem i George'em Osbourne'em rozbijali się po oksfordzkich restauracjach, dewastując je kompletnie i płacąc za szkody z kieszeni rodziców. Robili to, bo mogli. Pozwalał im przywilej, z którym

Johnson nigdy się nie rozstał. Już wtedy wysyłał sygnały, że będzie doskonałym politykiem. Wygrał wybory do Oxford Union, najstarszego stowarzyszenia debat studenckich na świecie. W ostatecznej rywalizacji pokonał byłego ministra spraw zagranicznych Polski Radka Sikorskiego, który wspominał potem, że żaden rywal w żadnej kampanii wyborczej już go później tak nie poturbował, jak wtedy zrobił to Johnson.

Zawsze grał też na wszystkich możliwych frontach, bo politycznie był po prostu oportunistą. W przededniu referendum brexitowego w 2016 r. miał przygotowane dwie wersje tego samego felietonu, obie entuzjastyczne. W pierwszej cieszył

przyjęcie weselne w rezydencji brytyjskich szefów rządu w Chequers Court na północ od Londynu. Ślub wziął w zeszłym roku, na wesele nie pozwalały przepisy pandemiczne, których wyjątkowo się wtedy trzymał. U władzy zostało mu kilka miesięcy, nie byłby sobą, gdyby nie wykorzystał ich do maksimum.

Upadek na cztery łapy

Kto po nim? Nie wiadomo, przynajmniej w tej chwili, gdy kurz po katastrofie jeszcze na dobre nie opadł. Kandydatów jest kilkoro, ale wszyscy pozostają w sferze spekulacji. Liz Truss, szefowa brytyjskiej dyplomacji, to deklaracyjna faworytka opcji

Bardzo chciał stać się premierem czasów wojny, który przeprowadzi Wielką Brytanię przez kryzys. Marzył, by zostać bohaterem narodowym.

się z wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii, w drugiej z pozostania we Wspólnocie. W swojej książce „Zmierzch demokracji” Anne Applebaum wspomina zresztą, że kilka tygodni przed głosowaniem Johnson ideę brexitu otwarcie wyśmiewał. Stwierdził nawet na zamkniętej kolacji ze znajomymi, że za rozwodem z Brukselą „nie zagłasuje nikt poważny”. Jak zrobił on sam – nie wiadomo. W postbrexitowej rzeczywistości odnalazł się natomiast doskonale, przekuwając wyjście z Unii w swój osobisty, epokowy wręcz triumf.

Dlaczego tym razem nie przetrwał? Albo inaczej: czemu dał się zatopić? Hipotez jest kilka, ale komentatorzy, m.in. Tom Nichols z „The Atlantic” i Georgina Goodwin z „Monocle” są zdania, że zwyczajnie nie chciało mu się już walczyć o polityczny byt. Johnson, pisze Nichols, jest bowiem z jednej strony uzależniony od władzy, z drugiej niewyobraźalnie wręcz leniwy. Odchodzi, bo ma dość. Pieniądzy w swoim życiu zarobił sporo, a z przywileju nadal korzysta. Czego dowodem jest fakt, że pomimo zbliżającej się dymisji i ogólnej krytyki ze wszystkich stron Boris Johnson planuje zorganizować bizantyjskich rozmiarów

konserwatywnej w partii. Ben Wallace, minister obrony, też ma dobre notowania, głównie ze względu na przeszłość w wojsku i opinię sprawnego w podejmowaniu decyzji. Czy Rishi Sunak i Sajid Javid zdecydują się walczyć o przywództwo w partii i rządzie, trudno powiedzieć. Do tego dochodzi architekt ostatniego wotum nieufności Steve Baker i obecny wicepremier Dominic Raab. Kandydaci tyleż interesujący, co niekonkretni. Jakby wszyscy chcieli wybać się nawzajem, przeliczyć szable. I zobaczyć, czy Boris Johnson jest naprawdę martwy. Czy tym razem teflonowa osłona jego politycznego ego pękła pod naporem kłopotów, które sam na siebie sprowadził.

A co dalej z samym Borisem? Spadnie pewnie na cztery łapy, bo zawsze spadał. Lądowanie nastąpi jednak daleko od sceny, światła nie będą skierowane już na niego. Przez dwa lata i 348 dni na stanowisku szefa rządu sukcesywnie zmieniał brytyjską politykę w coraz mniej zabawny cyrk. Teraz cyrk zwolnił klauna. O nową pracę łatwo nie będzie, bo stare żarty nikogo już na Wyspach nie śmieszą.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Hamak, teflon, wojna, biznes

Zupełnie niespodziewanie otrzymałem ostatnio od grupy nieznanym mi w większości, ale w całości życzliwych osób niezwykle i ważny dla mnie prezent. To hamak. Hamak hamakowi nierówny, wiadomo. Ten był, jest, z tzw. wyższej półki – domyśliłem się, bo cena była wyraźnie wyższa niż w sportowo-turystycznych sieciówkach. Akurat mój hamak został uszyty w Legionowie, dawnym zagłębiu namiotowym PRL, nie dopytałem jeszcze o zbieżność czy koincydencję. I chociaż sygnowany jest pełną uroku nazwą „Leniwiec”, to przeznaczony jest raczej do aktywnych form wypoczynku, turystyki i eksploracji. Dzięki niemu doświadczyłem w ostatnich dniach euforycznego doznania wolności, porównywalnego z początkami samodzielnego przemieszczania się rowerem po świecie. Jest zatem hamak przedmiotem należącym do świata filozofii minimalizmu znanego pod starożytnym bon motem Cyncerona *Omnia mea mecum porto* – wszystko, co moje, noszę ze sobą. Mogę stanąć, gdzie chcę, przerwać wędrówkę, mogę w kilkanaście sekund przygotować wygodne i bezpieczne schronienie. Potrzebuję dwóch drzew lub dwóch innych stabilnych punktów oparcia do zawieszenia konstrukcji. Drzewa wciąż mamy.

Kiedy pierwszy raz rozwieszałem ten hamak (przecież nie pierwszy raz miałem z samym przedmiotem do czynienia), zwątpiłem, patrząc na linkę nośną (ciężką) o przekroju 4-5 mm i bardzo specyficznym splocie, który nosi nazwę dyneema. Cóż, okazało się, że linka wytrzymała niemal 800 kg obciążenia. „Zeżrą cię komary, pająki, węże, osrają ptaki, pobodą dziki, no i zamarznieś”, dzielili się troską znajomi. Mój hamaczek ma integralną moskitierę – ze złowieszczą satysfakcją śledziłem podczas krótkiego wypadu do Białowieży wielogodzinne nieskuteczne szturmowanie tamtejszych komarów na moje legowisko. Byłem tak blisko ich kłująco-ssących aparatów gębowych, ale musiały obejść się smakiem. Mój hamaczek byłby bezbronny bez tarpa, czyli rozpostartej nad nim płachty, której żaden deszcz niestraszny. Ten tarp pokryty jest teflonową powłoką, co sprawia, że praktycznie nie przepuszcza wody.

I wydawać by się mogło, że tak sobie leżąc, śpiąc, jestem daleko od tego, co w polityce, co w Polsce, co w PiS. Deszcz pada, a ja nie muszę się ekscytować tym, że Julia Przyłębska została zdemaskowana jako marionetka Kaczyńskiego, co było oczywiste od dnia, w którym jej kuriozalna kandydatura pojawiła się w kontekście stanowiska prezeski Trybunału Konstytucyjnego. Nade mną wszak buki, dęby, lipy, brzozy, żurawie, bociany, jastrzębie i zięby. A gdzieś daleko wojna w Ukrainie, która pierwszy raz od kryzysu kubańskiego, po 60 latach postawiła na nowo realne pytanie o groźbę konfliktu jądrowego albo możliwości użycia tej

broni. Patrząc na mojego tarpa zatrzymującego lipcowy deszcz, rozumiałem, że taka ucieczka od politycznego żywiołu nie jest prosta ani oczywista. Teflon jest dzieckiem pracy nad udoskonaleniem lodówki oraz amerykańskiego programu budowy bomby atomowej, tzw. Projektu Manhattan. Wtedy opracowano i udoskonalono jego produkcję, a później możliwości użycia i stosowania, wśród których przez lata zwyciężały patelnie i ich zalety (albo wady – jest tu mnóstwo teorii spiskowych). Nie żywię przekonania, że ludzie powinni zamieszkiwać w hamakach. Ale wciąż nie mogę pojąć, dlaczego nadal, a w ostatnim czasie szczególnie, musimy z bezradnym przerażeniem konfrontować się z „atomowym lękiem”, zamiast zafundować sobie noc pod niemal gołym niebem. Bez lodówki.

**Głupota władzy jest nieprzemakalna.
Teflonowa, można by rzec.**

Prorok Izajasz w biblijnym proroctwie wzywał do przekucia mieczy na lemiesz, dlaczego dzisiaj tak lichuteńko brzmi podobny głos? Dlaczego wojenny wariant wydaje się nam wciąż realnym programem? Godząc się na ośmieszenie, deklaruje jasno: chcę teflonowych tarpów zamiast jądrowych głowic. W takiej perspektywie, chociaż to marne pocieszenie, wszystko, co się dzieje wokół całej tej Julii, Jarka czy w ogóle polskiej polityki, nie ma po prostu żadnego znaczenia. Jestem w tak niezwykłym miejscu, że cieszę się, że pada, bo jezioro i tak ciepłe, ludzie spokojni i życzliwi, a teflon może wykonać swoją dobrą, pokojową robotę.

Zanim tu dotarłem, byłem też 1 lipca w Białowieży, żeby być świadkiem „otwarcia” miasteczka, regionu. Na turystów, na biznes, bo przecież nie na migrantów z Bliskiego i dalszego Wschodu. Włodarze Hajnówki i samej Białowieży mieli policzone straty – zniszczone drogi, mosty to prawie 150 mln zł. Wojsko zdemolowało jedno z najcenniejszych fragmentów puszczy, w tym rezerwat ścisłego. Na ten temat nie usłyszeliśmy słowa. Mówiono: „Władza podejmuje decyzje, a my wykonujemy” i ani mru-mru. Trzeba wyrównać, trzeba pomóc przedsiębiorcom. O zbrodniach na ludziach, na puszczy – ani słowa. Starosta z Hajnówki wygłosił mowę, że jest źle, bo wilki atakują, a jest mało żubrów, bo nie mogą wyjść z puszczy przez zwalone świerki. Gdyby ktoś wygadywał takie banialuki w szkole, nie dostałby promocji do następnej klasy. Ale głupota władzy jest nieprzemakalna. Teflonowa, można by rzec, ale nie chcę obrażać teflonu.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl



Oddziały amerykańskie współpracują z polskim wojskiem.

Potencjał zdalnego odstraszania

Waszyngton mówi „nie” amerykańskiej dywizji w Polsce

Marcin Ogdowski

Polacy od dawna popierają obecność amerykańskich oddziałów w Polsce. Trend ten umocnił się po ataku Rosji na Ukrainę. Z najnowsze sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej” wynika, że aż 87,6% badanych dobrze ocenia decyzję Joego Bidena o ulokowaniu w Polsce dowództwa korpusu armii amerykańskiej, który zabezpiecza wschodnią flankę NATO. Przeciwnego zdania jest 6,9% respondentów, pozostali nie mają sprecyzowanej opinii.

Dla porządku dodajmy, że obecnie na terytorium Rzeczypospolitej stacjonuje 10 tys. Amerykanów. Resztę spośród 11,6 tys. żołnierzy Sojuszu stanowią Brytyjczycy, Chorwaci i Rumuni. Generalnie obecność sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych w Europie doszła do symbolicznego poziomu 100 tys. wojskowych. I choć to znacznie mniej niż niemal pół miliona personelu z przełomu lat 50. i 60., trzy i pół razy mniej niż pod koniec zimnej wojny, to jednak mówimy o znaczącym wzroście w odniesieniu do 2014 r., kiedy po naszej

stronie Atlantyku przebywało 60 tys. żołnierzy USA.

Agresywna polityka Moskwy zatrzymała odpływ wojska, czego przejawem był powrót amerykańskich czołgów do Europy w 2017 r. Dziś na kontynencie są trzy pancerne brygady, z których każda ma niemal setkę czołgów i 130 wozów bojowych. Jedna z nich rozmieszczona jest w Polsce. Co ważne, nie tylko u nas – i nie tylko w krajach wschodniej flanki – istnieje przyjazny klimat dla obecności wojskowej USA. Mimo to na zakończonym niedawno szczycie NATO w Madrycie Waszyngton nie zobowiązał się do kolejnych znaczących relokacji.

Oczekiwania i realia

Amerykańskiej powściągliwości towarzyszyła przełomowa deklaracja krajów członkowskich. „Federacja Rosyjska jest najważniejszym i bezpośrednim zagrożeniem dla bezpieczeństwa sojuszników oraz dla pokoju i stabilności w obszarze euroatlantyckim”, czytamy w najnowszej Koncepcji Strategicznej NATO. Nie licząc Traktatu

Północnoatlantyckiego, to najważniejszy dokument Sojuszu, stanowiący punkt wyjścia dla kolejnych decyzji politycznych i wojskowych. W brzmieniu z 2010 r. mówił on o „partnerstwie strategicznym między NATO a Rosją”. Urealnienia koncepcji oczekiwały głównie Polska i kraje nadbałtyckie. Artykułowano to wprost na nadzwyczajnym szczycie Sojuszu w Brukseli, zwołanym miesiąc po wybuchu wojny w Ukrainie, oczekując jednocześnie konkretnych działań. Delegacja RP, której przewodniczył prezydent Andrzej Duda, wniosowała o wzmocnienie naszej obrony przeciwlotniczej i liczniejszą obecność wojsk sojusznicznych. Chodziło o zainstalowanie – w okolicach Torunia i Bydgoszczy – stałej bazy amerykańskiej dywizji (liczącej 10 tys. żołnierzy).

Towarzysząca konfliktowi w Ukrainie mobilizacja NATO dawała nadzieje na spełnienie tych oczekiwań. Niewiele jednak z tego wyszło – Amerykanie zobowiązali się jedynie do przeniesienia do Poznania stałego dowództwa V Korpusu US Army – co oznacza najwyżej 500 dodatkowych wojskowych – oraz na rotacyjną

obecność trzytysięcznej brygady w Rumunii. Jest zatem Rosja zagrożeniem dla Sojuszu czy nie? – można by zapytać wobec takich faktów.

Władze zdolne do ryzyka

By wyjaśnić ów pozorny paradoks, cofnijmy się o kilka lat. W czerwcu 2016 r. niebo nad podtoruńskim Kijewem zaroilo się od czasz spadochronów. Z ponad 30 samolotów desantowało się wówczas 2 tys. żołnierzy ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Polski. Zrzut był częścią ćwiczeń Anakonda 16, a biorący w nim udział Amerykanie z 82. Dywizji Powietrznodesantowej przylecieli nad Polskę bezpośrednio z Fortu Bragg w USA, wykonując lot transatlantyki (Brytyjczycy startowali wtedy z bazy w Ramstein, Polacy z Krakowa). Amerykańscy spadochroniarze dotarli nad Europę na pokładach samolotów C-17 Globemaster – konia roboczego powietrznej logistyki USA.

„Ta operacja udowadnia, że możemy współpracować (...). Z Fort Bragg wylecieliśmy 25 godzin temu. Bez specjalnych przygotowań, na bojowo”, mówił gen. Richard D. Clarke, ówczesny dowódca 82. DPD, który jako jeden z pierwszych wylądował na polskiej ziemi. I właśnie w tym rzecz – w zdolności przerzutu straży przedniej, w skład której wejdą żołnierze elitarnych formacji. Taką możliwość daje gigantyczna flotylla C-17 (a to niejedynie amerykańskie transportowce). Spośród 220 maszyn 80% utrzymanych jest w pełnej gotowości, co, uwzględniając inne zadania, pozwala na otwarcie mostu powietrznego zdolnego do jednorazowego transportu kilkunastu tysięcy ludzi.

Rosja, zdaniem Waszyngtonu, jest niebezpieczna, ale prawdopodobieństwo rosyjskiego ataku na Polskę, bądź inny natowski kraj flanki wschodniej, uznano za znikome. Wojna w Ukrainie ujawniła relatywnie niskie możliwości armii rosyjskiej w zakresie prowadzenia konwencjonalnego konfliktu o dużej skali i wysokiej intensywności. Angażuje ona zbyt wielką część potencjału Federacji, by Kreml mógł myśleć o innych operacjach. W efekcie tego starcia już dziś doszło do wydrewnienia sił

zbrojnych Rosji z najwartościowszego materiału ludzkiego, sprzętowego i zapasów – na tyle głęboko, że proces odbudowy zdolności bojowych zajmie dekadę. Ponadto Moskwa nie była i nie jest w stanie przeprowadzić skrytej koncentracji wojsk (w przypadku Ukrainy „na żywo” dzięki natowskiemu zwiadowi satelitarnemu i powietrznemu śledziliśmy postępującą mobilizację Rosjan). Odpada zatem czynnik strategicznego zaskoczenia, co dla drugiej strony oznacza możliwość przygotowania się do agresji. Niemniej Rosja pozostaje krajem, którego kierownictwo polityczne zdolne jest do ryzykownych i agresywnych zachowań, chroniąc się za tarczą nuklearnego szantażu – stąd konieczność zachowania środków ostrożności. Budowania i utrzymywania potencjału odstraszania. W skali całego NATO, po ostatnim madryckim szczycie, ma to być już nie 40 tys.,

(interoperacyjnych, jak to się mówi w wojskowej nomenklaturze).

W takim celu powołano właśnie wspomniane dowództwo V Korpusu. Dotąd znajdowało się ono w Fort Knox w USA, a jego wysunięte placówki w niemieckim Heidelbergu i w Poznaniu. Od teraz jego kwatery główna ma się znajdować w stolicy Wielkopolski. V Korpus rozwiązywano już i powoływano kilkakrotnie w jego historii sięgającej wojny secesyjnej. Przez większość czasu miał on charakter ekspedycyjny, skupiając najlepsze jednostki wojsk lądowych USA. Od lata zeszłego roku zastępcą dowódcy korpusu (gen. Johna Kolaszkiego) jest oficer Wojska Polskiego, gen. Adam Joks, niegdyś dowódca 6. Brygady Powietrznodesantowej. Joks, odpowiedzialny za synchronizację działań sił amerykańskich z wojskami innych państw NATO, wróci teraz pewnie do Polski.

Dziś w Europie są trzy pancerne brygady, z których każda ma niemal setkę czołgów i 130 wozów bojowych. Jedna z nich jest w Polsce.

ale 300 tys. wojskowych, służących w reżimie siły szybkiego reagowania. Rozmieszczonych w macierzystych krajach, ale przewidzianych do wysyłki na zagrożone rubieże.

Polak w amerykańskim korpusie

Spadochroniarze – lekka piechota, nawykła do walki na przyczółkach czy w okrażeniu – muszą kiedyś uzupełnić zapasy i odpocząć. Oni wojny nie wygrają – w ostatecznym rozrachunku liczy się ciężki sprzęt. W tym zakresie nawet Amerykanie nie są w stanie oszukać czasu – transport czołgów i wozów bojowych to zadanie dla floty, a morską podróż przez ocean trwa zwykle tydzień. Dlatego tak ważne jest budowanie odpowiedniego zaplecza tu, na miejscu. Zarówno sprzętowe – magazynów, z których przybyli wojskowi pobiorą broń – jak i funkcjonalnego, w postaci dowództw znających teren, lokalne uwarunkowania, nawykłych do działania w ramach wielonarodowych struktur

Choć Poznań pozostanie na mapie Polski najważniejszym miastem dla amerykańskiej armii, trzon bojowy sił sojuszniczych stacjonuje gdzie indziej. W Żaganiu znajduje się dowództwo ABCT (ang. Armored Brigade Combat Team, Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej), a jej oddziały liniowe rozmieszczone są m.in. w Świętoszowie, Bolesławcu i Toruniu. Polska gości również komponenty lotnicze w Powidzu (śmigłowce) i Łasku (samoloty). W Mirosławcu zaś bazę mają potężne drony MQ-9. W Redzikowie znajduje się – budowana, już na ukończeniu – baza amerykańskiej obrony przeciw-rakietowej. Żołnierze z USA znajdują się również w Rzeszowie i Mielcu, dokąd trafili w związku z wojną w Ukrainie. Najpierw byli tam wojskowi z 82. DPD, których zmienili koledzy ze 101. DPD. Amerykanie na Podkarpaciu – dodatkowe ponad 4 tys. osób w porównaniu z liczbą zwykle przebywających u nas żołnierzy – pozostaną tak długo, jak długo potrwa konflikt z wschodnią granicą.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Sprawa Juliana Assange'a

Jeśli twórca Wikileaks zostanie skazany, wolność mediów za kilka lat stanie się fikcją

Jan Opielka

Julian Assange – haker, demaskator, twórca platformy Wikileaks – ma zostać wydany z Wielkiej Brytanii do USA, gdzie grozi mu kara 175 lat więzienia. Jeśli tak się stanie i 51-latek zostanie skazany, wolność mediów za kilka lat stanie się fikcją, ponieważ nie będzie odważnych demaskatorów, ujawniających kłamstwa i zbrodnie rządzących.

O krok od ekstradycji

Ten zapis filmowy jest przerażający, zwłaszcza gdy ogląda się go w całości. 12 lipca 2007 r. w Bagdadzie, stolicy okupowanego wówczas Iraku, amerykańscy żołnierze otwierają z bojowego helikoptera ogień do grupy mężczyzn na ulicy. Mężczyźni nie robią nic groźnego, choć wydaje się, że niektórzy mają broń. Są ubrani jak cywile, wśród nich jest dwóch reporterów Agencji Reutera, jeden z kamerą. Wskutek ataku, a raczej morderstwa, zginie przynajmniej 12 osób, choć są źródła mówiące o 18 zabitych. Niektórzy zostaną zabici dopiero, gdy po pierwszym ataku podjadą samochodem i będą próbowali sięgnąć z ulicy ciężko rannego. Podczas akcji słychać rozmowy i śmiech amerykańskich żołnierzy.

Film, który platforma WikiLeaks zatytułowała „Collateral murder” (Morderstwo poboczne), dostępny do dziś na YouTube, wstrząsnął opinią publiczną na świecie. Założona w 2006 r. WikiLeaks umożliwia anonimowe publikowanie dokumentów. Film udostępniła publicznie w 2010 r., po tym jak młody żołnierz i analityk armii USA w Iraku, Bradley Manning, przekazał platformie materiał wraz z dziesiątkami tysięcy innych tajnych dokumentów. Ten

„wyciek” (*leak*) ostatecznie sprawił, że WikiLeaks i jej założyciel Julian Assange zostali uznani za wrogów Stanów Zjednoczonych. Platforma zyskała ogromny rozgłos, media głównego nurtu przy współpracy z WikiLeaks publikowały krytyczne, drażliwe materiały z Iraku i Afganistanu, ale też teksty o tematyce gospodarczej i wiele innych. Jednak już w 2012 r. Assange zapędził się, lub też został zapędzony, w kozi róg – oskarżenia o zgwałcenie dwóch kobiet w Szwecji i groźba ekstradycji do USA skłoniły go w 2012 r. do ucieczki najpierw do Londynu, później do ambasady Ekwadoru w brytyjskiej stolicy. Tam spędził siedem lat, jednak po zmianie rządu w Ekwadorze został w 2019 r. wydany brytyjskiej policji i uwięziony. Teraz prawna batalia o jego ekstradycję do USA zdaje się dobiegać końca.

Kwestia uznania działań Assange'a za dziennikarstwo to klucz zagadnienia.

17 czerwca brytyjska minister spraw wewnętrznych Priti Patel zatwierdziła decyzję brytyjskiego sądu z kwietnia br. o ekstradycji. Decyzję tę uzasadniono następująco: „Sądy brytyjskie nie stwierdziły, (...) że ekstradycja byłaby niezgodna z jego prawami człowieka, w tym z jego prawem do rzetelnego procesu sądowego i do wolności wypowiedzi, oraz że podczas pobytu w USA nie byłby odpowiednio traktowany, w tym w odniesieniu do jego zdrowia”. Prawnicy Assange'a 1 lipca odwołali się od decyzji o ekstradycji, jednak wydanie demaskatora zdaje się przesądzone. Australijczycy zapewne nie sprzyja tocząca się wojna Rosji z Ukrainą – z różnych stron bowiem oskarża się go o współpracę

z wywiadem rosyjskim. Choć dowody w tej sprawie nie istnieją.

Dziennikarstwo czy szpiegostwo

Sprawa Assange'a jest godna uwagi nie tylko ze względu na postać jej bohatera. Ma ona i będzie miała istotny wpływ na dziennikarstwo jako takie, na działania informatorów, na dostęp do źródłowych informacji, także tajnych, bez których ujawnianie patologii, kłamstw politycznych, ale i zbrodni, będzie znacznie utrudnione. Amerykański rząd i prokuratura zarzucają Assange'owi nielegalne zdobywanie i ujawnienie setek tysięcy tajnych dokumentów, co zagraża życiu wielu osób. „Nie publikuje się w sposób nieodpowiedzialny czegoś, co może być groźne dla naszego bezpieczeństwa – mówił w 2020 r. Leon Panetta, były szef CIA. – Takie publikowanie nie uwzględnia skutków, jakie może to mieć dla życia innych”.

Brzmi to logicznie, Panetta wypowiada te słowa w niemieckim filmie dokumentalnym zatroskany, niemal smutny. Jednak „publikowanie”, o którym mówi, dotyczy m.in. informacji o przestępstwach, zabójstwach i morderstwach. Jeśli nie działa publiczna kontrola, także w formie niewygodnych publikacji, rośnie niebezpieczeństwo bezprawia. „Do dziś nie ujrzałem żadnego dowodu, że na rękach Assange'a jest krew, ponieważ Wikileaks opublikowała depesze lub raporty z wojny w Afganistanie – mówi Holger Stark, były dziennikarz „Der Spiegel” i współautor wydanej w Niemczech książki „Wróg państwowy Wikileaks”. – Jeśli oskarżenie Assange'a na podstawie ustawy o szpiegostwie nie byłoby tak straszne, należałoby się z tego śmiać i powiedzieć: otrzymywanie,



Protest przeciw ekstradycji Assange'a w Londynie, 22 lutego 2020 r.

tajnych dokumentów z wojny w Afganistanie. Dzięki nim świat dowiedział się o prawdziwych kulisach tej wojny i o brutalności okupacji, choćby o działaniu tajnej amerykańskiej jednostki Task Force 373, operującej poza mandatem ISAF (Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa w Afganistanie), jak odnotował „Spiegel”. „Ton tych raportów pokazuje, w jaki sposób rutyną stało się zabijanie, dokonywane przez Task Force 373”, czytamy w niemieckim tygodniku. Do zadań jednostki należało według tych relacji również celowe zabijanie (*targeted killing*). Z wpisu

edytowanie i publikowanie informacji to chleb powszedni codziennego dziennikarstwa”.

Właśnie ta kwestia – czy działania Assange'a noszą znamiona dziennikarstwa – jest jedną z głównych osi sporu. W 2017 r. ówczesny sekretarz stanu Mike Pompeo określił Wikileaks jako „niepaństwowy, wrogi wywiad”, mimo że jego szef, prezydent Donald Trump, jeszcze podczas kampanii wyborczej w 2016 r. powiedział, że „kocham Wikileaks”. Wówczas platforma opublikowała tysiące mejli polityków Partii Demokratycznej, które rzucały niekorzystne światło na kandydatkę Hillary Clinton (według CIA źródłem tego przecieku byli agenci rosyjscy, którzy przekazali dane Wikileaks). W 2019 r., w dniu aresztowania Assange'a, amerykańska prokuratora oskarżyła go o spisek w celu włamania do komputera, w tym spiskowanie ze wspomnianym Bradleyem Manningiem (dziś, po korekcie pćci: Chelsea Manning). Sześć tygodni później Departament Sprawiedliwości USA, powołując się na ustawę szpiegowską, postawił Assange'owi 17 dodatkowych zarzutów.

Ustawa antyspiegowska z 1917 r. umożliwia rządowi USA obejście szczególnej ochrony, którą objęci

są dziennikarze. Brytyjski sąd swoim wyrokiem z kwietnia podzielił tę linię – nie uznał publikacji Wikileaks i Assange'a jako działań objętych wolnością prasy. Organizacje wspierające Assange'a podkreślają, że kwestia uznania jego działań za dziennikarstwo to klucz zagadnienia. „Uważamy, że ta sprawa ma podłoże polityczne, ponieważ Assange jest przedmiotem zainteresowania

o jednej z takich operacji wynika, że amerykańscy „żołnierze zabili 11 rzekomych powstańców i zranili miejscowego afgańskiego cywila. W raporcie nie wspomniano o przyczynach zabójstwa”.

Takie i podobne informacje były publikowane przez media na całym świecie. Jednak żaden z dziennikarzy opisujących zdarzenia i zbrodnie na podstawie dokumentów ujawnionych przez Wikileaks

i Assange'a nigdy nie został oskarżony ani skazany. Jemu zaś grozi 175 lat więzienia. Część mediów

i organizacji dziennikarskich ostro krytykuje takie traktowanie i możliwe wydanie Assange'a. Brytyjski tygodnik „Guardian” pisze: „Ta akcja potencjalnie otwiera drzwi do ekstradycji dziennikarzy z całego świata do Stanów Zjednoczonych za ujawnianie informacji określanych przez Waszyngton jako tajne”. Jednak inne wpływowe media nie solidaryzują się z Assange'em, wręcz marginalizują jego sprawę. Polskie media w większości relacjonowały tegoroczne decyzje brytyjskich sądów i rządu krótko i chłodno. „Gazeta Wyborcza” o możliwej ekstradycji Assange'a nie napisała nic. Jedyny ▶

Uwięzienie Assange'a ma odstraszać.

ze względu na swój wkład w dziennikarstwo”, mówiła Rebecca Vincent, dyrektorka brytyjskiej sekcji międzynarodowej organizacji dziennikarskiej Reporters without Borders (Reportrzy bez Granic).

11 lat w zamknięciu

W 2010 r. przy współpracy z renomowanymi tytułami prasowymi – brytyjskim „Guardianem”, niemieckim „Spieglem” i amerykańskim „New York Timesem” – Wikileaks doprowadziła do publikacji tzw. *war logs*, czyli protokołów lub dzienników wojennych. To ok. 90 tys.

► tekst o nim w 2022 r. na stronach „Wyborczej” to krótki artykuł z kwietnia. „GW” wspomina w tekście, że Assange w Szwecji był oskarżony o gwałt, pomija jednak, że skarga została wycofana.

Szwedzcy śledczy zamknęli dochodzenie w sprawie założyciela WikiLeaks w 2019 r. – krótko po jego aresztowaniu przez Brytyjczyków. Prokuratura szwedzka ogłosiła wówczas, że oskarżenie Assange’a o zgwałcenie nie jest już podtrzymywane wskutek braku dowodów. Assange spędził siedem lat w ambasadzie Ekwadoru, nie opuszczając jej ani na jeden dzień. Teraz ponad trzy lata jest uwięziony i izolowany w brytyjskim więzieniu HMP Belmarsh, zakładzie karnym o podwyższonym

wizytach u Assange’a w brytyjskim więzieniu oraz zleconych badaniach medycznych, Melzer stwierdził, że stan Assange’a ukazuje symptomy tzw. białych tortur. W styczniu 2021 r. sąd brytyjski wstępnie odmówił ekstradycji Assange’a. Powód: zły stan zdrowia psychicznego założyciela WikiLeaks i możliwość popełnienia przez niego samobójstwa. Jednak w grudniu 2021 r. Sąd Najwyższy (High Court of Justice) uchylił tę decyzję. W kwietniu sąd brytyjski zdecydował, że Assange może być wydany i pozostawił decyzję Ministerstwu Spraw Wewnętrznych.

W ubiegłym roku Melzer napisał książkę „Sprawa Juliana Assange’a”. Píše w niej: „Prowadząc dochodzenie w sprawie Juliana Assange’a,

o człowieku, którego wszyscy uczyniliśmy kozłem ofiarnym za porażkę naszego społeczeństwa w walce z korupcją administracji i sankcjonowanymi przez państwo przestępstwami. Jest to więc opowieść o każdym z nas, o naszej własnej wygodzie, samooszukiwaniu i współodpowiedzialności za polityczne, gospodarcze i ludzkie tragedie naszych czasów. Sprawa Juliana Assange’a stanowi mrozący krew w żyłach precedens: kiedy bowiem mówienie prawdy stanie się przestępstwem, wszyscy będziemy żyć w tyranii”.

Inny znany sygnalista, Amerykanin Edward Snowden ukrywający się w Rosji, rysuje czarny scenariusz przyszłości dziennikarstwa. „Ustanawia się właśnie precedens, z którym będziemy żyli przez następne 100 lat. I niezależnie od tego, co się myśli o Julianie Assange’u: metody, które WikiLeaks i powiązane z nią osoby

Sprawa Assange’a to opowieść o człowieku, który jest prześladowany i maltretowany za ujawnianie brudnych sekretów władzy.

rygorze. Jego stan psychiczny jest niepokojący, według lekarzy i rodziny istnieje niebezpieczeństwo popełnienia samobójstwa. „Minęło 11 lat, odkąd Julian przebywał w otoczeniu przyrody”, mówi jego brat Gabriel Sipton.

Groźny precedens

Wiele wskazuje na to, że niszczenie Assange’a jest celowe. Krążą informacje, że CIA chciała go uprowadzić i zabić. Leon Panetta przyznaje wprost: uwięzienie Assange’a ma odstraszać. „Wszystko, co możemy zrobić, to podjąć ультymatywne działania przeciwko tym, którzy byli zaangażowani w ujawnianie tych informacji, tak aby wysłać wiadomość do innych, by nie robili tego samego”.

Nils Melzer, w latach 2016-2022 specjalny sprawozdawca Narodów Zjednoczonych (ONZ) ds. tortur, określa warunki więzienne Assange’a jako torturę psychiczną. Melzer jest profesorem prawa międzynarodowego, a także delegatem Czerwonego Krzyża i radcą prawnym, który od ponad 20 lat zajmuje się łamaniem praw człowieka i międzynarodowego prawa wojennego na obszarach objętych wojną i kryzysem. W 2019 r., po

natknąłem się na konkretne dowody prześladowań politycznych, surowej samowoli sądowej oraz celowych tortur i złego traktowania. Uwikłane w to państwa (Wielka Brytania, USA, Szwecja, Ekwador – przyp. aut.) odmawiają jednak współpracy ze mną w wyjaśnieniu tych informacji”. Melzer relacjonuje, że niemal nigdzie nie uzyskał istotnego poparcia: ani w ONZ, ani u rządów innych krajów. Mimo tego przeanalizował niemal 10 tys. stron akt sądowych, korespondencji i innych dokumentów. „Jestem szczególnie zaangażowany w tę sprawę, ponieważ jej znaczenie wykracza daleko poza Juliana Assange’a jako osoby, a także poza bezpośrednio związane z jego sprawą państwa. (...) Sprawa Assange’a to opowieść o człowieku, który jest prześladowany i maltretowany za ujawnianie brudnych sekretów władzy, zbrodni wojennych, tortur i korupcji. Jest to historia najważniejszej arbitralności sądowniczej w zachodnich demokracjach, które w innych przypadkach lubią być pionierem w dziedzinie ochrony praw człowieka. To historia celowej zмовы wywiadowczej i rządowej za plecami opinii publicznej i parlamentów narodowych. (...) To opowieść

stosowały jako pierwsze, odmieniły sposób, w jaki uprawia się dziennikarstwo. Jeśli my nie będziemy w stanie tego uznać i jeśli nie będziemy skłonni tego bronić, to – myślę, że to najsmutniejsza część tej historii – możliwe, że na to nie zasługujemy. A w rezultacie nie będziemy tego mieć, kiedy będziemy najbardziej potrzebowali”. Żona Assange’a Stella Moris ma nadzieję, że apelacja zapobiegnie ekstradycji jej męża, ojca dwóch wspólnych synów, ale jej nadzieje mogą okazać się płonne.

Assange stał się ważną postacią i tragiczną ofiarą potężnych możliwości internetu. Kilka lat temu powiedział: „Możliwości publikowania, jakie oferuje internet, są cudem. Ale internet to coś więcej niż tylko przestrzeń do wyrażania siebie. To najbardziej wyrafinowany system masowej inwigilacji, z jakim mieliśmy do czynienia. Informacje pochodzące z dołu, od ludzi na całym świecie, którzy nie mają władzy, są przeświecane przez globalny system nadzoru. Internet rozciąga się między tymi sprzecznymi tendencjami. I nie jestem pewien, czy wolność komunikacji zwycięży”.

Jan Opielka

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Czasy ciemniaków

W Białymstoku prezes mówił, myśląc o Brukseli: „Tam jest ta frakcja, która chce z nami walczyć i nawet gdyby się toczyły ciężkie walki na granicach Polski, to oni by przede wszystkim zabiegali o to, żeby w Polsce uznawać, że każdy może sobie określić, czy jest Piotrem, czy Zosią”. Później, na spotkaniu z wyborcami w Bielsku Podlaskim, prezes wrócił do tematu osób transpłciowych. Powiedział: „My jesteśmy na razie krajem normalnym, ale ciągle nam proponują, żebyśmy zostali nienormalnym, żeby na przykład (...) te trzy młode panie, które tam siedzą, nagle ogłosiły, że są mężczyznami”. Sala rechotała, naród pisowski pokładał się ze śmiechu. Z nieszczęśliwych dzieci, które mają wielki dramat, z ich rodzin. Prezes ślinił się przy tym i zerkał filuternie na widownię jak sprośny dziadek na wiejskim przyjęciu, który za dużo wypił. Co się stało z tym inteligentem z Żoliborza? Jaki upadek.

Jednym z objawów starzenia się jest to, że spora część rozmów poświęcona zostaje chorobom. Kingi nie widziałem rok. Pokazuje mi dwie słuchawki prawie niewidoczne na uszach. Aparat słuchowy. Tu też jest postęp. Od razu pocieszam ją swoją zaćmą w lewym oku i biodrem do wymiany. Okazuje się, że znajomy miał niedawno sepsę, cudem z niej wyszedł, a potem wyskoczyło mu „coś” na policzku, mają operować i badać.

Pytam z kolei Elżbietę, co słychać. Odpisuje, że ma raka. I 80 lat, wygląda na 60, zachowuje się jak 30-latką. Mówi, że nie zamierza się zamartwiać tym rakiem, tylko cieszyć każdą chwilą. Dzwonię do Zosi i Wiktora Kulerskich, moich dalekich drogich sąsiadów. Wiktor piękny, prawy człowiek, bardzo zasłużony dla opozycji. Też wiele o chorobach, nie mam żadnych szans w licytacji z nim, ma 87 lat. Zamienimy jednak też kilka słów o literaturze. Mówi, że już nie jest w stanie czytać fikcji, tylko dokumenty. To zupełnie jak ja. A najbardziej lubię dzienniki.

Dlatego wracam do dziennika Andrzeja Łapickiego, czytałem go kilka lat temu. Jedyna zaleta mojej nędznej pamięci, że czytam jak po raz pierwszy. Wiem tylko, że bardzo mi się podobały te dzienniki. Może to była zasługa miejsca, czytałem wysoko w Alpach, w małym drewnianym domku, zaczepionym o zbocze, z widokiem na alpejskie szczyty. A miejsce, w jakim się czyta, ma znaczenie, bo tworzy nastrój. Dlatego

czasami powtórna lektura rozczarowuje. Teraz w drewnianym domku nad jeziorem ten dziennik nadal mi się podoba, chociaż aktor zdaje się bardziej narcystyczny niż w Alpach. Ale który artysta taki nie jest, jeśli pisze szczerze. Łapicki opisuje w samozachwycie swoje sukcesy, ale to głównie irytuje ludzi o niskiej samoocenie i innych narcyzów, bo ich umniejsza. Nikt tak nie irytuje narcyza jak inny narcyz. To lata od 1984 do 2005. Jaka szkoda, że nie zaczął pisać wcześniej. Lata 60. i 70. teraz się pięknie patynują. Lata 80. to kocioł, w którym gotuje się wielka zmiana. Ciekawe są dylematy aktora, zwątpienia. Pisze: „Od dwóch dni prześladowuje mnie myśl, że granie nie ma przecież żadnego sensu. Że o ile dla młodych ludzi jest to miłe oszukiwanie życia, to dla starych jest haniebną, a co najmniej wstydlivą. (...) Dorabianie teorii o postępowaniu aktorów jest głupie, bo to jest przede wszystkim niewolnictwo. Walka na miny. Jak u Gombrowicza”.

Doszedłem teraz w lekturze do czasu przełomu i początku lat 90. To czas burzliwy, pełen emocji, trwa wielka historyczna zmiana, a wszystkim jakby wyciągnięto spod nóg dywan. Łapicki staje się posłem w pierwszym wolnym Sejmie. Opisuje kłębówisko politycznych konfliktów i sporów. Zapomnieliśmy, jak okropny był wtedy Wałęsa, jego brutalność, autorytarne zapędy. Bracia Kaczyńscy „bez czci i wiary”, jak pisze Łapicki, kręcili się wtedy na jego smyczy. Teraz, przy PiS, to jednak wydaje się pocziwe, wtedy bolało, zdawało się, że marnujemy wolność, która nam spadła z nieba. Łapicki triumfuje, ale idzie za nim cień czasów stalinowskich, był lektorem kronik filmowych, przypominanych teraz jak na złość w telewizji, rozpacza: „Znowu ten głos zza grobu, kiedy już wszyscy zapomnieli. I znowu ten cień na mnie zachodzi”, cytuje Eliota: „Kiedy dojdiesz do celu, po sukcesach, zaszczytach, o jakich marzyłeś, wyjdą ci naprzeciw wszystkie dawne winy”. Często opisuje ludzi i zdarzenia, które teraz zapędziły nas w ciemny kąt. „Endecja ta najczarniejsza podnosi głowę. (...) Idą czasy ciemniaków. (...) Pora umierać. Nie chcę takiej Polski”. Niestety, przewidział przyszłość. To dziennik osobisty, opis polskiej elity kulturalnej, a też niezwykła lekcja historii. Radość i rozpacz odzyskanej wolności.

**Co się stało z tym inteligentem z Żoliborza?
Jaki upadek.**

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Kto i dlaczego lata na naszym niebie?

Katastrofa bezzałogowej maszyny w Zagrzebiu i tajemniczy lot przez pół Europy

Chrystian Ślusarczyk

Dochodziła właśnie północ z 10 na 11 marca br. Większość mieszkańców osiedla Jarun w Zagrzebiu, stolicy Chorwacji, szła już spać. Niektórzy śledzili jeszcze serwisy informacyjne i wieści z ukraińskiego frontu. Nagle nocną ciszę przerwał huk eksplozji. Początkowo podejrzewano wybuch gazu, który doprowadził do pożaru. Co bardziej wrażliwi mieszkańcy zaczęli łączyć huk eksplozji z wojną w Ukrainie. Rano ich oczom ukazała się spora dziura w ziemi. Okazało się, że to nie wybuch gazu, ale zderzenie bezzałogowego samolotu z ziemią i jego pożar zakłóciły nocny spokój mieszkańców Zagrzebia.

Premier Chorwacji Andrej Plenković jeszcze tego samego dnia poinformował rodaków, że katastrofa dość sporej maszyny, jaką jest rosyjski bezzałogowy samolot rozpoznawczy TU-141, nie spowodowała na szczęście żadnych ofiar. Chorwatów zszokowały kolejne informacje, że ten bezzałogowy samolot wyleciał najprawdopodobniej z Ukrainy, wleciał w przestrzeń powietrzną sąsiednich Węgier z prędkością 700 km/godz. na wysokości 1300 m, by następnie przekroczyć granicę Chorwacji. Ustalono, że maszyna przeleciała co najmniej 560 km najwyraźniej niewykryta przez obronę przeciwlotniczą Chorwacji i Węgier, będących członkami NATO. Obrona powietrzna nie dostała w ramach NATO żadnego ostrzeżenia o lecącym bezzałogowcu. Na miejscu wypadku – szczątki maszyny znajdowano na rozległym terenie osiedlowego parku – znaleziono także dwa spadochrony.

Z Litwy do Bułgarii

Po kilku tygodniach zarówno w chorwackich, jak i w zagranicznych



Rozbity w Zagrzebiu bezzałogowy samolot rozpoznawczy TU-141, 12 marca 2022 r.

mediach sprawa przycichła. Uznano, że być może w ogarniętej wojną Ukrainie ktoś popełnił błąd i bezzałogowiec trafił w zupełnie inny region Europy, niż zakładano. A że nikomu nic się nie stało...

Tymczasem trzy miesiące później, 8 czerwca, nad sześcioma europejskimi krajami przeleciała dwusilnikowa maszyna produkcji amerykańskiej Piper PA-23-250 Aztec, której pilot nie zgłaszał nikomu żadnego planu lotu. Jak wykazało śledztwo, samolot z nieznaną liczbą

osób na pokładzie wyleciał z małego lotniska na Litwie, przeleciał nad Polską i Słowacją. Gdy znalazł się nad Debreczynem we wschodniej części Węgier, poderwane zostały dwa gripeny, do których dołączył jeden amerykański i dwa rumuńskie F-16, by eskortować intruza aż do granicy z Bułgarią. Kilka dni temu media zacytowały wypowiedź dyrektora lotniska sportowego w Hajdúszoboszló. Twierdzi on, że nim samolotem miały się zaopiekować gripeny, bez żadnych uzgodnień

wylądował na rzecznym lotnisku, by w ciągu 10-15 minut dotankować paliwo. Zdaniem dyrektora z maszyny wysiadły cztery osoby, które w pośpiechu przelewały paliwo z dużych kanistrów. Po chwili samolot wyleciał na południe. Jak się ta (planowa, a może nieplanowana?) przerwa w locie ma do eskortowania maszyny przez samoloty NATO?

Myśliwce w akcji

Na temat tego południowego odcinka lotu dochodzą bardzo różne i sprzeczne informacje. Co najmniej dziwne było nie tylko międzylądowanie na Węgrzech. Media serbskie bowiem twierdzą, że samolot wleciał także w przestrzeń powietrzną Serbii, kraju niebędącego w NATO, a mającego ściśle kontakty wojskowe z Rosją.

Pilot nad żadnym z krajów, nad którymi leciał, nie reagował na sygnały i wezwania do lądowania. Już nad Rumunią (a może i Serbią?) samolot stopniowo schodził coraz niżej, by na terenie Bułgarii lecieć na wysokości zaledwie 500 m. Tego dnia w Bułgarii panowały bardzo złe warunki atmosferyczne; burze z wylądowaniami atmosferycznymi i ulewami utrudniały loty samolotów cywilnych. Gdy tajemnicza maszyna przekroczyła Dunaj i wleciała w bułgarską przestrzeń powietrzną, w Sofii zdecydowano, że samolot natychmiast należy zmusić do lądowania. Bułgarzy poderwali jeden ze swoich myśliwców. Jego pilot musiał jednak

pobliskich miast Szumen i Tyrnowiszcze. Bułgarskie media podkreślają, że samolot pilotował ktoś, kto miał ponadprzeciętne umiejętności albo dobrze znał opuszczone lotnisko, którego nawierzchnia jest już mocno podniszczona. Lądowanie tam w ciemnościach, w czasie ulewy było ponoć prawdziwym majstersztykiem sztuki lotniczej. Fakt

które przez długi czas nie wiedziało, jak poradzić sobie z tajemniczym intruzem. Zakow zapewne miał na myśli dziennikarza prywatnej stacji bTV, który informował o „nieznanym samolocie lecącym nisko nad bułgarską elektrownią atomową w Kozłoduju, który przetestował skuteczność reagowania wszystkich krajów wschodniej flanki NATO”.

11 marca w stolicy Chorwacji rozbił się bezałogowy samolot rozpoznawczy TU-141.

ten nakazuje Bułgarom domniemywać, że pilotem był albo doskonale znający topografię ich terenu rodak, albo jeszcze lepiej przygotowany do lotów w takich warunkach Rosjanin, uczestniczący w misji szpiegowskiej, której celu zwykli śmiertelnicy nigdy nie poznają.

Pytania o bezpieczeństwo

Niewiele też wskazuje, byśmy poznali tożsamość pilotów, którzy zdecydowali się na nielegalny lot nad połową Europy. Jak podają bowiem bułgarskie media, „natychmiast po wylądowaniu prawdopodobnie dwaj prowadzący maszynę mężczyźni szybko oddalili się w nieznanym kierunku”. „Oddalili” czy „pozwolono im się oddalić”, bo tak zakładał jakiś plan, od którego nawet najlepsi dziennikarze śledczy będą trzymani na dystans? Oświadczenia bułgarskich oficjeli – jak często bywa

Bułgarzy za infantylne uznają też tłumaczenia Zakowa, że „nowi właściciele maszyny chcieli ją po prostu przetransportować w ten sposób do Bułgarii, bo litewskie procedury i cała dokumentacja są zawile i czasochłonne”.

Nieco więcej wiadomo o tym, kto do niedawna był właścicielem samolotu. Trzem mężczyznom sprzedał go (prawdopodobnie za 35 tys. dol.) emerytowany 72-letni pilot Bronius Zaronkis, była gwiazda litewskiego lotnictwa wojskowego. W dokumentach widnieje adres firmy z Sofii. Zaronkis nie ma pojęcia, kim byli kupcy. Powiedział jedynie, że rozmawiał z nimi po rosyjsku i ucieszył się, że znalazł nabywców na maszynę, której od dłuższego czasu nie mógł sprzedać.

Katastrofa maszyny w Zagrzebiu i tajemniczy lot z Litwy do Bułgarii rodzą wiele pytań o nasze, natowskie bezpieczeństwo i skuteczność systemów, które mają nam je zagwarantować. Upływający czas w żaden sposób nie przybliży nas do odpowiedzi na wiele pytań. Dziennikarze państw, które gościły na swoim terytorium tajemnicze maszyny, nie kwapią się do drażenia tematu. Podobnie władze, w szczególności Chorwacji i Bułgarii, bo tam – na szczęście bez ofiar i strat – zakończyły swoje loty oba samoloty intruzy.

Być może komuś zależy na tym, by nie wiązać tajemniczych lotów z wojną trwającą w Ukrainie. A może nasza wyobraźnia sięga za daleko i oba te wydarzenia nie mają nic wspólnego z sytuacją za naszą wschodnią granicą? ■

8 czerwca nad sześcioma europejskimi krajami bez żadnego zgłoszenia przeleciał dwusilnikowy Piper PA-23-250 Aztec.

zawrócić, bo lot w tak trudnych warunkach zagrażał jego życiu. Mimo zapadających ciemności i trwającej burzy Bułgarzy poderwali kolejny myśliwiec. Tamtejsze media nie są zgodne, jak i czy w ogóle wpłynął on na powietrznego intruza, który wreszcie zdecydował się wylądować. Wybrał niewielkie, od dłuższego czasu nieużywane lotnisko we wsi Buhowci, które w czasach komunistycznych służyło mieszkańcom

w takich okolicznościach – niewiele mówią. Bułgarski minister obrony Dragomir Zakow w rozmowie z dziennikiem „24 часа” oświadczył jedynie, że „nie było żadnego zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa, a wielkość i charakter maszyny nie groziła zamachem terrorystycznym”. Minister ostro skrytykował za to niektóre stacje telewizyjne, które miały twierdzić, że to, co się stało, to wielki wstyd dla bułgarskiego lotnictwa,

Zbrodnia „lisa z Radomia”

Pacyfikacja Garbatki-Letniska różniła się od innych tym, że dużą część jej mieszkańców deportowano natychmiast do Auschwitz

Bohdan Piętko

„Pamiętnej nocy z 11 na 12 lipca 1942 r. spaliliśmy w domu. Chyba o pierwszej po północy moja siostra Lucia obudziła nas, bo słyszała strzały i dobiegający z daleka warkot silników samochodowych. W czasie okupacji Polacy, przynajmniej w Garbatce, nie mieli samochodów. Ojciec i ja narzuciliśmy na siebie jakieś ubrania i wybiegliśmy na dwór. Mżył drobny deszczyk. Rzeczywiście, od strony Policzny słychać było nadjeżdżające samochody. Ojciec przystawił drabinę na strych naszego mniejszego domu i kazał mi szybko zakopać się w sianie. A było go tam mnóstwo. Powiedział, że on pobiegnie na blok kolejowy, gdzie była skrytka. Nie zdążyłem jeszcze przekopać się w głąb strychu, gdy na pobliskie targowisko nadjechały niemieckie samochody (...). Przez szparę w strychu widziałem, jak Niemcy prowadzili uliczką naszych sąsiadów: pana Makarskiego, dzwigającego maszynę do pisania, i pana Jaśkiewicza, którzy współpracowali przy wydawaniu i kolportażu gazetki »Reduta« – tak Marian Baran, syn aresztowanego wtedy Władysława Barana (nr obozowy 46846), wspominał początek pacyfikacji Garbatki-Letniska w powiecie kozienickim, dokonanej 12 lipca 1942 r. przez gestapo przy udziale żandarmerii niemieckiej i Wehrmachtu.

Miejscowość ta należała podczas okupacji niemieckiej do dystryktu radomskiego Generalnego Gubernatorstwa. Jej pacyfikacja – dokonana w odwecie za działalność polskiej konspiracji – nie była niczym niezwykłym w realiach okupacji niemieckiej. Taka forma odwetu i terroru dotknęła podczas okupacji niemieckiej 817 polskich wsi, z których ponad



Wśród aresztowanych było także wiele osób przyjezdnych. Nz. stacja kolejowa w Garbatce-Letnisku.

440 zostało całkowicie lub częściowo spalonych, co z reguły było połączone z rozstrzeliwaniem mieszkańców oraz grabieżą ich mienia. Pacyfikacja Garbatki-Letniska na tle takich miejscowości różniła się tym, że dużą część jej mieszkańców deportowano natychmiast do KL Auschwitz.

Gorliwy Fuchs

Akcją represyjną w Garbatce-Letnisku i okolicach kierował SS-Hauptsturmführer Paul Fuchs – szef placówki gestapo w dystrykcie radomskim, nazywany nie tylko z powodu nazwiska „lisem z Radomia”. Fuchs pracował w gestapo od 1936 r. Podczas kampanii wrześniowej 1939 r. służył w Einsatzkommando 2/III (jednostce operacyjnej Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa) przy 8. Armii niemieckiej. Następnie organizował struktury gestapo w dystrykcie radomskim (do jesieni 1942 r. był to referat IIIC, później referat IV miejscowej komendy

Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa) i był ich szefem przez całą okupację niemiecką. Należał do tych funkcjonariuszy gestapo, którzy wyróżniali się szczególną gorliwością w walce z polskim podziemiem, ludobójstwie Żydów i terrorze wobec Polaków. Wynikiem działań Fuchsa i kierowanej przez niego placówki gestapo była m.in. deportacja w latach 1940-1944 ok. 16 tys. polskich więźniów politycznych z dystryktu radomskiego do KL Auschwitz.

Polskie podziemie wiedziało o mających nastąpić w Garbatce aresztowaniach. Komendant AK obwodu kozienickiego Adam Bielawski kilkakrotnie otrzymywał doniesienia o tworzeniu przez gestapo list proskrypcyjnych. Między innymi 10 lipca 1942 r. Stanisław Ruman – szef wywiadu AK obwodu kozienickiego – otrzymał od osoby zatrudnionej w radomskim gestapo listę niemal 700 nazwisk wyznaczonych do aresztowania mieszkańców Garbatki-Letniska i okolic, którą niezwłocznie

przedstawił Bielawskiemu. Nie wiadomo, dlaczego nie ostrzeżono mieszkańców Garbatki o grożącym im niebezpieczeństwie. Najprawdopodobniej nie było to możliwe z powodu szybkości działań niemieckich. Już bowiem 11 lipca 1942 r. zgromadzenie większej liczby oddziałów niemieckich zablokowało dostęp do Garbatki-Letniska i pobliskich miejscowości.

Akcja pacyfikacyjna została dobrane przygotowana przez Fuchsa i jego ludzi. Wieś podzielono na sektory przyporządkowane konkretnym pododdziałom. Każdy dom, w którym mieszkali osoby wyznaczone do aresztowania, został otoczony. Tych, którzy próbowali uciekać, zabijano. Jeżeli nie zastano mężczyzny

kryte wagony towarowe, w których umieszczono pod silną eskortą 217 aresztowanych. Transport ten skierowano przez Radom i Kielce do KL Auschwitz, gdzie został zarejestrowany 13 lipca 1942 r.

Ofiarami aresztowań w Garbatce-Letnisku byli m.in. Zenon Majer (nr 46801) – zastępca dowódcy placówki AK w Policznej, Stefan Bronik (nr 46872), Włodzimierz Chojnacki (nr 46829), Wiktor Frączkowski (nr 46868) i Jan Jagodziński (nr 46857) – zaangażowani w kolportaż prasy konspiracyjnej, oraz uczestniczący w działalności konspiracyjnej leśnicy: Szczepan Gieruszka (nr nieznany), Stanisław Handelsman (nr 62353) i jego syn Wiesław (nr 46910), Mieczysław Jasiński

Podczas okupacji Niemcy spacyfikowali 817 polskich wsi. Ponad 440 zostało całkowicie lub częściowo spalonych, co z reguły było połączone z rozstrzeliwaniem mieszkańców.

figurującego na liście, zabierano jako zakładniczkę jego żonę. Zatrzymywano także przypadkowe osoby, które przebywały w tym czasie we wsi. Aresztowanych zbierano w grupy i kazano im kłaść się na wiejskiej drodze twarzą do ziemi. Następnie zwożono ich samochodami pod silną eskortą do budynku miejscowej szkoły. Równocześnie z akcją w Garbatce-Letnisku przeprowadzono aresztowania w pobliskich miejscowościach: Garbatce Długiej, Garbatce-Zbyczynie i Ponikwie.

Likwidacja getta

Podczas akcji pacyfikacyjnej Garbatki-Letniska podkomendni Fuchsa zlikwidowali też miejscowe getto – 62 Żydów zastrzelono, a kilkudziesięciu dołączono do aresztowanych Polaków. Spośród osób zgromadzonych w szkole wybrano 52 zakładników (po dwóch księży, dwóch nauczycieli, dwóch lekarzy, dwóch pracowników leśnictwa itd.), którzy mieli zostać natychmiast rozstrzelani, gdyby polskie podziemie spróbowało przeciwdziałać trwającej pacyfikacji. Około godz. 18 na bocznicę miejscowego tartaku podstawiono

(nr nieznany), Zenon Łuczywko vel Łuczywek (nr 46855) i Tadeusz Mąkowski (nr 46887).

Do dzisiaj nie ustalono dokładnej liczby aresztowanych podczas pacyfikacji Garbatki-Letniska i okolic pomimo śledztwa prowadzonego w latach 70. przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Według jednego z powojennych szacunków miano aresztować 973 osoby, w tym 318 z samej Garbatki-Letniska. Inny szacunek z tego okresu podawał, że aresztowano ponad 800 osób, w tym ok. 700 z Garbatki-Letniska. Trudność w dokładnym ustaleniu liczby aresztowanych bierze się stąd, że była to popularna miejscowość letniskowa i wśród aresztowanych znajdowało się także wiele osób przyjezdnych. Deportowano je do KL Auschwitz w okresie późniejszym, w różnych transportach z dystryktu radomskiego.

Sporządzony przez gestapo raport z 21 sierpnia 1942 r. podaje, że podczas akcji pacyfikacyjnej w Garbatce-Letnisku i okolicach ujęto 297 osób (221 Polaków i 76 Żydów), z których 57 pozostawiono do dalszych przesłuchań, 23 zwolniono, a 217 osób

(141 Polaków i 76 Żydów) natychmiast skierowano do KL Auschwitz. Był to jedyny w historii tego obozu transport więźniów aresztowanych w jednej miejscowości i od razu wyслanych do Auschwitz.

Brutalne śledztwo

Jako przyczynę akcji represyjnej podano we wspomnianym raporcie ataki na pociągi niemieckie przewożące zaopatrzenie dla Wehrmachtu na froncie wschodnim, dokonywane od jesieni 1941 r. do stycznia 1942 r. na trasie Pionki-Garbatka. Gestapo ujęło 13 żołnierzy polskiego podziemia biorących w nich udział i w wyniku śledztwa zorientowało się, że na terenie gminy Garbatka-Letnisko znajduje się silny ośrodek polskiej konspiracji. Już na początku okupacji powstała tam Polska Organizacja Wojskowa, która w 1940 r. została włączona do ZWZ. W 1940 r. umieszczono w Garbatce-Letnisku komendę ZWZ (później AK) obwodu kozienickiego. Wiosną 1941 r. zaczęto też organizować Bataliony Chłopskie. Większość mieszkańców gminy była zaangażowana w działalność konspiracyjną lub ją wspierała.

57 osób pozostawionych w budynku szkoły powszechnej w Garbatce poddano brutalnemu śledztwu, które trwało 18 dni. Oprócz Paula Fuchsa okrucieństwem wobec aresztowanych wyróżniał się gestapowiec Kurt Steigert. Po zakończeniu śledztwa zwolniono 14 mężczyzn i trzy kobiety. Pozostałych wysłano do więzienia policyjnego w Kielcach, skąd później także trafili do KL Auschwitz. Spośród 217 osób przywiezionych do KL Auschwitz 13 lipca 1942 r. co najmniej 163 zginęły w tym obozie jeszcze przed końcem 1942 r. Z tego transportu wojnę przeżyło prawdopodobnie tylko 12 osób. Ogółem spośród kilkuset osób aresztowanych i zatrzymanych podczas pacyfikacji Garbatki-Letniska i okolicznych miejscowości wojnę przeżyło 46. Była to zatem akcja eksterminacyjna, której cel stanowiła zagłada Polaków zaangażowanych w działalność konspiracyjną lub o to tylko podejrzewanych oraz przebywających jeszcze w tej miejscowości Żydów. ■

Historia dla dorosłych

Prof. Romanowski na pierwszym miejscu stawia prawdę, a nie narodową, religijną czy środowiskową mitologię

Paweł Sergiejczyk

Z historią mamy w Polsce problem. Bo z jednej strony, półki księgarskie (a nawet kosze z książkami w dyskontach spożywczych) pełne są coraz to nowszych książek historycznych, w każdym kiosku można znaleźć kilkanaście czasopism ze słowem „historia” w tytule, portale internetowe i YouTube także pęcznią od materiałów dotyczących przeszłości. Z drugiej jednak strony – poziom wiedzy historycznej przeciętnego Polaka wcale nie wzrasta, a wręcz można powiedzieć, że jest katastrofalnie niski, zwłaszcza w porównaniu z sytuacją sprzed kilku dziesięcioleci.

Lata 1956-1989 to czas niezwykłego rozkwitu zarówno nauki historycznej, jak i popularyzacji wiedzy o dziejach, nie tylko zresztą ojczystych.

To zdumiewający paradoks, że demokracja, wolny rynek i wolność słowa przyniosły spadek zapotrzebowania na rzetelną wiedzę historyczną, której kilka pokoleń Polaków tak łaknęło w okresie Polski Ludowej. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że epoka „łagodnej PRL”, czyli lata 1956-1989, to czas niezwykłego rozkwitu zarówno nauki historycznej, jak i popularyzacji wiedzy o dziejach, nie tylko zresztą ojczystych. W niewielkim stopniu przeszkadzała temu rozkwitowi cenzura (która dotyczyła głównie dzieł najnowszych, a i to przede wszystkim w zakresie stosunków polsko-radzieckich), a jeszcze mniejszym problemem była oficjalna ideologia marksistowsko-leninowska, stanowiąca jedynie urzędowy „ozdobnik” polskiej humanistyki

i zupełnie niewpływająca na autentyczną popularność wartościowej literatury historycznej w szerokich kręgach społecznych.

Co jest najważniejsze w historii

Co w takim razie stało się po 1989 r. z Polakami i ich stosunkiem do przeszłości? Na pewno głównymi winnymi są sami historycy, którzy w ogromnej większości zajęli się dziejami XX w., co było zrozumiałym wypełnianiem „białych plam”, ale jednocześnie zepchnęło w cień poprzednie epoki, niejako wycinając większość naszej historii ze społecznej świadomości. Symbolicznym zadekretowaniem tej tendencji było

utworzenie Instytutu Pamięci Narodowej, którego obszarem zainteresowań uczyniono dzieje Polski od 1939 do 1989 r. A więc „pamięć narodowa” ma się ograniczać jedynie do tego półwiecza, ze szczególnym uwzględnieniem „zbrodni komunistycznych”, za które IPN uznaje niemal każde działanie aparatu władzy Polski Ludowej. A co z pamięcią o Pierwszej Rzeczypospolitej, o okresie zaborów, o Drugiej Rzeczypospolitej? Czy te epoki są mniej ważne dla naszej narodowej tożsamości? Czy naprawdę nie ma już potrzeby wydawania nowych książek o dziejach Polski z lat 966-1939? Czy rzeczywiście najważniejsze dla naszej „pamięci narodowej” są kolejne, coraz bardziej drobiazgowo (a przy tym śmiertelnie nudne!) analizy „działalności aparatu

bezpieczeństwa” w poszczególnych powiatach i wobec poszczególnych środowisk albo hagiograficzne opisy losów każdego, choćby najmniejszego oddziału „żołnierzy wyklętych”?

Mocno spóźniony, a przez to coraz bardziej infantylny antykomunizm naszych historyków – szczególnie tych wychowanych już w Trzeciej Rzeczypospolitej – z pewnością ma wpływ na zaniedbanie poważnej, całościowej refleksji nad tysiącletnimi dziejami Polski (również na tle europejskim i globalnym). W ten sposób otwiera się pole dla przeróżnych szarlatanów, pseudobadaczy i pseudopopularyzatorów, którzy są dziś w stanie sprzedać mało wybrednej publiczności każdą bzdurę, byle brzmiącą wystarczająco sensacyjnie: od bajek o „Wielkiej Lechii” czy wspólnym polsko-hitlerowskim marszu na Moskwę, po nieledwie pornograficzne publikacje o życiu prywatnym władców i innych „celebrytów z przeszłości”. Nie wspominając już o nowym rodzaju „powieści historycznej”, cieszącej się ostatnio zdumiewającą popularnością: perwersyjnych „romansach z Auschwitz” i innych obozów śmierci...

Na szczęście są jeszcze autorzy, którzy traktują historię poważnie i mają o niej coś naprawdę ważnego do powiedzenia. Z całą pewnością należy do nich prof. Andrzej Romanowski, krakowski polonista, który od blisko dwóch dekad zajmuje jedną z najważniejszych pozycji w polskiej humanistyce – redaktora naczelnego Polskiego Słownika Biograficznego. To pomnikowe dzieło, wydawane od 1935 r. i jeszcze dalekie od ukończenia (obecnie ukazują się hasła na literę „T”), zawiera życiorysy wszystkich postaci, które odegrały jakąkolwiek rolę w życiu ziem polskich i polskiego narodu.

Dobrze znany czytelnikom PRZEGŁADU prof. Romanowski obcuje więc na co dzień z całością dziejów ojczystrych – zarówno ze średniowieczem, jak i z XX w., zarówno z bohaterami, jak i z łajdakami, zarówno z Polakami katolikami, jak i z innowiercami mówiącymi często innymi językami.

Takie spojrzenie sprawia, że krakowski uczony jest nie tylko znawcą całej historii Polski, ale również wyróżnia się empatią, czyli umiejętnością zrozumienia losów i wyborów każdej z opisywanych w PSB postaci. Podstawowym założeniem słownika jest bowiem pełny obiektywizm, który nie pozwala domyśleć się, jaki jest osobisty stosunek autora hasła i redakcji PSB do danej postaci. Jakże to inny sposób zajmowania się historią od tego, który narzucił Polakom IPN!

Sprawiedliwie o przeszłości

Prof. Romanowski jest zarazem znakomitą przedstawicielem gatunku, który w naszej literaturze już prawie zaginął – eseju historycznego. W jego tekstach, publikowanych od 45 lat na łamach różnych tytułów (m.in. „Gazety Wyborczej”, „Polityki”, a przede wszystkim „Tygodnika Powszechnego”, którego członkiem redakcji był przez wiele lat), łatwo wyczuć nie tylko empatię wobec dawnych i mniej dawnych postaci, lecz i osobisty ton, często odwołujący się do własnych wspomnień autora lub osób mu bliskich – rodziny, przyjaciół, mistrzów naukowych i politycznych. Trudno nie zgodzić się z jednym z owych mistrzów, Stanisławem Stomą, który miał kiedyś powiedzieć Romanowskiemu: „Bo widzi pan, »Tygodnik Powszechny« jest tak emocjonalnie, prawicowo naprężony... A to, co pan pisze, jest takie inne, takie miłe”.

Z pewnością to, co pisze Romanowski, jest inne. A czy jest miłe? To zależy dla kogo. Bo – powtórzmy to jeszcze raz, bardzo dobitnie – uprawia on historię dla dorosłych, a więc taką, która na pierwszym miejscu stawia prawdę, a nie narodową, religijną czy środowiskową mitologię. A prawda nie zawsze i nie dla każdego jest miła. Szczególnie nie jest miła dla tych, którzy używają narodowej przeszłości

jak obucha, by walić nim po głowach przeciwników politycznych czy ideowych, a także domniemyanych wrogów zewnętrznych.

Wydany przez Universitas zbiór swoich najważniejszych „szkiców historycznych i osobistych”, noszący wymowny tytuł „Pamięć gromadzi prochy”, Andrzej Romanowski opatrzył wstępem wyjaśniającym, jak rozumie historię Polski: „Polski między Niemcami, Rosją i Ukrainą; Polski z Litwą i Rusią; Polski katolickiej, prawosławnej i protestanckiej; Polski niemieckiej – jak na Mazurach, Pomorzu i Śląsku; Polski żydowskiej”.

Dodajmy do tej wyliczanki jeszcze jeden element: Polskę Ludową, nazywaną dziś powszechnie „komunistyczną” (a w skrajnym wydaniu nawet „Polską pod okupacją sowiecką”). Bo choć krakowski publicysta w latach 80. brał udział w solidarnościowym podziemiu, a w następnej dekadzie był aktywnym działaczem głównej partii post-solidarnościowej (ROAD, później

Unii Demokratycznej i Unii Wolności), to należy do tych nielicznych osób ze swojego środowiska, którzy Polską sprzed 1989 r. nie pogardzają, a wręcz przeciwnie – starają się zrozumieć wybory i dylematy ludzi, którzy byli zaangażowani w budowę tamtego ustroju i wierzyli w jego dziejową konieczność. W końcu to ci ludzie – na czele z prezydentem Wojciechem Jaruzelskim, o którym bardzo ciekawy szkic znajduje się we wspomnianej książce – bezkrwawo doprowadzili Polskę do niepodległości i demokracji. Zamiast społecznej wdzięczności i miejsca w narodowym panteonie doczekali się jednak tylko brutalnych epitetów i oskarżeń (także na ławie sądowej).

Romanowski jest jednym z niewielu ludzi spoza kręgu lewicy, którzy domagają się prawdziwej sprawiedliwości: uznania, że doprowadzenie do 4 czerwca 1989 r. zmazało z ludzi PZPR wszelkie winy przeszłości, łącznie z 13 grudnia 1981 r. Nic dziwnego, że jako jeden z pierwszych zaprotestował przeciwko lustracji i powołaniu IPN, widząc w tych działaniach prymitywną zemstę, nieliczącą z chrześcijańską tożsamością naszego narodu. Cena, jaką Romanowski zapłacił za swoją intelektualną i moralną odwagę, była niemała: zerwanie z „Tygodnikiem Powszechnym” i Unią Wolności, które na początku naszego stulecia w większości zachłysnęły się IPN-owskim antykomunizmem, a także niezliczone ataki, jakie niemal po każdym tekście krakowskiego autora spotykały go na łamach prawicowej (i nie tylko) prasy.

Jednak „Pamięć gromadzi prochy” to najmniej „publicystyczna” z wydanych dotąd książek Romanowskiego (pomijając książki stricte polonistyczne, których w jego dorobku nie brakuje). Bo też i zakres tematów jest tu niespotykany: od przepięknego eseju o dwóch zapomnianych polskich królowych, z których jedna (Rycheza) była Niemką, a druga (Helena) Rosjanką, po wzruszające „szkice rodzinne” – o rodzinie Bytnarów, z której pochodziła matka Romanowskiego (zaś sławny „Rudy” z „Kamieni na szaniec” był jego wujem), o tragicznych losach innego wuja – „żołnierza wyklętego”, ▶



Książkę Andrzeja Romanowskiego
Pamięć gromadzi prochy.
Szkice historyczne i osobiste
wydało wydawnictwo Universitas.
Kontakt w sprawie zamówień książek:
+48 12 413 91 36 (pon.-pt. godz. 8-16),
księgarnia@universitas.com.pl

► wreszcie o polsko-żydowskich dziejach krakowskiej kamienicy, w której profesor się wychował.

Jaka polskość

Ale mamy tu także teksty o „poganach w Warszawie” (czyli średniowiecznych najazdach Litwinów na Mazowsze) i „Moskalach w Warszawie” (czyli wejściu do Polski wojsk

wielowiekowych związków Polski z Ukrainą i Rosją oraz zapomnianego dziedzictwa polskiego prawosławia. Z drugiej zaś strony krakowski humanista nie zapomina o niemieckim dziedzictwie naszej kultury i naszych ziem: tekst „Polska – ojczyzna Niemców”, opublikowany kilka miesięcy temu w „Gazecie Wyborczej”, wywołał najnowszą falę ataków prawicy na Romanowskiego.

Czy rzeczywiście najważniejsze dla naszej „pamięci narodowej” są hagiograficzne opisy losów każdego, choćby najmniejszego oddziału „żołnierzy wyklętych”?

carą Piotra I jako sojusznika naszego króla Augusta II), o „rewolucji po polsku” (czyli Sejmie Czteroletnim) i Tadeuszu Kościuszcze (pod wymownym tytułem: „Tatar czy Jankes?”). Romanowskiego zawsze ciągnęło na Wschód, czego efektem są jego badania nad literaturą i kulturą „kresową”, ale także erudycyjne szkice historyczne – zamieszczone w najnowszej książce – na temat

Jak przystało na redaktora naczelnego PSB, nasz eseista mistrzowsko porusza się po tematach biograficznych. Kogo w tej książce nie ma? Roman Dmowski (a właściwie niemal zupełnie nieznane jego „krakowskie lata”) i Eliza Orzeszkowa, gen. Nikodem Sulik i gen. Emil Fieldorf, Eugeniusz Kwiatkowski (którego Romanowski poznał jako młody człowiek) i prezydent Edward Raczyński, Jan

Nowak-Jeziorański i płk Józef Rybicki, Stanisław Stomma i Adam Michnik, wreszcie uczelniany mistrz i opiekun, prof. Henryk Markiewicz, po którym Romanowski przejął redakcję PSB.

Znajdziemy tu również swoiste credo autora – artykuł sprzed 10 lat zatytułowany „Czym jest polskość”. Po jego lekturze nikt nie może mieć wątpliwości, że właśnie polskość jest miłością życia Romanowskiego, ale miłością trudną, bo niesztampową. Można by rzec – parafrazując Wyspiańskiego – że polskość swą chciałby on widzieć ogromną: wieloetniczną, wielowyznaniową, wieloświatopoglądową (od katolików po ateistów, od romantyków po ugodowców, od endeków po komunistów). To jest polskość integralna, która dodaje i mnoży, a nie odejmuje i dzieli – pod jakimkolwiek pretekstem. To polskość, która nikogo nie wyklucza, za to każdego, kto się z nią związał, przyjmuje – właśnie w imię prawdy historycznej. I za tę piękną i mądrą wizję polskości winniśmy Andrzejowi Romanowskiemu wdzięczność.

Paweł Siergiejczyk

Wystawa

NASZE ZRYWY POWSTAŃCZE

1806 - 1918/19

Do 20 września 2022



**Główna Siedziba
Muzeum Niepodległości
Pałac Przebendowskich/Radziwiłłów
al. Solidarności 62
00-240 Warszawa**



**NASZE ZRYWY
POWSTAŃCZE**
1806-1918/19



Mazowsze
serce Polski



**MUZEUM
NIEPODLEGŁOŚCI**



Obraz pt. „Śmielec Powstańca Wielkopolskiego” Jana Kausa. Inowrocław 6 I 1919 r., olej, 2009 r. Autor Konrad Szary

Niemoralne gry

Stany Zjednoczone i Europa nie są zainteresowane rozwiązaniami dyplomatycznymi

NOAM CHOMSKY

Rozmawia David Barsamian

12 maja 2022 r. Noam Chomsky udzielił wywiadu Davidowi Barsamianowi – dyrektorowi Alternative Radio. Obszerne fragmenty wywiadu ukazały się potem na stronie TomDispatch.com (16 czerwca 2022 r.) oraz na stronie internetowej magazynu „The Nation” (17 czerwca 2022 r.).

Noam Chomsky jest emerytowanym profesorem w Katedrze Lingwistyki i Filozofii w Massachusetts Institute of Technology (MIT). Zdaniem niektórych, np. Chrisa Hedgesa, jest najznakomitszym amerykańskim intelektualistą. Jego dokonania w sferze lingwistyki są niepodważalne. W dobie walki w świecie uniwersyteckim o liczbę cytowań robi wrażenie fakt, że Chomsky znajduje się w pierwszej dziesiątce rankingu, obok Arystotelesa, Platona, Szekspira, Marksa czy Freuda.

Chomsky od dziesięcioleci (ma obecnie 94 lata i nadal jest aktywny) angażuje się w amerykańską debatę społeczno-polityczną. Jeśli chodzi o jego poglądy na politykę, to wielokrotnie dał się poznać jako ostry krytyk zarówno polityki wewnętrznej, jak i zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Z jego wypowiedzi silnie przebiega pacyfizm oraz niechęć do wolnego rynku, którego wolność – w jego przekonaniu – istnieje jedynie w teorii. W praktyce jest stale negowana poprzez tworzenie się w jego ramach monopoli wielkich korporacji. Stanowisko polityczne Chomsky’ego uchodzi zatem za radykalnie lewicowe. Sam zainteresowany określa się mianem wolnościowego socjalisty.

Chomsky, obok prac językoznawczych, jest autorem bardzo wielu książek z zakresu polityki, z których część została przetłumaczona na język polski. Są wśród nich: „Siła i opinia”, „Hegemonia albo przetrwanie. Amerykańskie dążenie do globalnej dominacji”, „Zysk ponad ludzi: neoliberalizm a ład globalny”.

Zacznijmy od prezydenta Busha ojca i jego zapewnienia skierowanego do ówczesnego przywódcy radzieckiego Michaiła Gorbaczowa, że NATO nie posunie się „ani milimetr na wschód” – zobowiązanie to zostało potwierdzone. Pytanie, dlaczego Gorbaczow nie dostał tego na piśmie?

– Zaakceptował on dżentelmeńską umowę, która w świecie dyplomacji nie jest niczym nadzwyczajnym. Ponadto posiadanie tej deklaracji na papierze nie czyniłoby wielkiej różnicy. Traktaty zapisane na papierze są deptane cały czas. To, co się liczy, to fakt, czy są zawierane w dobrej

inne etniczne wspólnoty w USA zapewnił: „Nie martwcie się, przyłączymy was do NATO”. Na przełomie 1996 i 1997 r. powiedział swojemu przyjacielowi, prezydentowi Rosji Borysowi Jelcynowi wprost: „Nie upieraj się zbytnio w kwestii NATO, zamierzamy je rozszerzyć z uwagi na to, że potrzebuję głosów mniejszości narodowych zamieszkujących Stany Zjednoczone”. W 1997 r. Clinton zaprosił kraje Grupy Wyszehradzkiej – Węgry, Czechosłowację [Czechy, nie Czechosłowację – przyp. PK], Rumunię [Polskę, nie Rumunię – przyp. PK] – aby przyłączyły się do NATO. Rosjanie nie byli zachwyceni, ale nie robili wielkiej wrzawy. Potem przyłączyły się państwa bałtyckie z podobną reakcją [Rosji – przyp. PK].

Jest tylko jeden sposób, aby zakończyć horror związany z wojną, a jest nim dyplomacja.

wierze. W rzeczy samej, Bush senior w pełni honorował tę umowę. Posunął się nawet do zinstytucjonalizowania „partnerstwa dla pokoju”, do którego mogły przystąpić kraje Euroazji. Przykładowo, kraje takie jak Tadżykistan mogły się przyłączyć, nie będąc formalnie częścią NATO. Gorbaczow to aprobował. Mógł to być krok ku stworzeniu tego, co nazywał wspólnym europejskim domem bez sojuszy militarnych. Także prezydent Clinton w pierwszych latach urzędowania przestrzegał tej umowy. Dopiero, jak podkreślają specjaliści, około roku 1994 Clinton zaczął mówić Rosjanom: „Tak, trzymamy się umowy”; polską zaś oraz

W 2008 r. Bush junior, który bardzo różnił się od seniora, zaprosił do NATO Gruzję i Ukrainę. Każdy dyplomata amerykański bardzo dobrze rozumiał, że Gruzja i Ukraina to dla Rosji nieprzekraczalne, czerwone linie. Tolerowałaby ona rozszerzenia gdzie indziej, ale nie w swoim geostrategicznym sercu. Potem w 2014 r. zdarzył się Majdan, skutkujący upadkiem prorosyjskiego prezydenta i Ukraina przesunęła się w kierunku Zachodu. Od 2014 r. USA i NATO zaczęły wysyłać Ukrainie zaawansowaną broń, organizować ćwiczenia wojskowe, wykonywać ruchy mające na celu dostosowanie Ukrainy do systemu dowodzenia NATO. Nie jest to żadną

► tajemnicą. (...) Ostatnio chwalił się tym sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg. Powiedział: „To jest to, co robimy od 2014 r.”. Rzecz jasna jest to świadome posunięcie, mocno prowokacyjne. Wiedzieli [Stoltenberg i decydenci NATO – przyp. PK], że wkraczają na obszar, którego naruszenia nie może tolerować żaden rosyjski przywódca. Francja i Niemcy zawetowały takie działania w 2008 r. [rozszerzenie NATO o Gruzję i Ukrainę – przyp. PK], lecz pod

w „programie”. Rzecznik Departamentu Stanu przyznał, że przed inwazją [Rosji na Ukrainę – przyp. PK] USA odmówiły jakichkolwiek dyskusji na temat rosyjskich obaw związanych z bezpieczeństwem.

24 lutego Putin dokonał inwazji, która jest przestępstwem. Wskazane wyżej poważne prowokacje nie stanowią dla niej usprawiedliwienia. Gdyby Putin był mężem stanu, zrobiłby coś całkiem innego. Wróciłby do prezydenta Francji Emmanuela

Jest tylko jeden sposób, aby zakończyć [horror związany z wojną – przyp. PK], a jest nim dyplomacja. Dyplomacja, z definicji, oznacza, że obie strony ją akceptują. Nie podobają się jej, ale akceptują ją jako opcję najmniej złą. Dawałaby ona Putinowi jakiś rodzaj koła ratunkowego. To jedna możliwość. Drugą jest przekonanie się, jak bardzo wszyscy ucierpią, ilu Ukraińców zginie, jak bardzo dotknie to wszystko Rosję, ile milionów ludzi umrze z głodu w Azji i Afryce, jak dalece posuniemy się w podnoszeniu temperatury ziemskiej atmosfery i uczynimy ludzką egzystencję niemożliwą. (...) Tak wygląda gra, w której gramy życiem Ukraińców, Azjatów, Afrykańczyków,

przyszłością cywilizacji, wszystko w celu osłabienia Rosji, upewnienia się, że Rosjanie będą dostatecznie cierpieć. Cóż, jeśli chcesz w nie grać, bądź co do tego uczciwy. Nie istnieją dla nich podstawy moralne. W rzeczywistości jest to moralnie przerażające. Ludzie zaś, którzy stoją na piedestale i opowiadają o tym, jak przestrzegamy zasad, są moralnymi imbecylami (...).

Mam dla pana zagadkę. Składa się z dwóch części. Rosyjskie wojsko jest nieudolne i niekompetentne. Jego żołnierze mają bardzo niskie morale i są źle dowodzeni. Gospodarka Rosji jest na poziomie Włoch i Hiszpanii. To pierwsza część.

Stoltenberg i decydenci NATO wiedzieli, że wkraczają na obszar, którego naruszenia nie może tolerować żaden rosyjski przywódca.

naciskiem USA kwestia ta pozostała na agendzie. A NATO, czyli Stany Zjednoczone, przyspieszyło de facto integrację Ukrainy z dowództwem wojskowym sojuszu.

W 2019 r. Wołodymyr Zełenski został wybrany [na prezydenta Ukrainy – przyp. PK] zdecydowaną większością głosów, głosząc program zaprowadzenia pokoju z Rosją oraz we wschodniej Ukrainie. Poczynił kroki w tym kierunku, próbował pojechać do Donbasu, aby implemmentować porozumienia mińskie. Oznaczałoby to federalizację Ukrainy z pewnym stopniem autonomii dla Donbasu. Coś na kształt rozwiązań szwajcarskich czy belgijskich. Został zablokowany przez prawicowe milicje, które zagroziły mu śmiercią, jeśli będzie kontynuował swoje działania. Cóż, jest on odważnym człowiekiem. Mógł posuwać się dalej w obranym kierunku, gdyby otrzymał jakiekolwiek wsparcie ze strony Stanów Zjednoczonych. Ameryka jednak odmówiła. (...) Była zdecydowana kontynuować politykę stopniowego przystosowywania Ukrainy do natowskiego systemu dowodzenia. Proces ten przyspieszył po wyborze prezydenta Bidena. Ogłosił on (...) „przyspieszony program” przygotowań [Ukrainy – przyp. PK] do członkostwa w NATO. Ponowne przyspieszenie nastąpiło w listopadzie 2021 r. Sekretarz stanu Antony Blinken podpisał tzw. „kartę”, która zasadniczo formalizowała i rozszerzała ustalenia zawarte

Macrona i jego wstępnych propozycji [uniknięcia wojny – przyp. PK] i podjął próbę pogodzenia się z Europą. Podjąłby kroki ku budowie wspólnego, europejskiego domu. Ameryka, rzecz jasna, zawsze była temu przeciwna. Musimy cofnąć się do prezydenta Francji Charlesa de Gaulle’a i jego inicjatywy wybicia się Europy na niezależność. Europy, mówiąc jego słowami, „od Atlantyku do Uralu”. Zintegrowania Rosji z Zachodem, co było czymś naturalnym tak z uwagi na handel, jak i bezpieczeństwo. Zatem, gdyby w wąskim kręgu Putina znaleźli się jacyś mężowie stanu, uchwyciliby się inicjatyw Macrona i zaryzykowali, aby zobaczyć, czy rzeczywiście możliwa

Za każdym razem, gdy podnosimy nasz budżet wojskowy, przeprowadzamy atak na samych siebie.

byłaby integracja z Europą i przezwyciężenie kryzysu. Zamiast tego Putin zwrócił się ku polityce, która z punktu widzenia rosyjskich interesów była totalnym idiotyzmem. Oprócz zbrodniczości inwazji obrał politykę, która wepchnęła Europę głęboko do kieszeni Stanów Zjednoczonych. Skłania nawet Finlandię i Szwecję do przystąpienia do NATO – to najgorsza możliwa konsekwencja z rosyjskiego punktu widzenia, pomijając zbrodniczą inwazję i dotkliwe straty, jakie z jej racji Rosja ponosi. (...)

W drugiej mówi się, że Rosja to wojskowy kolos, który grozi nam podbojem. Zatem potrzebujemy więcej broni, rozszerzmy NATO. Jak można pogodzić te dwie sprzeczne myśli?

– To dwie standardowe myśli podzielane przez cały Zachód. Właśnie udzieliłem długiego wywiadu w Szwecji co do jej planów przystąpienia do NATO. Wskazałem, że szwedzcy przywódcy mają w głowach dwie sprzeczne idee, o których właśnie pan wspominał. Pierwszą, związaną z napawaniem

się faktem, że Rosja okazała się papierowym tygrysem, niezdolnym do podboju miast leżących kilkanaście kilometrów od jej granic, bronionych przeważnie przez armię obywatelską. Zatem jest zupełnie niekompetentna pod względem militarnym. Druga myśl to przeświadczenie, że jest gotowa podbić Zachód i nas zniszczyć. George Orwell znalazł nazwę na określenie tego stanu. Nazwał to dwumyśleniem. (...) Orwell błędnie zakładał, że dwumyślenie jest czymś, co może funkcjonować wyłącznie w ultratotalitarnym państwie, którego satyrę nakreślił w „Roku 1984”. Można jednak doświadczać tego w wolnych, demokratycznych społeczeństwach. (...)

W artykule opublikowanym w „Truthout” cytuję pan mowę Eisenhowera z 1953 r. Co pana w niej zainteresowało?

– Powinien pan ją przeczytać i zobaczyć pan, dlaczego jest ciekawa. Zasadniczo wskazuje on w niej [prezydent Eisenhower – przyp. PK], że militaryzacja nie jest niczym innym aniżeli potężnym atakiem na nasze

własne społeczeństwo. (...) Jeden odrzutowiec oznacza o wiele mniej szkół i szpitali. Za każdym razem, gdy zwiększamy nasz budżet wojskowy, przeprowadzamy atak na samych siebie. (...) Ostatnio Biden zaproponował ogromny budżet wojskowy. Kongres powiększył go jeszcze, idąc dalej niż prezydent Biden sobie życzył. Oznacza to zasadniczy atak na

niebezpieczeństwo na świat, marnując potężne zasoby, które byłyby nieodzowne, gdybyśmy zamierzali stawić czoła poważnym kryzysom egzystencjalnym. Tymczasem wypychamy pieniądze podatników do kieszeni wydobywców paliw kopalnych po to, by mogli oni kontynuować destrukcję świata w tempie tak szybkim, jak to tylko możliwe. (...)

Zelenski został wybrany na prezydenta, głosząc program zaprowadzenia pokoju z Rosją i we wschodniej Ukrainie. Ale Ameryka odmówiła wsparcia.

nasze społeczeństwo, zgodnie z ujęciem Eisenhowera przedstawionym wiele lat temu. Usprawiedliwieniem tego jest twierdzenie, że musimy się bronić przed tym papierowym tygrysem, do tego stopnia wojskowo niekompetentnym, że nie może przebyć kilkunastu kilometrów od własnej granicy, by nie pogrążyć się w chaosie. Zatem uchwalając monstrualny budżet wojskowy, musimy poważnie się okaleczyć i sprowadzić

Są ludzie, którzy się z tego cieszą. Niech pan zajrzy do biur wykonawczych Lockheed Martin, ExxonMobil – ludzie są tam w ekstazie. (...) Są wychwalani za ratowanie cywilizacji poprzez niszczenie możliwości życia na ziemi. Niech pan wyobrazi sobie istoty pozaziemskie: gdyby one istniały, pomyślałyby, że jesteśmy szaleni. I miałyby rację.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

WOJNA W UKRAINIE

16 milionów osób już teraz
potrzebuje wsparcia.
PAH jest na miejscu i pomaga.

Wesprzyj nasze działania
w Ukrainie: pah.org.pl/wplac/



fot. Agata Grzybowska / RATS Agency

Po co społeczeństwu teatr

Trzeba mieć nadzieję i trzeba o nią walczyć. Trzeba również za pomocą sztuki projektować lepszą przyszłość

Rozmawia Tomasz Miłkowski

W tym roku mija 30 lat od pańskiego debiutu.

– Rzeczywiście, 30 lat. Bardzo ambitnie podszedłem do swojego debiutu, tekst był kontrowersyjny.

To był „Roberto Zucco” Koltęsa, autora wtedy wzbudzającego dyskusje. Pamiętam spektakl z żelazną konstrukcją na scenie, która niemiłosiernie skrzypiała i przerażała widzów.

– Mnie też. A w dodatku to była niemal prapremiera. Taki skok na głęboką wodę przy małym doświadczeniu, dużym zespole, w bardzo trudnej przestrzeni. Konstrukcja, o której pan wspomina, ważyła 7 ton. Po premierze zastanawiałem się, czy w ogóle będę reżyserem. Potem, kiedy robiłem „Antygonę w Nowym Jorku”, odczynałem: reżyserowanie wydało mi się wówczas bardzo łatwe.

Wspominam ten debiut, bo od razu było widać, że nie lubi pan teatru letniego, że szuka pan tematów gorących.

– Od początku byłem przejęty odpowiedzialnością, jaka spoczywa na reżyserze tworzącym spektakl. Przytłaczała mnie ilość pieniędzy wydawanych na scenografię, na honoraria, na całą realizację moich pomysłów, a przecież jest tyle innych ważnych potrzeb społecznych. Czułem się odpowiedzialny za zespół pracowników teatru, w którym pracuję, za ich czas, a potem czas ludzi, którzy przychodzą na spektakl, że im wszystkim zawracam głowę moimi ideami. I to mnie jako młodego człowieka przekonało, że aby odpowiedzialnie tworzyć teatr, trzeba realizować społeczną misję. Społeczeństwo po to wydaje pieniądze,

żeby poruszać ważne tematy, żeby świat zmieniać na lepsze. Jestem z rodziny nauczycielskiej. Dziadek, babcia, jej siostry byli nauczycielami po zaborach, jeździli po Polsce, uczali w różnych miejscach. Zawsze w mojej rodzinie była idea misji, społecznego działania, poczucia, że się coś tworzy dla innych, że nie siedzimy w jednym miejscu, że w życiu nie chodzi tylko o prywatną zasobność.

To poczucie misji zawsze mi towarzyszyło – kiedy zaczynałem reżyserować, miałem małe dzieci, jeździłem po Polsce, znikałem z domu na parę miesięcy, zadawałem sobie pytanie: jeśli to robię kosztem prywatnych wyrzeczeń, to przecież musi być poważny powód. Przedstawienia, które robiłem, musiały więc coś nakłuć, w coś uderzać. Musiały prowadzić do jakiejś realnej zmiany.

Teatr jako narzędzie zmiany wymaga konsekwencji, myślenia długofalowego.

To znaczy, że hasło Powszechnego, wzięte od Hübnera, „Teatr, który się wtrąca”, wyrasta z pańskich głębokich przekonań.

– To akurat wyrasta z przekonań Hübnera, ale razem z Pawłem Sztarbowskim uznaliśmy, że ten cytat zaczerpnięty z felietonu patrona świetnie oddaje ideę, którą chcemy realizować w Warszawie. Nie zdążyłem poznać Zygmunta Hübnera. Moim mistrzem w szkole teatralnej był Tadeusz Łomnicki. Profesor Łomnicki założył rodzaj koła studenckiego z naszym rokiem i z nami pracował. Duży wpływ wywarł na mnie również Maciej Prus, reżyser klasycznej literatury, który jednak zawsze wypowiadał się jako artysta w ważnych sprawach. Pracując z Prusem przez

wiele lat jako asystent w wielu jego spektaklach, czułem, że pracuję z uczniem Axera, który był uczniem Schillera – miałem poczucie tego powiewu pokoleń, uczestnictwa w sztafecie pewnej tradycji teatru społecznego, politycznego, który dotyka ważnych spraw.

W tym, co pan robi, nie brak tytułów, które wywołują teatralne trzęsienia ziemi. Już od debiutu. Potem dość przypomnieć budzące zgorszenie „Shopping and Fucking” (1999).

– Teatr jako narzędzie zmiany wymaga konsekwencji, myślenia długofalowego. Doraźny sukces bywa rzeczą zwodniczą, bo twórca zaczyna myśleć, co tu zrobić, żeby było fajnie, żeby znowu się podobało. Poruszanie tematów trudnych, nowych jest ryzykowne, ale zawsze

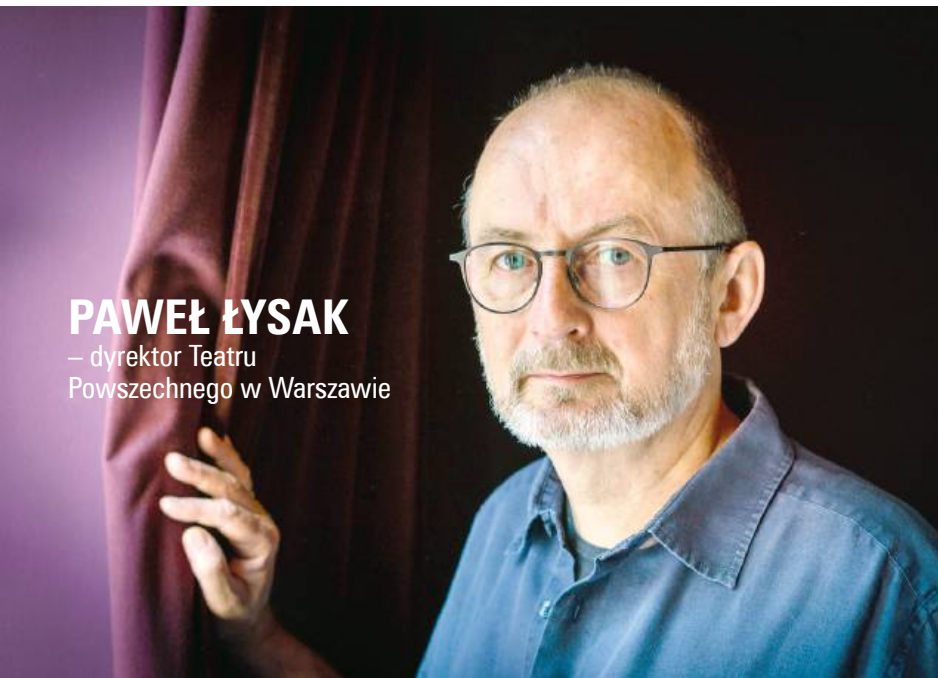
mnie pociągało – chociażby w naszej „Kłątwie”. Być może teraz „Kłątwa” byłaby inaczej przyjęta, po filmie „Kler” i po filmach braci Siekielskich. Współczesny teatr od lat wyprzedza w sztuce pewne zjawiska i tematy, które dopiero później trafiają do innych dziedzin, np. filmu czy telewizji. Bycie prekursorem zazwyczaj jest ryzykowne i często wiąże się z poważniejszymi konsekwencjami. Dla mnie „Shopping and Fucking” było dopełnione przez „Oczyszczonych” Warlikowskiego, których mieliśmy przyjemność koproduktować w Poznaniu.

Lubi pan takie tematy omijane szerokim łukiem?

– Taka jest rola teatru publicznego. Taka też jest rola dyrektora, aby dawać przestrzeń tematom

PAWEŁ ŁYSAK

– dyrektor Teatru Powszechnego w Warszawie



pomijamym. Żeby odpowiedzieć na pytanie: po co społeczeństwu teatr?

Pańscy adwersarze pytają: po co Powszechnemu tyle pieniędzy?

– Niestety, teatry publiczne są niedoinwestowane, a w związku z inflacją problemy tylko się mnożą. Teatry publiczne ze względu na misję, którą realizują, wymagają publicznego wsparcia. Inaczej jest w teatrach komercyjnych, gdzie mamy widza klienta, który przychodzi, płaci i wymaga. I zazwyczaj taki komercyjny teatr nie może być teatrem trudnym, nie może pozwolić sobie na ryzyko artystyczne i proces poszukiwania, długofalowy rozwój artystów i nowych stylistyk. Zresztą obowiązki teatru publicznego się zmieniają, a konieczność wsparcia jest stała. W Bydgoszczy przed wojną bardzo trudno było grać klasykę polską. Społeczeństwo płaciło specjalnie na nierentowne przedstawienia, żeby rozwijać w Bydgoszczy język polski.

Skoro o klasycie mowa, w Teatrze Powszechnym ostatnio rzadko gości na afiszu.

– Nie zgodzę się, w trakcie ostatnich ośmiu sezonów dużo czerpaliśmy z klasycznych tekstów. Adaptowaliśmy teksty m.in. Szekspira, Reymonta, Słowackiego, Czechowa, Wyspiańskiego, Dantego Alighieri, Kafki czy Orwella. Czuję się spadkobiercą tradycji Schillerowskiej.

Klasyka jest rezerwuarem idei teatralnych. Ale właśnie dlatego musi być żywa. Wierność klasycie polega nie na wierności słowu, ale na wierności idei. Powinna nas stymulować, być inspiracją. Jeśli ktoś chce być wierny słowu, to niech czyta tekst.

Andrzej Żurowski odsyła obrońców Szekspira przed reżyserami do biblioteki.

– To dobry przykład, bo przecież Szekspir pierwszy przepisywał teksty poprzedników, korzystał z nich i budował nowe sensy. Inna rzecz, że był genialny. Dlatego niektórzy mówią: w porządku, rozwalasz stare teksty, to zrób lepszy. Nie jest łatwo zrobić coś lepszego od Czechowa czy Szekspira.

Może trafi się jakiś klasyk w następnych sezonach, ale ten kończy pan dwoma mocnymi spektaklami, brawurowym „Orlandem” Agnieszki Błońskiej i ważnym spektaklem „Odpowiedzialnością” Michała Zadary, choć pod względem teatralnym dość wątpliwym.

– Ja bym protestował przeciw takiemu określeniu jak „względ teatralny”. Jeśli coś jest przedstawione w teatrze, to jest teatralne.

To jednak wykręt powtarzany za Marcellem Duchampem, który dowodził, że jak coś jest pokazane w galerii sztuki, to już jest sztuką.

– No tak. Ale dzisiaj wciąż jesteśmy pomiędzy teatrem literackim, performansem, teatrem tańca czy projekcją – myślę, że ścisła kategoryzacja przestała obowiązywać.

Zgoda, ale jest jednak jakiś element warsztatowej precyzji, którego bym nie lekceważył. Bez tego spektakl może tylko przekonać do jakichś racji, ale nie porwie.

– Jednak wzruszenie wielu widzów i wyjmowane chusteczki na spektaklu Zadary świadczą o sile tego przedstawienia. Tam wydarzyła się „rzecz teatralna”. I ten spektakl o tragediach na granicy polsko-białoruskiej, choć podawany w suchy sposób, wywołał katharsis. Na premierze kilka osób wokół mnie przeżyło to naprawdę głęboko.

Zupełnie inny był „Orlando”, spektakl porywający także bujną formą. Nie tylko uchylał drzwi do świata queerowego, ale był atrakcyjnym show.

– W Powszechnym uprawiamy teatr krytyczny, który wciąż nakłuwają miejsca bolesne, oskarża, odśladania niewidoczne, narusza tabu. I teraz myślimy, w jaki sposób ten teatr krytyczny może nieść nadzieję. Teatr krytyczny łatwo się robi w dobrych czasach. Człowiek przychodzi do teatru, dostaje w głowę, bo teatr mówi mu: uważaj, nie bądź taki zadowolony. Jednak teraz wszyscy jesteśmy strauumatyzowani, przez ostatnie dwa lata mocno uderzył w nas covid, wszyscy jesteśmy przejęci wojną tuż przy granicy, ale też katastrofą klimatyczną i wieloma innymi lękami, dlatego myślę, że w takim czasie teatr powinien nieść nadzieję i zachęcić do kreowania jaśniejszych wizji. Agnieszka Błońska w taką właśnie stronę poprowadziła swój spektakl. **Nie tylko w tym spektaklu, ale w wielu innych w pańskim teatrze pojawia się taki refren, jakby wyjęty z Czechowa, że kiedyś, za lat 100, a choćby 15, będzie lepiej. Tak było choćby w „Radio Marii”.**

– Tak, „Radio Marii” to wbrew głosom z prawicy bardzo optymistyczny spektakl. Może wiara w utopię bywa naiwna, ale jest chyba bardzo potrzebna. Trzeba mieć nadzieję i trzeba o nią walczyć. Trzeba również za pomocą sztuki projektować lepszą

► przyszłość. Jesteśmy odpowiedzialni za to, co zostawimy następnym pokoleniom. Projektowanie nowych form i narzędzi społecznych towarzyszy nam w Powszechnym od dawna.

Walczyć można rozmaicie – także nowym językiem. Pan podejmuje sporo takich przedsięwzięć na granicy ryzyka, jak choćby w „Jądrze ciemności” w pańskiej reżyserii.

– Wciąż poszukujemy języka, którym najlepiej dotrzemy do widza. Całe moje życie artystyczne, w tym dyrektorskie, upływa w świecie, w którym teatr jest zagrożony. Kiedy zaczynałem w latach 90., gwałtownie malała liczba widzów. Stąd moją ideą stało się poszerzanie kręgu odbiorców, dotarcie do ludzi, którzy do teatru nie chodzą, także do młodych,



Orlando



Jądro ciemności

biedniejszych i tych, którzy mówią, że teatr to nuda. Stąd poszukiwanie innego języka, wychodzenie w różne strony. Po premierze spektaklu „Krzyćcie, Chiny!” zaprosiliśmy ludzi pracujących na bazarku niedaleko Stadionu Narodowego. Przyszli – to byli Czecheni, Ukraińcy, Wietnamczycy, pierwszy raz w życiu pojawili się w teatrze. Dla mnie to było uskrzydlające. Zawsze szukałem takiego dotarcia, co potwierdzają nasze działania na Pradze, na ulicy Żąbkowskiej, zbliżenie teatru do osób, które do teatru nie chodzą. Tak więc wychodzimy z budynku, ale i zapraszamy do nas.

Teatr jako miejsce ma jednak swoją prestiżową markę.

– Tak, to prawda, działania na zewnątrz mogą widzów zainteresować, zachęcić, ale w teatrze to co innego. Teatr to miejsce prestiżowe, ale i wymagające, wciąż potrzebujemy wzmoczonej pracy edukacyjnej i działań na rzecz zwiększenia świadomego uczestnictwa w kulturze. Nawet duża liczba darmowych działań tego nie załatwi. Teatr to jednak wciąż miejsce specjalne.

Widać to w „Orlandzie” – drag queen mówią z dumą, że są na scenie Teatru Powszechnego.

– To ciągle poszerzanie biegnie nie tylko w stronę lokalnej społeczności, ale i za granicę, naszą dumą jest współpraca międzynarodowa, jesteśmy obecni w dwóch ważnych sieciach teatralnych, w jednej z nich, Prospero – Extended Theatre, zrobiliśmy „Imagine” Krystiana Lupy i teraz szukujemy się do wyjazdów na festiwale za granicą, a w tej sieci są wybitne teatry, jak berlińska Schaubühne czy paryski Odéon. Druga sieć, do której zostaliśmy zaproszeni (wcześniej Polskę reprezentował tam Narodowy Stary Teatr), to Mitos 21. W tej sieci są National Theatre z Londynu czy Berliner Ensemble, które ciekawi również nasza działalność społeczna, poza teatrem.

Wiele działań inicjujecie, jak choćby Fora Przyszłości Kultury – w tym roku odbędzie się kolejne.

– Rzeczywiście, sporo tego jako teatr organizujemy, bardzo zajmują nas problemy współczesnych społeczności. Jesteśmy teatrem i to, co możemy zrobić, to stawać się soczewką problemów, nie tylko miejscem spektakli, ale również spotkania, debaty, namysłu, przestrzeni, gdzie powstają idee dla przyszłości. Aktywistki i aktywiści, jak się przekonałiśmy, potrafią docenić siłę teatru.

Ta siła pana wciągnęła – to nie tylko 30 lat reżyserii, ale 20 lat dyktowania...

– Nawet więcej, jeśli dodać lata, kiedy byłem wicedyrektorem u boku Pawła Wodzińskiego w Poznaniu.

Czy nie walczy w panu dwóch ludzi: reżyser z dyrektorem?

– Kiedy mnie ktoś o to pyta, przywołuję Josepha Beuysa, sławnego rzeźbiarza, bohatera naszego spektaklu „Martwa natura”. Otóż Beuys mówił o „rzeźbie społecznej”. Kiedy byłem reżyserem, czułem się narzędziem w rękach innych i wtedy

pytania z zakresu ekologii, problemy dotyczące uchodźstwa oraz migracji, postulaty feminizmu i osób LGBTQ+ oraz inne tematy, które są odpowiedzią na wyzwania świata stojącego przed koniecznością zmiany. Wagę tych tematów potwierdzają nasze fora przyszłości kultury, podczas których dyskutujemy o świecie, o zagrożeniach, o szansach i w pewien sposób projektujemy następne sezony.

Wierność klasyce polega nie na wierności słowu, ale na wierności idei. Powinna być inspiracją.

dojrzała we mnie myśl o poświęceniu się dyrekcji teatru – to właśnie dawało szansę „rzeźby społecznej”. Wspólnie z zastępcą i z zespołem kształtujemy linię i cele teatru, każde przedstawienie jest kamyczkiem na drodze do tych celów. Jako dyrektor reżyseruję teatr i od ponad 20 lat reżyseruję z grupą współpracowników świat wokół teatru. Myślę, że to droga teatru społecznego, politycznego, w którym zauważa się mniejszości,

Jednym z często powtarzanych zarzutów pod adresem Powszechnego jest to, że wiadomo, czego się tu spodziewać, że dokonuje się tu przekonywanie przekonanych.

– Zawsze uważałem, że należy utrzymywać dialog, żeby rozmawiać. Tyle że podziały społeczne ostatnimi czasy bardzo się pogłębiły, powstały pewne bańki. Mimo to próbujemy docierać do różnych środowisk. Trzeba jednak widzieć,

że powstała bardzo mocna prawicowa wizja świata i ta prawicowa bańka bardzo się uszczelniła, poza tym jest wspierana przez władzę. My pracujemy nad wizją konkurencyjną wobec świata ksenofobii, izolacjonizmu, autorytaryzmu i nietolerancji. I do tej wizji próbujemy przyciągać ludzi. Także tych, którzy są jeszcze nieprzekonani albo niezdecydowani. Przyciągnięcie ludzi z jądra bańki prawicowej jest mało realne. Mimo wszystko marzę o świecie, w którym podziały uda się zasypać.

Co zatem czuje się w powietrzu, co pokaże teatr?

– Szykujemy z Pawłem Sztarbowskim nowe przedstawienie, myślimy nad ideą, szukamy nadziei. A w październiku zapraszamy na Forum Przyszłości Kultury, aby wspólnie rozmawiać o przyszłości. Natomiast w listopadzie premiera Weroniki Szczawińskiej i Piotra Wawra jr. o grzybach. Może niesamowita i tajemnicza inteligencja społeczności grzybów wskaże drogę ludzkim społecznościom.

Tomasz Miłkowski

Wioska Artystyczna Janowo

W sobotę 2 lipca Wioska Artystyczna Janowo rozpoczęła piąty sezon działalności. Janowo to kulturalno-artystyczne, niepowtarzalne i uroczne miejsce w gminie Karnice koło Rewala w województwie zachodniopomorskim. Latem odbywają się tu spektakle teatralne, wernisaże, warsztaty, pogadanki i wieczory autorskie. W przerwach między spektaklami można odwiedzić kawiarnię z domowym ciastem, ale też antykwariat i księgarnię. W „Spektaklu otwarcia” aktorzy Teatru Komedii Impro przedstawili szalone i wywołujące śmiech do łez przedstawienie improwizowane. W programie Lato 2022 na trzech scenach teatralnych zostanie przedstawionych 130 równie zabawnych i ciekawych spektakli dla dorosłych i dla dzieci. Organizatorzy zapraszają na nie turystów i mieszkańców. W dniu inauguracji odbył się również wernisaż prac Marty Frej,

polskiej malarki, ilustratorki i animatorki kulturalnej, prezeski zarządu Fundacji Kulturoholizm, laureatki nagrody Okulary Równości 2015.

(am)



Czeladnik, dostawca, maestro

Ennio Morricone:
wzrost, wymiary,
znaki szczególne

Wiestaw Kot

Dziewięć dekad życia, prawie osiem komponowania, 500 filmów z jego muzyką, która rozeszła się na 80 mln płyt. I jeszcze pracownie, kabiny projekcyjne, studia i filharmonie odwiedzane w ramach niekończących się tournée. Na ten żywioł własnego życia Ennio Morricone patrzy przez demoniczne, rogowe okulary – zafascynowany i bezradny. I dopiero reżyser i przyjaciel, Giuseppe Tornatore (ten od „Cinema Paradiso”) w biografii filmowej „Ennio” nadaje tej rzece muzyki i wspomnień pożądany kierunek. Obaj składają muzyce filmowej najbardziej przejmujący hołd, jakiego tylko mogła oczekiwać.

Ojciec, zawodowy trębacz, wręczył nastolatкови własną trąbkę i wskazał kierunek: „Dzięki niej mogłem was wychować i utrzymać naszą rodzinę. Teraz kolej na ciebie”. Z tą trąbką zaczynał jako kilkuno-stoletni uliczny grajek na rzymskich ulicach. Zapamiętał, jak mężczyźni w „czarnych koszulach” z pobłażliwością i wzgardą rzucali mu do czapki garść orzeszków. A on zagryzał zęby, kłaniał się i grał dalej. Jak nie na ulicy, to w nocnych klubach – chowano go w tylnych rzędach, bo to jednak były lokale „dla panów”. Po wojnie tato pchnął go do konserwatorium, do klasy trąbki – tak jak inni rodzice zapisywali dzieci do szkoły rolniczej czy na prawo. Niekoniecznie po to, by realizowali swoje pasje,



Ennio Morricone oraz reżyser i przyjaciel Giuseppe Tornatore w biografii filmowej „Ennio” składają przejmujący hołd muzyce filmowej.

lecz by dać im facha do ręki. Studia muzyczne kosztują, więc na czesne Ennio zarabia, pisząc knajpianym orkiestrom aranżacje znanych przebojów. A kiedy wchodzi telewizja – melodyjki do reklam: koncentratów pomidorowych, piwa, maszyn do pisania. Jak leci, płatne od kawałka. To niezła szkoła – w kilka sekund trzeba przykuć uwagę kogoś, kto słucha jednym uchem, bo podlewa kwiatki albo prowadzi samochód. I zaczęła się muzyczna orka.

Ennio zdobywa San Remo

Miał tzw. wrodzoną muzykalność i nie śmierdział groszem, więc chętnie najmował się jako aranżer kompozycji dla orkiestr klasy „B”, które grywały na żywo w ówczesnym radiu. Na próbach wybuchały awantury, bo młody, nikomu nieznanemu Ennio, zamiast zgodnie z zamówieniem pisać na „słodkie smyczki”, puszczał się na brzmieniowe eksperymenty. Dyrygenci i muzycy się buntowali, przypominali mu miejsce w szeregu, ale po próbach przyznawali, że „coś w tym jest”. A młody

Ennio słuchał przygan i wyzwisk, ale robił swoje. Tak, jak mu przykazywał tato: „Słuchaj starszych, ale swoje sobie myśl”. W rezultacie, w latach 50. zeszłego wieku z powodzeniem aranżował nawet cztery piosenki jednego dnia.

A tu trzeba było nieźle się kręcić, bo w roku 1956 Ennio się ożenił, urodził mu się pierwszy syn, a on nadal zarabiał grosze. Zastukał więc do włoskiej filii wielkiej wytwórni RCA z prośbą o seryjne zlecenia na aranżacje piosenek. Pisał je „przez pół” – częściowo w starym dobrym stylu słodkiej włoskiej kanzonetki, a częściowo, jak go prowadził własny instynkt. Za którymś razem wreszcie zaskoczyło. Singiel z piosenką „Ogni Volta” z jego aranżem, którą Paul Anka zaśpiewał na festiwalu w San Remo w 1964 r., sprzedano w liczbie 1,5 mln egzemplarzy. Wpadło trochę grosza, ale Ennio Morricone jako zawodowy aranżer ciągle należał do kategorii usługodawców muzycznych. Nazywano ich w branży „czarnuchami”, ludźmi od najgłupszej, niewdzięcznej roboty. Takich wynajmowano też do

ilustracji przedstawień w teatrze rewiowym. Nawet jeżeli jego nazwisko znalazło się wówczas na afiszu, to często pisano je z jednym r. Nikomu nie chciało się sprawdzić, jak się taki wyrobnik nazywa.

Woźnica gwizdże, widzowie szaleją

A Ennio Morricone (z dwoma r) dał się poznać światu w momencie, kiedy 1963 r. odebrał telefon, a głos w słuchawce powiedział: „Dzień dobry, nazywam się Sergio Leone...”. Dzwoniący przedstawił się jako początkujący reżyser filmowy, który szuka ilustratora muzycznego. Oczywiście chętnie, dlaczego nie? I dopiero kiedy Sergio stanął w drzwiach mieszkania tego muzycznego wyrobnika, obaj panowie zorientowali się, że już wcześniej się widzieli. Morricone przekopał stertę starych zdjęć i okazało się, że obaj chodzili do tej samej podstawówki. Od słowa do słowa młody reżyser zaczął snuć przed młodym kompozytorem taką oto wizję, że nakręci we Włoszech westerny, które będą łączyć ducha Dzikiego Zachodu z włoską komedią dell’arte, a w ogóle to będą się opierać na bohaterach jak z Homera i przejmować ducha filmów Akiry Kurosawy.

To połączenie było tak absurdalne, że aż interesujące. Ennio Morricone napisał więc muzykę do filmu „Za garść dolarów” z mało wówczas znanym i pożyczonym z Ameryki „twardzielem” o nazwisku Clint Eastwood. Kiedy gwiazdor klasy „C” wylądował na rzymskim lotnisku, Sergio, po pierwsze, zwołał mnóstwo fotoreporterów, a po drugie, kazał osiodłanego konia podprowadzić pod same drzwiczki samolotu, aby Clint mógł wskoczyć na siodło i pocwałować w dal – w świetlaną przyszłość westernu w wersji spaghetti.

Wszystko to wyglądało dość żenująco i kiczowato, więc kompozytor Morricone, żeby się nie skompromitować, podpisał się na ekranie jako Don Savio. Ostrożność była wskazana, bo klęska filmu mogła pogрузić młodego kompozytora, który – przypominamy – ciągle był na dorobku. Pod pseudonimem

można sobie pozwolić. Więc na otwarcie zabrzmiała w filmie gitara elektryczna (wcześniej nie do pomyslenia w westernach), do tego męski chór, który raczej pomrukiwał, niż śpiewał, dzwony, a przede wszystkim pogwizdywanie i trzask bicia woźnicy dylżansu. Takie rzeczy były w ówczesnej muzyce filmowej nie do przyjęcia, ale skoro cały projekt był mocno zwariowany, to dlaczego akurat muzyka miała by odbiegać od stylu?

Ryzykanctwo się opłaciło, bo to pogwizdywanie woźnicy szybko zeszło z ekranu i dawało się usłyszeć raz po raz na ulicy. Tak bardzo rzuciło się wszystkim w uszy, że kiedy Sergio Leone nakręcił drugi film przyszłej trylogii – „Za kilka dolarów więcej” – akcja startowała właśnie od tego pogwizdywania. W dodatku męski chór już nie tylko nie śpiewa, on raczej pohukuje i charczy. A poza tym – rzecz niesłychana – w jednym pasażu z nim słyhać rożek angielski, flet i drumle. Ale to mógł usłyszeć

To, co dziś oceniamy jako pasmo sukcesów Morricone i wielkich reżyserów, było ciągiem kłótni, sprzeczek, nieporozumień i trzaskania drzwiami.

każdy. Większości widzów, a i ludzi z branży umknęło to, co najważniejsze. Bo oto Ennio Morricone, przygotowując ścieżkę muzyczną do „Za kilka dolarów więcej”, wpadł na swój życiowy trick. Tu po raz pierwszy jego muzyka brzmi najpierw jak zwykłe głosy krzątający i szamotaniny, które dochodzą z ekranu i są związane z akcją, ale powoli przechodzą w brzmienie orkiestry. A ono się rozrasta, wychodzi poza ekran i niejako z zewnątrz komentuje całą sytuację. I jeżeli muzyka Morricone ciągle świetnie się sprzedaje, choć tamte westerny oglądają tylko koneserzy, to właśnie dzięki temu trickowi. Ona po prostu wypączkowała z filmów i od dawna żyje osobnym życiem.

Mało tego, niektóre chwytły z tamtych filmów stawały się z czasem ikoniczne. Ot, motyw wycia kojota z filmu „Dobry, zły i brzydki” – toż przejęły go zespoły rockowe – Metallica czy Ramones – i przez

wiele lat tym odgłosem rozpoczęły koncerty. A kawałki z orkiestracji tamtych westernów włączali do repertuaru i Bruce Springsteen, i Dire Straits, i U2. Zresztą kiedy Ennio Morricone został uhonorowany Oscarem za całokształt twórczości w 2007 r., nagrania na specjalne hołdownicze wydawnictwo płytowe „We All Love Ennio” ofiarowali zarówno Roger Waters z Pink Floyd, jak i Céline Dion, Andrea Bocelli czy Quincy Jones.

Muzyka jako efekt szarpaniny

Tymczasem do Ennia Morricone przykleiła się etykieta kompozytora westernowego, czego sam się przestraszył, bo ambicje miał znacznie szersze. Pod koniec życia (zmarł 6 lipca 2020 r.) podsumowywał, że wprawdzie napisał muzykę do 36 westernów, ale to tylko 8% jego dorobku muzycznego. Więc żeby uciec od westernu, przerzucił się w drugi kraniec – zaczął pisać

dla Pier Paola Pasoliniego, reżysera lewicującego i skandalisty. Tutaj też pojechał ostro. Połączył muzykę ulicznych grajków, wykonywaną na prymitywnych świstawkach i bębenkach, z techniką stosowaną przez Arnolda Schönberga, określaną jako „dysonans i dodekafonia”.

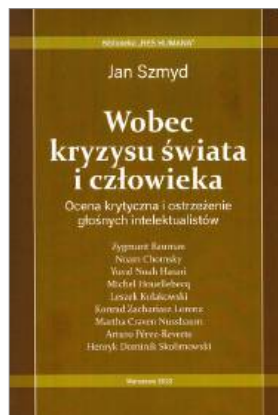
Pasolini to przełknął, ale gdy „Morricone”, jak go nazywała branża, próbował podobnych rzeczy z innymi reżyserami, dochodziło do awantur. To, co dziś oceniamy jako pasmo sukcesów Morricone i wielkich reżyserów filmowych, było ciągiem kłótni, sprzeczek, nieporozumień i trzaskania drzwiami. Czasem, kiedy Morricone przedstawiał reżyserowi swoją propozycję muzyki, ten prosił o przewinięcie taśmy do przodu, ponieważ sądził, że dźwięki, które słyszy, to odgłosy strojenia instrumentów przez orkiestrę. A jemu komponowanie do filmu coraz bardziej przypominało ▶

Jan Szmyd

Wobec kryzysu świata i człowieka Ocena krytyczna i ostrzeżenie głosnych intelektualistów

Biblioteka „Res Humana”, Warszawa 2022

W książce omówiony jest główny problem współczesności, mianowicie zagadnienie kryzysu świata i człowieka, zmiany „wszystkich i wszystkiego”, całej dotąd stworzonej przez człowieka cywilizacyjnej rzeczywistości. Zmiany w większości przypadków niekontrolowanej i nieuświadomianej.



Czytelnik zainteresowany odpowiedzią na pytania: w jakim naprawdę świecie żyjemy, co z nami, ludźmi, w owym świecie się dzieje, jak się mają do siebie zakorzenione w naturze ludzkiej dobro i zło, czy człowiek poradzi sobie z obecnym uwikłaniem cywilizacyjnym i technologicznym oraz uniknie grożącej mu katastrofy, a także wieloma innymi zagadnieniami, w tej książce może znaleźć odpowiedzi godne uwagi i poważnego rozważenia.

Kwestie te analizują wnikliwie przywołani wybitni intelektualiści współcześni: Zygmunt Bauman, Noam Chomsky, Yuval Noah Harari, Michel Houellebecq, Leszek Kołakowski, Konrad Zachariasz Lorenz, Marta C. Nussbaum, Arturo Pérez-Reverte oraz Henryk Dominik Skolimowski. Autor tej publikacji Jan Szmyd, jest filozofem, historykiem idei, psychologiem religii, pedagogiem i emerytowanym profesorem zwyczajnym na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie oraz Krakowskiej Akademii im. Frycza Modrzewskiego.

partię szachów. Tłumaczył, że i na partyturze, i na szachownicy obowiązują stałe reguły, a jednocześnie tok gry jest otwarty i nieprzewidywalny. „Niektórzy twierdzą wręcz, że szachy są niemą muzyką, a mnie gra przypomina komponowanie muzyki”, tłumaczył. Sam grywał z najlepszymi, z Borisem Spasskim czy Anatolijem Karpowem. Szachy nauczyły go determinacji i systematyczności, choć w pojedynkach z tymi największymi kapitulował po kilkudziesięciu szybkich i błyskotliwych – jak mu się wydawało – posunięciach.

W muzyce oferowanej filmowcom stosował jednak pewien filtr. Zapraszał do odsłuchiwania materiału muzycznego swoją żonę. Ona nie miała wprowadzić wykształcenia muzycznego, ale za to słuch widza kinowego i z miejsca oceniała – to zostaw, tamto wyrzuc, a to jest po prostu nijakie, nikomu tego nie pokazuj.

Ennio, „Nini”, „Fefe”

Pytany o innych klasyków, rzucił bez zastanowienia – Nino Rota! To ten włoski ilustrator muzyczny, który na stałe związał swoje nazwisko z Federikiem Fellinim. Zresztą podobna kompozytorska szkoła. Fellini pewnego dnia zauważył po prostu

w Cinecittà. Pytany, jak mu się udaje utrafić w intencje reżysera, powtarzał, że właściwie to on nie rozumie, o co w tych filmach chodzi, ale bardzo silnie je odczuwa, a muzyka pozwala mu dopowiadać to, nad czym na ekranie zatrzymał się reżyser.

Oscara dostał za muzykę do drugiej części „Ojca chrzestnego”, ale nie wybrał się do Los Angeles z włoskiego Bari, gdzie prowadził konserwatorium muzyczne, utrzymywane zresztą z jego własnych dochodów. Po prostu nie mógł oderwać się od prowadzenia wykładów. Jego wkład we własne dzieła Federico Fellini skwitował krótko: „Drugiego takiego nie będzie”.

Proszę do mnie zadzwonić za trzy lata

Z czasem Morricone pograżał się w coraz bardziej gęstej siatce zamówień i terminów. Kiedy dzwonili z filmu z prośbą o muzykę, odpowiadał: „Proszę do mnie zadzwonić za trzy lata”. Co z tego, że Brian De Palma twierdził, iż nie zasłużył na tak dobrą muzykę jak ta do filmu „Misja na Marsa”, skoro potem już nigdy nie udało się twórcom dopasować terminów, by stworzyć kolejne wspólne dzieło. A zdarzali się

Pod koniec życia podsumowywał, że wprowadzić napisał muzykę do 36 westernów, ale to tylko 8% jego dorobku muzycznego.

na przystanku tramwajowym niezwykle radosnego i zadowolonego z siebie człowieczka. Pomyślał, że stanie obok i zobaczy, co będzie się działo. W rezultacie zadziało się tak, że co rok, dwa wypuszczali wspólne dzieła. Wielki „Fefe” dawał obraz, a „Nini” ilustrował go dźwiękiem. Tak powstawały „La Strada”, „Noce Cabirii”, „Słodkie życie”, „Osiem i pół”. „Nini” przechwytywał dźwięki wprost z otoczenia: z grającego radia, z hałasu na korytarzach uczelni, nawet ze zwykłych szmerów, które ludzie zazwyczaj lekceważą. Pisał muzykę na tylnym siedzeniu samochodu, w przerwach do nagrań, całe partie dopisywał już na pulpicie dyrygentkim, z którego prowadził orkiestrę

reżyserzy, którym było obojętne, co Morricone skomponuje, byle go mieć w czołówce filmu. Jak Pedro Almodóvar, reżyser filmu „Zwiąż mnie”. Nawet nie słuchał, co tam zostało skomponowane, tylko powtarzał w kółko: „OK, OK!”. Z kolei Quentin Tarantino (Oscar dla kompozytora za zilustrowanie jego filmu „Nienawistna ósemka”, 2016) zebrał w jednym szeregu Morricone z Mozartem, Schubertem i Beethovenem. Sam kompozytor odebrał to jak niezły żart, ale dla siebie na stare lata zachował jedną pociechę: „Jeżeli słyszysz muzykę na najwyższym poziomie, nie możesz udawać, że nie istnieje”.

Wiesław Kot

FESTIWAL

28. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce

Kacper Smoliński Quintet

Wirtuoz harmonijki ustnej – jeden z niewielu w Polsce i na świecie jazzowych harmonijkarzy – konsekwentnie i z pasją kreuje własne, intrygujące brzmienie. W stworzonym przez niego zespole, złożonym z czołowych polskich muzyków, każdy ma zresztą swój wyrazisty głos. Kacper Smoliński jest laureatem licznych nagród indywidualnych w kraju i za granicą, współtwórcą docenianego na wielu festiwalach i konkursach zespołu Weezdob Collective oraz grupy Jazz Forum Talents skupiającej największe nowe talenty polskiego jazzu. Współpracował z Włodkiem Pawlikiem i niemieckim zespołem Mo' Blow, jest także członkiem Poznań Jazz Philharmonic Orchestra. Więcej na: www.jazznastarowce.pl.

(ap)



WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 16 LIPCA, GODZ. 19

KURTYNA W GÓRĘ

Konfrontacja

„Tom na wsi” to sprawnie napisana i zrealizowana na scenie sztuka kanadyjskiego autora o chłopaku, dobrze prosperującym pracowniku agencji reklamowej (Mateusz Górski), który przybywa na pogrzeb swojego kochanka i już na miejscu okazuje się, że musi ukrywać przed jego matką prawdę o orientacji seksualnej syna. Co więcej, pod naciskiem brata zmarłego (Jacek Beler) aranżuje przyjazd domniemanej narzeczonej (Izabella Dudziak), aby heteronorma zachowała pozory.



Przy okazji wychodzą na jaw homofobiczne zajadłości prowincji i zakłamanie świata hetero, który wciąż wznosi bariery w obronie „starego porządku”. Tymczasem relacje brata zmarłego i Toma nabierają dwuznacznego charakteru i już wiadomo, że to nie może się dobrze skończyć. Kończy się zresztą listą przypadków prześladowań LGBT+ w Polsce, którą wyczytuje z grubej książki Maria Maj (Matka).

Spektakl powstał w ramach „linii nowych talentów”, programu wspierającego młodych obiecujących reżyserów.

Tomasz Miłkowski

**Michel Marc Bouchard, „Tom na wsi”, reżyseria
Wojtek Rodak, TR Warszawa, premiera 24 kwietnia 2022**

MIĘDZY OKŁADKAMI



Yasmina Reza

Serge

tłum. Joanna Kluza

Sonia Draga, Katowice 2022

Czasem swoje przemijanie dostrzega się, nie patrząc w lustro, ale uświadamiając sobie zmiany, które zaszły w bliskich. Chociaż „rodzeństwa się strzegą, rozpraszają”, dla Jeana tymi najbliższymi są brat i siostra – to centrum rodziny, z matką i ojcem, Żydami z Węgier i Austrii, o kontrastowym podejściu do żydowskości. Reszta: dzieci, szwagier, z którego natrząsają się bracia, była żona starszego, kuzyni, partnerki, zajmuje dalszy plan, natomiast ich trójka, już 60-latków, cokolwiek się stanie, jakkolwiek się zranią, zawsze będzie „dziećmi Popper”. Jest w tym określeniu przejmująca tkliwość, zwłaszcza przy wyczuleniu Jeana na śmieszności ludzi i absurdy życia, doprawiającego farsą nawet pogrzeb matki, plany samobójcze kuzyna czy fatalną rodzinną wycieczkę do Auschwitz śladami żydowskiego losu. No właśnie, Yasmina Reza podkreśla tu poczucie dysonansu między tym, co powinno się przeżywać, a tym, co przeżywa się, wpadając w wycieczkowy tryb zwiedzania obozu zagłady, zaliczając obowiązkowe obiekty, gdy co chwila rozprasza banalność teraźniejszości.

Aleksandra Pańko

ZASŁUCHAJ SIĘ

Slow

Under Everchanging Sky

Slowmusic

Właśnie ukazał się trzeci album zespołu Slow, którego kompozytorem i producentem muzycznym jest gitarzysta i lider formacji Tomasz Kaczmarczyk. Muzyka jest różnorodna stylistycznie. Znajdziemy tu przede wszystkim melodyjny contemporary jazz, ale i utwory inspirowane klasycznym bebopem oraz world music. Wiodące tematy, improwizacje gitary i saksofonu Leszka Szczerby osadzone są w krajobrazie kreowanym przez pianistę Krzysztofa Wermińskiego – to one definiują brzmienie zespołu od czasu debiutu w 2011 r. Całość osadzona jest na fundamencie mocnej sekcji rytmicznej, którą tworzą basista Tomasz Grabowy i perkusista Sławomir Berny. Berny występuje tu w podwójnej roli, gdyż poza zestawem perkusyjnym gra na kilkudziesięciu przeróżnych perkusjonaliach.

(am)



Kolumnę przygotowała
Agata Gogotkiewicz

Dawid Góra

Cena życia

Fale załamują się, kotłują. Chłopcy wchodzą coraz głębiej. Próbuje się utrzymać na wodzie, leżąc na materacu. Są o kilka kroków za daleko

Sierpień 2004 r., Ustronie Morskie. Czerwona flaga. Upał, silny wiatr, ponadmetrowe fale. Zachód słońca. Na jego krwistym pomarańczowym tle trzy postaci, chłopcy w wieku od 10 do 12 lat. Z każdą minutą zabawy w morzu wchodzą głębiej, w sam środek przyboju, miejsca, gdzie woda porusza się wahadłowo – od brzegu i do brzegu. Jeśli fala przewróci któregoś z nich, nie będzie miał żadnych szans na ratunek.

Ratownicy mają wolne – czerwona flaga na kąpielisku oznacza, że warunki w tym miejscu nie pozwalają na pływanie. Mimo to obserwują, co dzieje się 300 m na zachód od kąpieliska „Centralna”. Apoloniusz Kurylczyk sięga po lornetkę. Chłopcy mają materac do pływania. Wydają się świadomi zagrożenia. Wchodzą tylko na określoną głębokość. Nie zapuszczają się w pobliże ostróg – drewnianych pali wbitych w brzeg. Fale załamują się, kotłują. Tworzą wodną kipieli w części przyboju. Chłopcy wchodzą coraz głębiej. Próbuje się utrzymać na wodzie, leżąc na materacu. Taka zabawa. Są o kilka kroków za daleko. Kierownik stanowiska wysyła jednego z ratowników na miejsce. Ma użyć gwizdka i na migi pokazać chłopcom, aby przesunęli się bliżej brzegu.

Ratownik biegnie truchtem. Jest 100 m od chłopców. Wtedy widzi scenę, której obawiał się najbardziej. Jedną z fal niszczącą dłoń szybkim ruchem zbierającą pionki z planszy do gry ściąga chłopców z materaca. Pusty materac ląduje na brzegu. Woda gwałtownym pchnięciem przenosi dzieci w stronę ostróg. Są kilka metrów od nich. Chłopcy jeszcze tego nie wiedzą, ale ratownik widzi doskonale – kolejna fala wrzuci ich z impetem na drewniane pale. Wskazuje do wody. Dwóch kolejnych ratowników biegnie ze stanowiska na miejsce.

Dzieci są już na ostrogach. Wieszają, trzymając się pali. Fale uderzają o drobne ciała bez litości, woda co chwilę zalewa chłopców po czubek głowy. Prąd wsteczny próbuje wyciągnąć ich wzdłuż ostróg na otwarte morze. Wszyscy ratownicy

są już w wodzie. Pierwszy z nich dopływa do dzieci. Jeśli morze je wciągnie, sytuacja się skomplikuje. Jeżeli zwolnią uchwyt na ostrogach, umrą. Dwóch chłopców jest wyraźnie starszych od trzeciego. Ich głowy wystają ponad powierzchnię. Pod nimi momentami przetaczają się 2 m wzburzonej wody. Zapada zmierzch, widoczność jest coraz gorsza. Ratownik widzi czarne sylwetki dzieci na tle zachodzącego czerwonego słońca.

Dopłynął. Okazuje się, że najmniejszego chłopca trzyma jeden ze starszych. Przerażony przyciska jego głowę do ostróg, aby nie zabrał go prąd. Jego chwyt nie pozwala młodszemu zaczerpnąć powietrza, głowę małego co chwilę zalewa woda. To nie może trwać dłużej. Ratownik zabiera ze sobą chłopca znajdującego się najdalej od brzegu. Dwóch pozostałych ratowników płynie do tych, od których dzieli ich mniejszy dystans. Zostało 25 m. Nadchodzi fala. Ratownicy zanurzają się pod wodę. Po przejściu grzbietu fali znów są na powierzchni. Ustalają kierunek. Płyną dalej. Zostało 15 m. To jakieś dwie, góra trzy fale. Idzie kolejna.

Zanurzenie. Fala. Wynurzenie.

Z oczu ratowników znika jedna głowa. Woda wciągnęła najmłodszego. Albo przerzuciła nad palisadą. Ratownicy dopływają do chłopca wciąż trzymającego się ostróg.

– Gdzie jest trzeci?! – Trudno to nazwać podniesionym głosem. Ratownicy ryczą z całych sił, przekrzykując huk uderzających fal. Dziecko jest przerażone. Nie daje rady wydusić z siebie ani jednego słowa.

Fala. Zanurzenie. Wynurzenie.

Jeden z ratowników chwytając chłopca i holuje do brzegu. Został jeszcze najmłodszy. Kurylczyk

schodzi pod wodę, ta jednak jest zmacona. Mężczyzna nie widzi nawet własnych rąk.

Wynurzenie. Chłopca nigdzie nie ma.

Ratownik zanurza się znowu. Nurkuje na dno. Patrzy od strony otwartego morza. Między palami zauważa niewyraźny kształt. Ruch ramion i nóg. Odpycha wodę. Jest przy nim. Po omacku chwytając dziecko pod pachy i wyciąga je na powierzchnię. W tym czasie wrócił ratownik, który odholował jednego z chłopców na brzeg. Najmłodszego podejmują razem. Chłopiec nie oddycha. Adrenalina buzuje w żyłach ratowników. Wręcz niosą dziecko nad powierzchnię wody. Jeszcze tylko kilka metrów. Mogą stanąć na dnie. Wyciągają chłopca na brzeg. Zaskoczenie. Oddech wraca samodzielnie. Chłopiec się rozgląda. Przerażenie i dezorientacja. Natychmiast ginie w objęciach drugiego. Jak się potem okazuje, to jego starszy brat. Trzeci to ich kolega.

Panika i lęk mieszają się z radością. Szanse na przeżycie były bliskie zeru. A teraz cała trójka odpoczywa na brzegu. Bezpieczna. Ratownicy hamują wściekłość. Ustalają dane chłopców. To miejscowi. Mieszkają niedaleko Ustronia. Czeka na karetkę. Przysięgają, że już nigdy nie wejdą do morza przy czerwonej fładze.

– A gdzie są wasi rodzice? – Ratownicy musieli zapytać.

Odpowiedź sprawia, że akcja utkwiała w pamięci na długo.

– Rodzice dużo pracują. Nie mają czasu się nami zajmować.

– Niewiele zabrakło, a mieliby o jednego syna mniej. Może po tej historii znaleźli więcej czasu na opiekę – po latach z przekąsem komentuje Kurylczyk.



Ratownicy byli przekonani, że u nich na kąpielisku nie zdarzy się nic złego. A potem nie potrafili poradzić sobie ze śmiercią.

Reakcja serca

Lipiec 2014 r., Darłowo. Pierwszy dzień słonecznej pogody po dwóch dobach sztormu, który rozkołysał Bałtyk. Martwa fala ma wysokość ponad metra. Wiatr cichnie. Ratownicy spodziewają się osłabnięcia fal, na razie jednak wywieszają czerwoną flagę. Pełne słońce oznacza, że zapewne niektórzy turyści nie zrezygnują z wejścia do wody. Szczególnie na kąpieliskach niestrzeżonych. Poranna odprawa. Zapada decyzja o ćwiczeniach z użyciem skutera ratowniczego i platformy do holowania poszkodowanych.

Kurylczyk jako operator skutera sukcesywnie zbiera po jednym ratowniku z każdej wieży. Mija godzina. Szkoli już trzeciego z kolei. Uporczywa i nie lubiana melodia. Wibracje. Na wyświetlaczu telefonu CKRW – Centrum Koordynacji Ratownictwa Wodnego. Kurylczyk ma złudną nadzieję, że nie chodzi o akcję. Warunki na morzu nie sprzyjają.

– Na wschód od Darłowa, w miejscowości Cisowo trwa akcja tonięcia. Kilka osób próbowało pomóc

mężczyźnie, który zaczął tonąć w pobliżu ostróg. Fale i prądy wsteczne były za silne i teraz wszyscy wiszą na ostrogach. Tonienie masowe. Dokładne miejsce rozpoznasz po tłumie gapiów. Powiadomiłam SAR (Morska Służba Poszukiwania i Ratownictwa – przyp. red.) i kogo się dało. Wy jesteście najbliżej – oznajmia dyspozytorka.

– Przyjmujemy akcję. Udajemy się na miejsce – odpowiada szybko Kurylczyk i łączy za radio. Wywołuje najbliższą wieżę. Podaje, że płynie do Cisowa. Trzeba przygotować zespół, który ruszy plażą. Na platformie szkolił akurat Łukasza, studenta piątego roku kierunku lekarskiego. Lepiej nie mógł trafić.

– Trzymaj się, płyniemy na akcję! – rzuca przez ramię i zwiększa obroty silnika. Na pełną moc nie pozwalają fale. Na wysokości portu mijają motorówkę SAR sunącą w tym samym kierunku. Do przepłynięcia mają ponad 3 km.

Wreszcie jest – tłum gapiów. Ale na falochronie nie ma nikogo. Zatrzymują skuter tam, gdzie zgromadziło

się najwięcej ludzi. Za nimi na plaży wpływa motorówka SAR. W biegu zakładają rękawiczki. Rozglądają się. Pytają, kto potrzebuje pomocy. Na plaży obok siebie leży sześciu mężczyzn. Są pokaleczeni ostrymi krawędziami ostróg. Błdzi. Otarcia mają właściwie wszędzie. Najwięcej na klatkach piersiowych, przedramionach i podudziach. Przejmująca cisza. Słyszą jedynie szum fal i cichy płacz. Ci, którzy wyszli właśnie z wody, z trudem łapią oddech. Obraz jak po bitwie.

Ratownicy szukają osoby, która najpilniej potrzebuje pomocy. Zauważają ją w tej samej chwili. Mężczyzna wygląda na 75 lat. Potem okaże się, że ma prawie 20 lat mniej. Otyły. Oliwkowy kolor skóry. Zza widmy wybiegają strażacy z apteczką. Ratownicy klękają przy mężczyźnie. Dopóki nie dotrze sprzęt, trzeba zastosować metodę usta-usta. Student zaczyna resuscytację. Mężczyzna wymiotuje prosto w jego usta.

Ratownik wypluwa treść żołądkową poszkodowanego i woła do strażaków. Jak najszybciej muszą ▶

▶ podać tlen z rurką ustno-gardłową. Kurylczyk uciska klatkę piersiową mężczyzny. Drugi ratownik błyskawicznie umieszcza rurkę w ustach topielca. W przerwach między uciśnięciami wentyluje go tlenem z worka samorozprężalnego. Strażacy przygotowują lądowisko. Przed chwilą wezwali śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego z sezonowej bazy w Koszalinie. Ratownicy wymieniają się ze strażakami przy resuscytacji. Na miejsce przyjeżdża karetka pogotowia. Na morzu ludzie z SAR znajdują materac. Służył mężczyźnie do zabawy w wodzie.

Medycy zajmują się poszkodowanymi, którzy wyszli z wody o własnych siłach. Przy mężczyźnie klęczy córka. Głodzi tatę po udzie. Znosi się płaczem. Stara się ciągle do niego mówić.

Najważniejsze to wykonać robotę jak najlepiej i trzymać się procedur. To chroni przed nieprzespanymi nocami i poczuciem winy.

Przylatuje śmigłowiec. Lekarz podaje mężczyźnie leki i adrenalinę. Próbuje defibrylować pacjenta. Kolor skóry mężczyzny zmienia się na bardziej ludzki. Kurylczyk ma nadzieję, że to nie złudzenie. Wyczuwa reakcję serca. A to oznacza, że jest szansa. Lekarz podejmuje decyzję – zabiera ją mężczyznę do szpitala. Ratownicy pomagają przetransportować go do śmigłowca. Po chwili maszyna wznosi się w powietrze. Odlatuje na zachód, do Koszalina.

– Zebraliśmy sprzęt medyczny z plaży. Oddaliśmy kolegom wybebeszoną apteczkę, z którą biegli jakieś 2,5 km. Przybiliśmy piątki z chłopakami z innych służb i wsiedliśmy na skuter. Zapowiadał się długi dzień, więc musieliśmy jak najszybciej wrócić na kąpielisko – wspomina Kurylczyk. – Przez cały czas myśleliśmy o tym panu i jego córce. I o tym, czy mogliśmy zrobić coś lepiej. Ale te ostatnie myśli od razu od siebie odrzuciliśmy. To destrukcyjne. Zrobiliśmy dosłownie wszystko, co się dało.

Wiadomość ze szpitala przyszła po godzinie 23.00.

Mężczyzna zmarł.

Pancerz

Sierpień 2018 r., Darłowo. Brzeg między kąpieliskiem a falochronem przy wejściu do portu. Coraz silniejszy wiatr. Trójka rodzeństwa: 11-letnia dziewczynka i dwóch chłopców, 13- i 15-letni. Wchodzą do wody bez nadzoru rodziców. Po kilkunastu minutach do znajdującego się 150 m od miejsca zdarzenia stanowiska ratowników przychodzi matka. Pyta, czy nie widzieli jej dzieci. Poszła do toalety, a kiedy wróciła, ich już nie było. Kwatera wynajmowana przez rodzinę znajduje się pół kilometra od plaży. Mąż sprawdził, czy nie ma tam dzieci. Ale lokal jest pusty.

Na kąpielisku od kilku minut wisi czerwona flaga. Nie tylko ze względu na zdarzenie. Warunki pogodowe pogorszyły się. Wiatr wieje coraz silniej. Dyspozytor kieruje na miejsce wszelkie możliwe służby. W tym

służb SAR-u transportują je do portu skuterem, aby nie nieść go przez plażę pełną turystów. To ostatni z poszukiwanych. 13-letni chłopiec. Jego brat, odnaleziony jako pierwszy, zmarł w szpitalu.

Dokładne okoliczności zdarzenia nie są znane. Mówi się jednak o świadku, który wszystko widział. Nawet zaczął zeznawać. Jednak kiedy policjanci mieli spisać zeznania, uciekł. Nie chciał kłopotu.

– Najważniejsze to wykonać robotę jak najlepiej i trzymać się procedur. To chroni przed nieprzespanymi nocami i poczuciem winy. Ważne też, aby pierwsze takie zdarzenie nie zdążyło wnikać do serca. A pancerz ochronny buduje się rozmową, odnalezieniem swojej roli w sytuacji, świadomością celów i procedur – tłumaczy Apoloniusz Kurylczyk. I dodaje, że widział ratowników przekonanych o tym, że u nich na kąpielisku nie zdarzy się nic złego. A potem nie potrafili poradzić sobie ze śmiercią.

– Znam co najmniej 10 osób, które po akcjach z takim zakończeniem już nigdy nie założyły koszulki ratownika. Czasem nawet wystarczy, że pierwszy raz zobaczą resuscytację, mają kontakt ze zwłokami. Emocje powodują w nich takie zmiany, że nie mogą dalej pracować – opowiada ratownik.

Dziś ma 42 lata, żonę i dwóch synów w wieku dziewięciu i 13 lat. Jest ratownikiem od ćwierć wieku, prezesem Zachodniopomorskiego WOPR, członkiem Komisji Zarządzania i Administracji w International Life Saving Federation of Europe, a także wiceprzewodniczącą bezpieczeństwa wodnego na Uniwersytecie Szczecińskim. Nie chce, aby jego dzieci zostały ratownikami. Bo to wybór na całe życie.

– A przynajmniej nie naciskam. Wiedzą, dokąd iść, jeśli postanowią wybrać taką drogę. Uważam jednak, że jeden społecznik w rodzinie w zupełności wystarczy – kwituje Kurylczyk.



Fragment książki Dawida Góry, *WOPR życie na ratunek*, Muza SA, Warszawa 2022



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Blizna po macierzy

Tydzień w austriackich Alpach, pośród mieszaniny języków i narodowości, tak za dnia, jak i nocami, bo raz spałem w schronisku prowadzonym przez Słowaków, innym razem w rumuńskim pensjonacie, a i sama niemczyzna w każdej dolinie zdaje się mieć inny odcień. Choć ni w ząb nie rozumiem górali styryjskich, wyraźnie słyszę, że „godają”, ucho wychowane na górnośląskiej mowie wyławia podobne skłonności do głębokiego „o”. Uczę się niemieckiego niejako mimochodem, sprawdzając w aplikacji napotkane gatunki roślin i owadów. Przy dostojce z radością znajduję niemiecką nazwę *kaisermantel*, która metaforycznie oddaje jej nakrapianą rudość. Gdy znajduję pierwszą tego lata, małą jeszcze szarotkę (w Alpach nie jest taką rzadkością jak w Tatrach) w pełni rozumiem, co znaczy szlachetna biel (*edelweiss*). Czuję się zatem swojsko, jak zwykle na obczyźnie, gdzie naprędce skleconym wolańskiem umiem się porozumieć z każdym, nieswojo czuję się za to w Polsce, której językiem myślę, a dogadać się z mało kim potrafię, z wyjątkiem zwierząt.

Może dlatego tak mi się spodobał skądinąd nader przyjemniutki kinowy dokument „Truflarze”. Niby o „polowaniu” na drogocenne grzyby, ale tak naprawdę o tym, jak rozmawiać trzeba z psem. Bo to psy, a nie świny, jak się potocznie mniema, są głównymi współnikami poszukiwaczy białych trufl. Że też, cholera, te rarytasy rosną tylko w Piemontie, o niczym innym nie marzę niż o zarabianiu na wygodne życie za pomocą leśnych spacerów z psem. Reżyserzy postanowili pokazać te wyprawy także z psiej perspektywy, zakładając mikrokamerę na łeb zwierzaka, śmigającego po chaszcach, czasem więc obraz „wierci się” jak z ręki nowofalowego operatora, czasem tylko w kadrze widać wilgotny czubek psiego nosa – czyli, nomen omen – truflę.

W Alpach jestem pytany, skąd pochodzę, Polska nie jest domyślnym pierwszego wyboru, ale nikogo już nie zachwyca jak wiosną, gdy Europie kojarzyliśmy się z pospolitym wzruszeniem i eksplozją gościnności. Im dłużej trwa wojna, tym wyraźniej emocje wolnej Europy opadają, Polacy nie słyną już ani ze szczególnego okrucieństwa na granicy białoruskiej, ani z nadzwyczajnej gościnności na granicy ukraińskiej – znów nikogo nie ziębią ani nie grzeją. Tylko w Fischerhaus, najwyższej położonej chacie na Schneebergu, austriacki Włoch na moją odpowiedź

o pochodzenie pyta: „Dlaczego?”. Coraz rzadziej zdarza mi się zaniemowić, ale nie znalazłem odpowiedzi na takie dictum, Bursowskie zgoła, jak jego apostrofa w „Modlitwie z dziękczynną wymówką”: „Dlaczego [Panie] uczyniłeś mnie Polakiem?”. Co prawda Pan uczynił mnie Polakiem, ale przecież w razie czego można to odczytać, musi być na to odczulanie, jakieś antidotum do zastosowania w ostateczności. Nigdy nie odczuwałem dumy narodowej, pod tym względem jestem upośledzony, nie potrafię nawet sobie jej wyobrazić, ale też wzmożenie ojkofobiezmu akurat mi osłabło, więc wobec tubylczego sarkazmu ani nie poczułem się zawstydzony, ani też skory do bitki o honor ojczyzny. Właściwie dopiero tu, w chatce o absurdalnej nazwie (to od nazwiska, ale brzmi jak „domek rybacki” na wapiennej grani – do najbliższej większej kałuży ma wiele kilometrów w poziomie i półtora w pionie), poczułem, że coś mnie w mojej tożsamości narodowej

Nieswojo czuję się w Polsce, której językiem myślę, a dogadać się z mało kim potrafię, z wyjątkiem zwierząt.

uwiera, niewygodnie mi się przedstawiać, jakoś z tą Polską jestem słabo dopasowany, niemrawa chemia między nami. I od tej pory łacniej mi odpowiadać, że jestem ze Śląska. Mniej zorientowanym geograficznie (większość) muszę tłumaczyć, że to taki region pograniczny między Polską, Czechami i Niemcami, co rozrzedza moją etniczność i budzi zaciekawienie, wyjątkowo zorientowani dopytują zaś, czy chodzi o Polskę, a wtedy precyzuję, że „chodzi o tę część Śląska, która obecnie znajduje się w granicach Polski”.

Po powrocie znajduję w skrzynce nowy numer lokalnego magazynu kulturalnego, któremu udzieliłem wywiadu, a nadano mu okładowy tytuł „Chorzów jest moim pępkiem świata”. Jak najbardziej, ten pępek to blizna po macierzy, choć dawno zostałem odpowiony, dom rodzinny sprzedałem, a resztki rodziny opuściły miasto, ale gniazdo zawsze budzi najczulsze emocje. Dziwnie się czuję, kiedy mecze Ruchu, na które przez cztery dekady chodziłem pięć minut z domu, teraz są dla mnie całodziennym przedsięwzięciem wyjazdowym.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl



Dominika Tworek

80% polskich lasów to lasy publiczne, więc teoretycznie powinniśmy mieć wiele do powiedzenia na temat tego, co się w nich dzieje. Niestety, obecnie obywatele i obywatelki mają na to nikły wpływ, mimo że gwarantuje to obowiązujące prawo – mówi Marta Jagusztyn, pomysłodawczyni działającej od marca 2020 r. ogólnopolskiej inicjatywy (obecnie już fundacji) Lasy i Obywatele, zrzeszającej członków społecznego ruchu na rzecz lasów w Polsce. W jej ramach powstała mapa udokumentowanych interwencji społecznych na rzecz zrównoważonego zarządzania lasami. W ostatnich latach w Polsce miało ich miejsce 310, a długoterminowych starań o ochronę lasów jest ok. 60.

Lasy pokrywają prawie 30% powierzchni Polski, pełniąc ważne funkcje przyrodnicze, społeczne i gospodarcze. Produkują tlen, regulują obieg wody, chronią gleby, są bezpiecznym domem dla roślin i zwierząt. Obniżają poziom hałasu, oczyszczają powietrze ze szkodliwych substancji, łagodzą skutki klęsk żywiołowych. Stanowią też świetne

Lasy i obywatele

W Polsce rosną w siłę ruchy społeczne na rzecz ochrony lasów. W ostatnich latach walkę podjęło 310 lokalnych grup

miejsce do wypoczynku. W ich ochronę angażuje się coraz więcej osób. Z miłości do przyrody, ale też z poczucia obywatelskiego obowiązku toczą spory z Lasami Państwowymi – instytucją, która w naszym imieniu zarządza lasami.

– W dobie kryzysu klimatycznego i kryzysu bioróżnorodności polityka wielu krajów europejskich opiera się na pomysłach, żeby pozostawić część przyrody, aby mogła się zregenerować – tłumaczy Marta Jagusztyn. – Ale takie myślenie budzi ogromny sprzeciw polskich leśników, bo burzy to, do czego się przyzwyczaili, zarządzając lasami przez ostatnie sto lat. Instytucja Lasy Państwowe ma problem z docenieniem natury i dzikości. Leśnicy nie

myślą, jak można się zaadaptować do zmian klimatycznych, nie zauważają, że stosunek człowieka do natury się zmienia – dziś traktowana jest jako zasób społeczny, a nie wartość, którą można bardzo szybko zmonetyzować. Okopują się więc na swoich pozycjach i zaciekle bronią przed wszystkimi zaleceniami europejskimi, które prędzej czy później będą musiały zostać wdrożone.

Według raportu NIK z 2015 r. prowadzona przez Lasy Państwowe gospodarka leśna stwarza ryzyko dla zachowania i ochrony lasów oraz ekosystemów leśnych.

– Lasy Państwowe to bardzo silna politycznie instytucja działająca w zasadzie bez nadzoru. Od trzech lat, kiedy intensywnie zajmuję się

Grzegorz Idziak, Robert Suligowski i Izabella Młynarczyk wspólnie działają w grupie „Ratujmy Las Mokrzański”.

ochroną lasów, nie przypominam sobie sytuacji, żeby ministerstwo postawiło się leśnikom i cokolwiek z nimi negocjowało. Jest to też struktura bardzo zhierarchizowana, bliska wojsku, jeśli chodzi o wydawanie i wykonywanie rozkazów. Znane są przypadki leśników, którzy opowiadali się za ochroną przyrody i wylecieli z pracy. A to wiąże się z utratą bardzo wysokiej pensji i ogromnymi trudnościami w znalezieniu jakiegokolwiek pracy, bo Lasy Państwowe w dużej mierze monopolizują to, co się dzieje wokół polskich lasów. Jak już się zostanie leśnikiem, to się nim jest i trzeba z tą instytucją trzymać. Jednocześnie czerpie się różne profity, na przykład od czasu do czasu można sobie kupić leśniczkę za 5 czy 10% jej wartości. Żeby zmienić to, że ta instytucja jest zorientowana głównie na finansowy zysk, duża część decyzji w sprawie naszych lasów musiałaby zostać wyjęta z rąk Lasów Państwowych – podkreśla działaczka i dodaje: – Ważna jest także zmiana systemu edukacji leśników, który kręci się obecnie w znacznej mierze wokół pozyskania drewna, zamiast ochrony przyrody czy funkcji społecznej lasu.

Las i tożsamość

Przykład obywatelskiego zaangażowania znajdziemy w Lesie Mokrzańskim, który leży na północno-zachodnich obrzeżach Wrocławia i jest największym kompleksem leśnym w mieście. Ten 650-hektarowy obszar zieleni stał się obiektem podwójnej batalii wrocławian – nie tylko z Lasami Państwowymi, ale też z magistratem. Na spacer po nim zabrali mnie Grzegorz, Robert i Iza – przyjaciele z grupy „Ratujmy Las Mokrzański”.

Wrocławski las zachwyca gatunkową mnogością. Co prawda spotkamy tu miejsca, gdzie rośnie więcej pospolitych w Polsce sosen, ale nie brakuje także brzoź, lip, grabów, buków, majestatycznych alej 150-letnich dębów, a gdzieś tam

wyłaniają się czereśnie, które stanowią naturalne uzupełnienie lasów mieszanych. Mokrzański nie skąpi bogactwa swojego runa: malin, jagód czy grzybów, a żyjących tu ponad 53 gatunków ptaków raczy swoimi serenadami, zapewniając nam wytchnienie od zgiełku miasta. Kompleks nadzorują bobry, które na swoją osadę wybrały serce lasu, skąd skutecznie dbają o nawodnienie terenu, chroniąc je przed suszą.

Społeczny bunt na rzecz tego kawałka przyrody rozpoczął się pod koniec 2020 r., kiedy zarządzające nim Nadleśnictwo Miękinia zaczęło prowadzić tu intensywną wycinkę drzew. Ponieważ Mokrzański od zawsze był lasem gospodarczym,

tę społeczność coś łączyło. Okazało się, że takim spoiwem stał się właśnie las. Dzięki wspólnej pracy na jego rzecz odnowiły się relacje międzyludzkie, które były dość powszechne za czasów PRL, a później jakoś zanikły.

Tak zawiązał się ruch „Ratujmy Las Mokrzański”. Jego członkom w kilka dni udało się zebrać 8,3 tys. podpisów pod petycją w obronie lasu, a na wiec z leśnikami przybyło ponad sto osób. Okazało się, że społeczność, dla której przyroda jest ważna, to bardzo eklektyczna grupa. Pojawili się i emeryci, i nastolatki, i przedsiębiorcy reprezentujący klasę średnią. Dominowała jedna emocja – wściekłość.

Każdy patrzy na las jako na zasób. Miasto mówi: wybudujemy domy jednorodzinne, leśnicy skupiają się na pozyskiwaniu drewna.

rębnie wielkopowierzchniowe (czyli wycinki „do gołej ziemi”) nie powinny dziwić mieszkańców. Jednak stały się one bardziej dokuczliwe, ponieważ leśnicy postanowili wyciąć całe połacie lasu od strony jego bram – w sąsiedztwie osiedla Leśnica. A miejsce to szczególnie służyło obywatelom do wypoczynku i rekreacji.

– Spacerowałem po tej okolicy z dziećmi czy psem przez 15 lat. Pewnego dnia przyszedłem, a lasu nie było! Pozostały rozjeżdżone drogi i powalone drzewa. Nawet wchodząc na kilkaset metrów w głąb, cały czas widać było pobliską zabudowę. Nastąpiło olbrzymie przerzedzenie krajobrazu. Poczutem, że nagle zabrano mi coś, co było dla mnie bardzo wartościowe – mówi Robert Suligowski, mieszkaniec osiedla Leśnica. Wspomina, że dewastacja przyrody bardzo poruszyła lokalną ludność: – Zaczął narastać ferment. Sąsiedzi o tym rozmawiali, żyli tym. I tak od słowa do słowa zbudowała się społeczność. Ten las dał im tożsamość. Bo mieszkańcy Leśnicy to zarówno ludzie, którzy żyją tu od pokoleń, jak i niedawno przybyli. Trudno więc powiedzieć, żeby wcześniej

– Konfrontacja leśników z lokalną społecznością pokazała różnicę w postrzeganiu lasu przez obie grupy. Ludzie mówili o swoim lesie, o drzewach, które pamiętają sprzed lat, o miejscach, gdzie zbierają grzyby, o relacji ze zwierzętami. Opowiadali historie związane z kontaktem z tą przyrodą, podkreślali korzyści niematerialne, duchowe. Natomiast leśnicy mówili językiem technicznym, językiem zysku, postrzegając las jako fabrykę desek, plantację. Nie było żadnej płaszczyzny porozumienia – opowiada Izabella Młynarczyk, wiceprezesa ekologiczno-filozoficznej fundacji Nowa Obecność.

Batalia z Lasami Państwowymi trwała rok i zakończyła się sukcesem. Dziś w Mokrzańskim dominuje funkcja społeczna, nie gospodarcza. W praktyce oznacza to ograniczenie planowanej wycinki o połowę oraz wyznaczenie stref, gdzie ciąć w ogóle nie można, a plany urządzania lasu podlegają konsultacjom społecznym.

– To była ciężka walka, wymagała uzbrojenia się w argumenty przeciwko leśnikom. Pomagali nam w tym znajomi z różnych fundacji przyrodniczych, nauczyliśmy się czytać ▶

► tabele taksacyjne, mówiące o skali wycinki w lesie. Przygotowywaliśmy inwentaryzacje, dokumentacje, tworzyliśmy obliczenia. Dzięki temu udało nam się wejść w dyskurs z Lasami. To między innymi dzięki naszej akcji w Lasach Państwowych powstała specjalna komórka do komunikacji w sprawie lasów miejskich – podsumowuje Robert Suligowski.

Plasterkowanie przyrody

Jak podkreśla Marta Jagusztyn, działania na rzecz lasu są bardzo trudne i wymagają długoterminowego zaangażowania. A przykładów sukcesu, jak w przypadku Lasu Mokrzańskiego, jest zaledwie kilka w skali kraju. Jednak takich ruchów społecznych pojawia się coraz więcej. Bo lasy są dla obywateli ważne.

Lasy Państwowe w dużej mierze monopolizują to, co się dzieje wokół polskich lasów.

– Las jest miejscem, gdzie ludzie się regenerują, uspokajają, pomaga utrzymać zdrowie psychiczne, aby nie zwariować w tym coraz bardziej zwariowanym i chaotycznym świecie. Wielu denerwuje też arogancja Lasów Państwowych. Są wściekli, że to rodzaj folwarku. Nie chcą, żeby tak działało polskie państwo. Istotną kwestią jest też nieuchronność wycinek – bo jeżeli Lasy Państwowe wytną komuś las, który jest dla niego ważny, to on tego lasu już nie zobaczy w dojrzałej formie. A także świadomość tego, co nauka mówi na temat zmian klimatycznych, i tego, jak lasy mogą pomóc przed nimi się bronić czy zmniejszać ich skutki – mówi Marta Jagusztyn.

Wrocławianie gremialnie interesują się Mokrzańskim. Aktywiści tworzą więc różne działania edukacyjne na temat lasu, które cieszą się bardzo dużą popularnością.

– One wynikają z potrzeb lokalnych mieszkańców, którzy chcą pogłębić wiedzę o swoim lesie, poznać go z różnych stron. Dlatego organizujemy spacer przyrodnicze czy warsztaty ornitologiczne. Przygotowaliśmy też cykl warsztatów o charakterze

filozoficznym. Rozmawiamy na nich o filozofii współistnienia z naturą, o znaczeniu lasu i jego wpływie na nasz dobrostan, wytyczamy ścieżki filozoficzne, pełne inspirujących, relaksacyjnych miejsc, w których przebywanie pobudza do harmonijnego współdziałania wszystkich zmysłów. Wszystkie te akcje służą budowaniu postawy współistnienia z naturą – opowiada Iza.

Kiedy mijamy zagęszczenie młodych grabów, Grzegorz Idziak (z zamiłowania przyrodnik, z wykształcenia politolog) porusza temat katastrofy klimatycznej. – Naukowcy podkreślają, że graby to jedne z nielicznych gatunków, które przetrwają kryzys klimatyczny. Od przeszło tysiąclecia wycina się je na potęgę, bo mają kruche i poskręcane drewno, w związku z czym

nie można z nich łatwo zrobić konstrukcji budowlanych, mebli. A dziś okazuje się, że ocieplenie klimatu sprawia, że sosny czy świerki umierają, a grab, który ma parę procent udziału w naszych lasach, żyje sobie i ma się świetnie. W dobie kryzysu klimatycznego kluczowe jest także zachowanie wielogatunkowości lasu. To rodzaj ubezpieczenia, bo znaleźliśmy się w takim punkcie, że nie wiemy, które gatunki poumierają nam w najbliższych latach.

Działania na rzecz lasu są trudne i wymagają długoterminowego zaangażowania.

Dalej wchodzimy na łąki, które mienią się bogactwem roślinności, owadów i ptactwa. Cieniem dla grupki osób bawiącej się z psami służy imponujący rozmiar, usytuowany pośrodku dąb. Mokrzańskie łąki to nie tylko rezerwar bioróżnorodności, stanowią też duży korytarz migracyjny dla zwierząt, które wędrują z pobliskiej rzeki Bystrzycy do lasów i z powrotem. Działacze walczą o to, żeby miejsce to znalazło

się pod ochroną. Obawiają się, że miasto sprzeda je pod zabudowę. Oni mają na nie inny pomysł – chcą stworzyć tu „Muzeum żywej łąki” – przestrzeń rekreacyjnych spotkań wrocławian i działań edukacyjnych na rzecz przyrody.

Zachodnia ściana lasu jest już skutecznie odgradzona od kontaktu z doliną Bystrzycy. Wzdłuż niej, przez 700 m ciągnie się zabudowa domków jednorodzinnych, ogrodzonych płotem. A wrocławski magistrat ma w planach tworzenie kolejnych osiedli tuż przy lesie.

– Nie miałbym nic przeciwko kilkukondygnacyjnej zabudowie, odsuniętej o 200 m od ściany lasu. To mogłoby być kompaktowe osiedle, nieogrodzone, które zgrywałoby się z lasem, koegzystowało z przyrodą. Ale my zamiast tego mamy zabudowę jednorodzinną, która wprost niszczy strukturę przyrody. To osiedle wybudowano na terenie mokrych łąk, w związku z czym pogłębiono wykop, który sprawia, że każdy pojawiający się w pobliżu opad deszczu spływa, przez co las i okoliczne łąki wysychają. Te grunty sprzedano 20 lat temu, kiedy nie było powszechnej świadomości kryzysu klimatycznego, ale dzisiaj robi się to nadal. A dla kontynuacji projektów, które defragmentują i osuszają przyrodę, nie ma dziś wytłumaczenia – kwituje Grzegorz.

A Robert dodaje: – Metodą plasterkowania przyrody co sto lat możemy coś ujmować, tak że wkrótce z tego lasu zostanie mały parczek. Problem w tym, że każdy patrzy na

las jako na zasób. Miasto mówi: wybudujemy domy jednorodzinne w ścianie lasu, sprzedamy działki za wysokie ceny. Z kolei leśnicy skupiają się jedynie na pozyskiwaniu drewna. Obie te grupy nie patrzą na funkcje ekologiczne czy ekosystemowe lasu, o ile stopni obniża on temperaturę, ile wody zatrzymuje. A to w dobie kryzysu klimatycznego powinno być priorytetem.

Dominika Tworek

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Po co otwierać mikrofon?

Czym różni się open mic od slamu? I dlaczego warto przyglądać się wspólnotowym praktykom, które powstawały na marginesie życia literackiego, żeby wkrótce stać się jego najbardziej witalnym i eksperymentalnym elementem?

Kiedy w latach 90. zeszłego wieku na imprezach literackich pojawiły się slamy, traktowano je jak coś w rodzaju lokalnego folkloru, który, owszem, jest, ale raczej jako forma zarządzania niezadowolonymi tych, którzy odpadli od oficjalnych hierarchii albo dopiero do nich aspirują. Niewielu urzędników kulturalnych, ale także niewielu poetów, dostrzegło wtedy zalety slamu: jego żywiołowość, egalitaryzm, pewną pozaklasowość, oddolność i wreszcie potencjał subwersywny. Bo slam stoi w opozycji wobec instytucjonalnych uroszczeń, tych obszarów pola literackiego, gdzie liczy się sprawność towarzyska i umiejętność zjednania sobie wpływowych osób. W slampie płynie sobie czysty wiersz, zresztą czasem i niewiersz albo jakaś inna forma – niebinarna, przechylona w stronę hip-hopu czy krótkiego stand-upu. Jak zdefiniować slam? Hasło w Wikipedii nam w tym nie pomoże. Podaje nieprecyzyjną i na pewno już nieaktualną definicję: „Publiczna rywalizacja poetów performerów, najczęściej amatorów”.

Trochę zabawnie brzmi ten „poeta performer”. Bo co, jeśli poeta, nazwijmy go klasycznym, zdejmie podczas czytania sweterek, coś zagada, kartki rozda, puści oczko – jest już performerem czy jeszcze „zwykłym” poetą? Hasło „amator” w Wikipedii też jest mocno dyskusyjne, bo znów prowokuje pytania o klasyfikację i rozróżnienia, które przecież są czysto umowne. I kto miałby stać w opozycji do „amatora” – „zawodowiec”? Oj, poeta zawodowiec brzmi jeszcze bardziej obraźliwie niż amator. Kojarzy się przecież z manieryzmami, aberracją własnego stylu, środowiskowym ustatkowaniem. Ze śmiesznym „zapisaniem się”, z poetami z Massolitu, których Bułhakow dość jednoznacznie sportretował w „Mistrzu i Małgorzacie”.

Możemy już zapomnieć o pogardliwych minkach mainstreamowych poetów (to określenie nadal wydaje mi się zabawne), którzy nie bardzo rozumieli, czy mają oceniać tekst, czy wystąpienie. Krótko mówiąc, czy element performatywny nie bierze tu góry nad merytorycznym. A wystarczyłoby, żeby odpuścili szkodliwą binarność, skostniały „rozsądeczek”, który dziś wydaje nam się

już nieco toporny. Stare „albo, albo” nie opisuje już świata, a slam to w tej chwili konkretny gatunek ekspresji.

Cytowane już tu (chybione) hasło w Wikipedii przywołuje „ucztę grudniową” (Paryż, 1840), gdzie doszło do słynnego improwizowanego pojedynku poetyckiego między Adamem Mickiewiczem i Juliuszem Słowackim. Ale idea slamu jest jak najdalsza od pojedynku, jej wartością jest głównie wspólnotowość doświadczenia pewnej społeczności. I wymiana kapitału symbolicznego między słuchającymi i czytającymi. Ważne jest właśnie to wspólne doświadczenie wymiany ról.

Inny charakter ma open mic (otwarty mikrofon): po pierwsze, nie jest konkursem (ale uwaga: niektóre slamy wygrywają wszyscy startujący ex aequo, ich „konkursowy” charakter też może być dyskusyjny). Po drugie, czytający zwykle rzadziej zwracają uwagę na formę przekazu, możemy więc przyjąć, że czytania będą miały mniej

Stare „albo, albo” nie opisuje już świata, a slam to w tej chwili konkretny gatunek ekspresji.

różnorodny charakter, jeśli chodzi o elementy performatywne. Przesunięcie od teatralności w stronę tradycyjnego czytania jest tu po prostu bardziej jednoznaczne. Podobieństwa ze slamelem są tylko dwa: open mic to także występ w czasie rzeczywistym i może wziąć w nim udział każdy, dlatego jest przedsięwzięciem egalitarnym, nieelitarnym, mniej skonwencjonalizowanym. Natomiast znów – rozwinięcie tego hasła w Wikipedii uważam za chybione: open mic nie jest już zdarzeniem, w którym biorą udział amatorzy czy poeci bez dorobku. To raczej wspólne czytanie wierszy – często po bardziej oficjalnych elementach programu – np. przez poetki/poetów, którzy nie zostali zaproszeni przez organizatorów. Wikipedia podaje także, że „w świecie muzyki pewnego rodzaju odpowiednikiem open mic jest karaoke”. Tu już, że tak powiem, odpłynięto w przedziwnym kierunku. Na szczęście hasła też się zmieniają, teoria próbuje nadążyć za praktyką. Tymczasem cieszymy się ze wszystkich form wspólnotowych czytań, do których nie trzeba namaszczeń mentorów, legitymacji, nagród ani poleceń z książkowych skrzydełek.

Tomasz Skowronek

Parmigiano Reggiano, twardy ser dojrzewający, jest ikoną włoskiej gastronomii. Niestety, zrodził również kwitnący rynek fałszywek. Organizacja, która walczy o ochronę autentycznego produktu, szacuje, że rynek podróbek jest wart 2 mld dol., czyli niewiele mniej od oryginału.

Dwie duże bramy prowadzą do wejścia do FICO Eataly World, największego na świecie rozrywkowego parku gastronomicznego. Monitorowany, ogrodzony teren o powierzchni 100 tys. m kw., zasilany panelami słonecznymi, znajduje się w środku obszaru handlowego Bolonii. Światowe media często nazywają to miejsce Disneylandem gastronomii. Można tu uczestniczyć w warsztatach kulinarnych, zwiedzić interaktywne muzeum żywności i centrum edukacyjne. Ale znajdziemy tu też kino, place zabaw, a przede wszystkim poznamy proces produkcji włoskich specjałów i spróbujemy lokalnych dań. To właśnie z regionu Emilia-Romania pochodzą najsmakowniejsze potrawy: tagliatelle bolognese, lasagne z ragoût, ravioli i tortellini nadziewane warzywami, mięsem lub kasztanami, cappelletti z jajkiem, szynka parmeńska, mortadela czy piadina romagnola. Niemal wszystkim tym potrawom towarzyszy jeden składnik – są posypane lokalnym parmezanem, który ma własne stoisko w FICO i jest dodawany do prawie każdej potrawy.

Produkcja podróbek parmezanu na świecie przewyższyła produkcję oryginału.

„Czasami ludzie mówią mi: »Parmezan dodajesz do wszystkiego, do każdego dania!« – wyznaje Anna Maria Barbieri, szefowa kuchni w restauracji Antica Moka w Modenie. – To moja i bolończyków słabość. Naprawdę dodają go wszędzie. Dla nas, ludzi z regionu Emilia-Romania, parmigiano jest chlebem powszednim. Towarzyszy nam przez całe życie”.

W czasie włoskich przyjęć parmezan leży starty na talerzach. W trakcie



PARMEZAN na celowniku oszustów

Włoscy serowarzy kontra podróbki

aperitivo z przyjaciółmi jest tak samo ważny jak kieliszek wina. Wraz z oliwą z oliwek i pomidorową passatą uchodzi za najważniejszy dodatek. Szacuje się, że przeciętna włoska

rodzina zjada pół kilograma parmezanu tygodniowo, głównie posypując nim makaron.

Co ważne, ser ten może konkurować z prawie każdym pokarmem o wapń, aminokwasy, białko i witaminę A. „Parmigiano ma tysiąc korzyści, nawet dla zdrowia – wyjaśnia Anna Maria Barbieri. – To panaceum. Coś, co daje zdrowie wszystkiemu, z czym się zetknie”.

Faktycznie, ten włoski ser jest bogatym źródłem białka (ok. 40 g na 100 g sera), tłuszczu (30/100 g), a także minerałów, takich jak sód, fosfor, potas i magnez, oraz

pewnych ilości witamin A, B₂, B₆, B₁₂, a także E i D. Dzięki wysokiej dawce aminokwasów (m.in. leucyny, metioniny, fenyloalaniny, tryptofanu, waliny, alaniny, kwasu asparaginowego i glutaminowego) niewymagających trawienia (ok. 17%) parmezan jest zalecany w diecie niemowląt i osób ze schorzeniami trawienia. Porcja 100 g sera zostaje strawiona zaledwie w ciągu 45 minut. Dla porównania – taka sama ilość sera żółtego lub mięsa metabolizuje się przez cztery godziny.

Produkcja parmezanu to skomplikowany proces, choć potrzebne są tylko trzy składniki: mleko, sól i podpuszczka, enzym powodujący zsiadanie mleka. Mleko pochodzi od czterech ras bydła, z których najsmakowniejsza to *vacche rosse* – rzadka rasa krów czerwonych, której liczebność wynosi zaledwie 3 tys. sztuk, czyli

0,01% pogłowia bydła mlecznego w UE. Chodzi jednak o coś więcej.

„Sekretem tego sera jest nie tylko rasa krów, które dają mleko, ale także to, co jedzą”, wyjaśnia Luca Caramaschi, właściciel fabryki Parmigiano Caseificio San Bernardino. Co najmniej 50% suchej karmy dla krów musi pochodzić z siana, z czego aż 75% siana musi być z obszaru produkcyjnego parmigiano, a co najmniej 50% siana z tego obszaru

Włoski bank Credem akceptuje parmezan jako zabezpieczenie kredytów.

produkcyjnego musi być wyprodukowane w gospodarstwie, w którym krowa się urodziła i była hodowana. Do wyprodukowania 1 kg sera potrzeba aż 14 litrów mleka. Ser zaś dojrzewa od dwóch do nawet 20 lat.

Parmigiano Reggiano można wytwarzać tylko na obszarze o powierzchni 10 tys. km kw. – tak dokładnie określonym, że można zrobić parmigiano po jednej stronie miasta Bolonia, ale nie po drugiej. Obszar produkcji obejmuje wyłącznie prowincje Parma, Modena, Reggio-Emilia, Mantua (na wschód od rzeki Pad) i Bolonia. To wszystko sprawia, że parmezan jest jednym z najdroższych serów świata. Cały okrąg może kosztować 500–700 euro. Jest przy tym traktowany i przechowywany jak narodowy skarb. Dostownie!

Włoski bank Credem akceptuje ów ser jako zabezpieczenie kredytów. W 1953 r. kierownictwo banku zdecydowało się przyjmować parmezan jako poręczenie od lokalnych rolników poszukujących pożyczek dla małych firm. Bank przechowuje ponad 300 tys. kół sera. W tym momencie zapas ten wyceniono na ponad 160 mln euro. Na szczęście bank nie składował parmezanu w skarbcu z innymi kosztownościami. Zbudowano w tym celu specjalny magazyn, a odpowiedni zespół opiekuje się parmezanem od momentu, w którym trafi on do magazynu, aż do jego zwrotu rolnikowi od półtora roku do trzech lat później.

Wysoka wartość parmezanu sprawia przy tym, że nie tylko banki, ale

i organizacje przestępcze interesują się tym specjałem. Parę lat temu gangi uprowadzały ciężarówki wypełnione serami. Swego czasu przestępcy zaczajali się zwłaszcza na stacjach benzynowych na autostradzie na trasie Mediolan-Bolonia.

Natomiast w latach 2014-2016 gangi (zazwyczaj z Apulii i albańskie) okradły magazyny rolników. Skradziono wtedy w sumie 600 ton parmezanu o wartości 7 mln euro.

Dlatego w kilku miejscach w regionie Emilia-Romania zbudowano ogromne bunkry, w których ser jest sezonowa-

ny, składowany i przede wszystkim pilnie strzeżony.

Kradzieże to jednak niejedyny problem producentów i rolników. Innym wyzwaniem jest podrabianie parmezanu. Według stowarzyszenia Coldiretti produkcja podróbek Parmigiano Reggiano na świecie po raz pierwszy przewyższyła produkcję oryginału. Jak donosi portal Ansa.it, parmezan jest najczęściej fałszowanym produktem włoskim, a najwięcej podróbek trafia do Ameryki.

W Stanach Zjednoczonych na półkach supermarketów znajdują się sery o takich nazwach jak Parmesana, Parmabon, Real Parma, Parmezan i Parmezano. To pewna wskazówka, że produkt jest daleki od

większość parmezanu, po który sięgają Amerykanie, to fałszywki.

Sporo serów ma kod QR, który pozwala poznać producenta i datę produkcji. Nie jest to jednak system doskonały. Dlatego rozpoczęto nowy eksperyment, polegający na umieszczaniu na specjalnej płytce mikroczipów, który może zawierać więcej danych, zapewniając lepszą identyfikację produktu; do tego to zabezpieczenie jest pewniejsze, ponieważ nie można nim manipulować. Tak symbol włoskiej tradycji staje się high-tech.

Konsorcjum Parmigiano Reggiano nawiązało współpracę z Kaasmerk Matec, producentem talerzy, a także p-Chip, firmą, która stworzyła technologię śledzenia produktów opartą na mikroprocesorach, które nie zmieniają żywności. Chipy są wielkości ziarenka soli, wykonane z silikonu, a według producentów nie szkodzą, jeśli zostaną zjedzone. „Chip ma znaczące zalety. Przede wszystkim nie ulega degradacji. Ser, który może dojrzewać przez 40 miesięcy, jest żywy i zmienia się w czasie; tablica kazeinowa, a w szczególności zawarty w niej kod QR, może ulec degradacji i nie być już czytelna, więc konieczne było znalezienie systemu, który przetrwa”, mówił w rozmowie z dziennikiem „La Repubblica” Alberto Pecorari, szef usług instytucjonalnych konsorcjum Parmigiano Reggiano.

Obszar produkcji obejmuje wyłącznie prowincje Parma, Modena, Reggio-Emilia, Mantua i Bolonia.

autentyczności. Wiele imitacji będzie również po prostu oznaczonych jako parmezan, co jest bezpośrednim tłumaczeniem Parmigiano Reggiano. Dzieje się tak, ponieważ nazwa nie jest zastrzeżona poza UE. Wielu fałszerzy dodaje do, jak deklarują, autentycznego parmezanu, np. sorbinian potasu i celulozę, która jest... miazgą drzewną. Według Nicola Bertinelliego, prezesa Konsorcjum Serów Parmigiano Reggiano, które promuje autentyczny parmezan, poza Europą krąży 15 razy więcej podróbek niż prawdziwego sera. Magazyn „Forbes” pisał nawet, że

W rzeczywistości chip może pozostać niezmienny w temperaturach od 200 st. poniżej zera do plus 500 st., jest odporny na mikrofałę i nie ulega zmianom pod wpływem rozpuszczalników ani odczynników.

Jeszcze w tym roku konsorcjum rozpocznie dodawanie chipów śledzących do prawdziwego Parmigiano Reggiano. Na początek 100 tys. kół sera będzie miało małe znaczniki umieszczone na etykietach kazeinowej. Jeśli eksperyment się powiedzie, mikrochipy staną się trwałym elementem produkcji słynnego parmezanu. ■



Kokainowe hipopotamy Escobara

Wielkie ssaki, kojarzone z afrykańską sawanną, stały się utrapieniem kolumbijskich ekologów

Daniel Brusito

Każdy chyba słyszał o Pablo Escobarze i jego słynnym kartelu. Astrologiczne korzyści z zalewania Stanów Zjednoczonych kokainą w latach 70. i 80. sprawiały, że w kwestiach wydawania pieniędzy panowie z Medellin nie znali słowa ekstrawagancja.

W 1979 r. Pablo ze swoim kuzynem Gustavem Gavirią ukończył budowę Hacienda Nápoles – rancza o powierzchni 3 tys. ha, na którym mieściły się prywatne lotnisko, tor gokartowy, kolekcja luksusowych samochodów czy kości dinozaurów. Jednak tym, co wyróżniało je spośród innych posiadłości, był ogród zoologiczny, pełen słoń, hipopotamów, strusi, żyraf czy antylop. Po upadku imperium Escobara hacjendę przejął kolumbijski rząd, a zwierzęta trafiły do ogrodów zoologicznych. Wszystkie, oprócz hipopotamów,

które z braku pomysłu na to, co z nimi począć, pozostawiono na terenie rancza.

Ciemna strona hipopotamów

Temat zapomnianej spuścizny Pabla powrócił kilkanaście lat później. Hipopotamy z Nápoles zaczęły się pojawiać w okolicznych rzekach, na prywatnych ranczach, a nawet uliczkach pobliskiego miasteczka Doradal. Podmokłe tereny kolumbijskich lasów, bogactwo pożywienia (hipopotamy są roślinożerne) oraz idealny balans między łądem i zbiornikami wodnymi spowodowały, że zwierzęta poczuły się w Kolumbii jak na urlopie w pięciogwiazdkowym hotelu.

Kolumbijski ekosystem, w którym znalazły się hipopotamy, jest niezwykle podobny do warunków, w jakich żyją ich afrykańscy kuzyni. Z tą różnicą, że w Afryce okresowo występujące susze powodują kurczenie się

rzek i jezior, co w naturalny sposób ogranicza populację. Tutaj pora sucha nie występuje, więc zwierzęta przez okrągły rok mają nieograniczony dostęp do zbiorników wodnych i obfitość pożywienia. Żaden z żyjących w Kolumbii mięsożerców nie byłby w stanie zagrozić tej kilkunetonowej górze mięśni, toteż hipopotamy mogą w spokoju jeść i się rozmnażać. Dziś ich liczbę szacuje się na ok. 65-80 sztuk, lecz za 10 lat może ich być nawet 150.

W Doradal je kochają. Hipopotamy mają nawet swój pomnik w centrum miejscowości. Gdy zrobiło się o nich głośno, turyści zaczęli zjeżdżać w te rejony. Niestety, badania przeprowadzone w gminie Puerto Barrio nie są tak optymistyczne. Hipopotamy to agresywne zwierzęta, które zaciekle bronią swojego terytorium. Większą część dnia spędzają ukryte tuż pod powierzchnią wody, przez co stanowią śmiertelne

zagrożenie dla lokalnych rybaków, którzy nieświadomi ich obecności mogą podpłynąć za blisko i znaleźć się w zasięgu ich kłów.

Prof. Santiago Monsalve z Uniwersytetu Lasallian utrzymuje, że dzikie hipopotamy zabijają w Afryce rocznie ok. 500 osób. To 50 razy więcej niż budzące powszechną grozę rekiny. W Kolumbii do pierwszego groźnego incydentu doszło w maju 2020 r. Luis Enrique Díaz Flórez, pracownik jednego z rancz w sąsiedztwie parku Nápoles, został zaatakowany, gdy czerpał wodę z bajora na terenie gospodarstwa. Pamięta tylko, że w jednej chwili pochylił się nad taflą jeziora, a dwa tygodnie później ocknął się w szpitalu z poważnymi obrażeniami klatki piersowej, płuc i nogi.

Obecność hipopotamów może być problemem także dla środowiska, w którym żyją. Jedno zwierzę zjada dziennie ok. 70 kg roślinności porastającej brzegi rzek i jezior. To ponad 2 tony miesięcznie. Mnożąc to przez ok. 70 sztuk, otrzymujemy 1764 tony rocznie. Przybrzeżne trawy szybko się regenerują, lecz tak wielkie czyszczenie brzegów doprowadzi w końcu do ich jałowienia, a w efekcie do trwałego przekształcenia się ekosystemu. Hipopotamy większość czasu spędzają w jeziorach, gdzie śpią, jedzą i defekują. Stojąca, bagna sta woda dostaje wówczas olbrzymi zastrzyk składników odżywczych. Zwiększa to liczebność zielonych alg, które z kolei zabierają tlen rybnym i zmniejszają ich populację. Obecność hipopotamów w rzekach może również doprowadzić do wyparcia z tych terenów manatów karaibskich, zagrożonego wyginięciem gatunku wodnego ssaka, który żyje w wodach pobliskiej rzeki Magdaleny.

Bogota, mamy problem

– Pierwszą linią obrony przed inwazją hipopotamów była eutanazja, odstrzał – komentuje Germán Jiménez, doktor biologii i profesor na Papieskim Uniwersytecie Javierian, jednej z najstarszych uczelni w Kolumbii. – W tym momencie nie jest to jednak możliwe, gdyż w 2012 r. kolumbijski sąd zakazał ich

eksterminacji. Kuriozalna decyzja, biorąc pod uwagę, że w Kolumbii codziennie zabija się pumy, jaguary i inne pozbawione prawnej ochrony rodzime gatunki, którą niespodziewanie objęto inwazyjnych afrykańskich gości. Problem hipopotamów w Kolumbii powinno rozwiązać się rozumem, nie sercem. Niestety, rządzący widzą to inaczej.

Odstrzał hipopotamów praktycznie stał się niemożliwy już w 2009 r., kiedy zabito pierwsze zwierzę. Pepe był „recydywistą”, którego kilkakrotnie przenoszono z terenów prywatnego rancza, gdyż stanowił zagrożenie dla mieszkających tam ludzi, lecz za każdym razem wracał do „swojego” bajora. Ówczesny minister środowiska zatrudnił specjalny zespół,

Dziś liczbę hipopotamów w Kolumbii szacuje się na 65-80 sztuk, za 10 lat może ich być nawet 150.

który miał się zająć problemem, lecz sytuacja szybko wymknęła się spod kontroli. Do sieci przeniknęły zdjęcia, które członkowie armii kolumbijskiej, wyznaczeni do ochrony weterynarzy, robili sobie z martwym zwierzęciem. W kraj poszła plotka, że wojsko zabija hipopotamy. Wybuchł skandal, który spowodował wycofanie się rządu z planów „siłowego” rozwiązania.

Alternatywą dla zabijania wielkich ssaków jest ich relokacja. Pierwszym pomysłem było odesłanie hipopotamów do Afryki. Niestety, kolumbijskie hipopotamy nie mają paszportów sanitarnych. Wiadomo tylko, że przybyły tu ponad 30 lat temu z ogrodów zoologicznych w USA, gdzie prawdopodobnie przyszły na świat. Nie wiedząc nic o ich dokładnym pochodzeniu, afrykańskie państwa nie zgodziłyby się na ich przyjęcie, gdyż mogłyby stanowić zagrożenie dla tamtejszych ekosystemów. Tropikalne bakterie i pasożyty z Kolumbii, które prawdopodobnie przybyłyby razem z hipopotamami, mogłyby mieć zgubny wpływ na afrykańską faunę i florę.

Niemożliwy także był masowy odtów żywych zwierząt oraz oddanie ich do południowoamerykańskich

ogrodów zoologicznych i rezerwatów dzikich zwierząt. Ze względu na wysokie koszty oraz brak infrastruktury w parkach, która spełniałaby potrzeby zwierząt, ten pomysł także porzucono. Frederick Pfeilschneider, weterynarz, który uśmiercił Pepe, w wywiadzie dla Radia W przekonywał, że wyłapywanie i relokacja hipopotamów to niezwykle skomplikowane przedsięwzięcie: – Zwierzęta te muszą przebywać przez 20 godzin dziennie w wodzie. Ze względu na ich wagę (ok. 3 ton) i agresywność trudno dobrać odpowiednią dawkę środka usypiającego, zwłaszcza dla zwierząt żyjących na wolności, których nie można wcześniej dokładnie zbadać. Niewłaściwa dawka leku może spowodować, że zwierzę

umrze w męczarniach na niewydolność płuc lub przedwcześnie przebudzi się z narkotycznego snu i zaatakuje ludzi i sprzęt.

Buki jest jedynym „kolumbijskim” hipopotamem, którego udało się umieścić w ogrodzie zoologicznym. Pierwsze dwa lata spędził w rzece Magdalena, po czym trafił do oddalonego o 250 km zoo Santa Cruz w pobliżu Bogoty. Jego relokacja kosztowała 15 mln pesos (15 tys. zł). Dalsze prace nad programem transferu hipopotamów potwierdza dyrektorka ogrodu zoologicznego Santa Cruz Vivian Bernal. Rozmowy prowadzone są także z zoo w Guasca w regionie Cundinamarca, a także z placówkami w Ekwadorze, Peru, Urugwaju i Meksyku. Niestety, mowa tu o kilku sztukach. Jaki los czeka resztę stale powiększającej się kolonii?

Wbrew temu, co powszechnie sądzono, obecność hipopotamów w Kolumbii może mieć także pozytywne konsekwencje, np. przyczynić się do odtworzenia „zaginionego świata”. Najnowsze badania opublikowane w materiałach Narodowej Akademii Nauk prowadzonej przez amerykański uniwersytet Massachusetts Amherst wskazują, że ▶

► hipopotamy wcale nie muszą być aż tak „obce” dla kolumbijskiego środowiska.

Zespół naukowców przeanalizował dietę, siedliska i morfologię 427 gatunków dużych, ważących ponad 10 kg, wymarłych roślinożerców z regionu. Stwierdzono, że hipopotamy współdzieliły pewne cechy z gatunkami, które zamieszkiwały tereny dzisiejszej Kolumbii w okresie późnego plejstocenu (116-12 tys. lat temu).

– Dieta dzikich hipopotamów jest niezwykle podobna do zwyczajów żywieniowych wymarłego gatunku wielkich lam. Natomiast ich rozmiary oraz półwodny tryb życia odpowiadają toksodonom, ssakom z rzędu notoungulatów, które przed tysiącami lat zamieszkiwały Amerykę Południową. Hipopotamy nie zastępują żadnego z tych gatunków, lecz z powodzeniem mogą wypełnić lukę, która powstała po wyginięciu ich przedwiecznych kuzynów – przekonuje John Rowan, naukowiec z Wydziału Biologii Organizacyjnej i Ewolucyjnej, kierujący badaniami.

Tykająca bomba hipopotamowa

Obecnie kwestia hipopotamów z Puerto Triunfo stanęła w martwym punkcie. W 2021 r., dzięki współpracy z rządem Stanów Zjednoczonych, zainicjowano pilotażowy program sterylizacji zwierząt. Ograniczy to dalsze namnażanie się wielkich ssaków, lecz w żaden sposób nie rozwiązuje patowej sytuacji, w której znajdują się kolumbijskie władze. Od chwili wydania federalnego zakazu odstrzału hipopotamy żyją w swoim nowym niebie – bez przeszkód pochłaniają kilogramy trawy dziennie i rodzą kolejne młode. Ekolodzy uważają, że rosnąca ich populacja to tykająca bomba zegarowa, lecz nikt nie kwapi się do rozwiązania problemu.

– Z etycznego punktu widzenia żadne żywe stworzenie nie powinno cierpieć z powodu ludzkich błędów i złych decyzji, lecz nie możemy pozostawić ich samym sobie. Trzeba podjąć konkretne decyzje, w przeciwnym razie za 10 lat staniemy w obliczu prawdziwej inwazji, z którą nie

będziemy w stanie sobie poradzić – twierdzi Brigitte Baptiste, badaczka z kolumbijskiego Instytutu Badań Zasobów Naturalnych im. Alexandra von Humboldta.

Prawdopodobnie sytuacja nie zmieni się do czasu śmierci jednego z turystów, który, wierząc w łagodność słodkich ssaków, zamarzył o selfie z hipciem i podejdzie o jeden krok za blisko. Kolumbijscy biolodzy obawiają się, że kolejne ataki na ludzi to wyłącznie kwestia czasu, gdyż Hacienda Nápoles to dziś jedna z największych atrakcji turystycznych regionu. Rocznie odwiedza ją ponad 50 tys. osób marzących o pamiątkowym kubku z wizerunkiem słynnego barona narkotykowego oraz zdjęciu z ogromnym ssakiem. Jak do tego czasu potoczą się losy ogromnych maskotek Pablo Escobara? Czy staną się plagą, z którą kraj będzie się zmagał przez następne lata? Czy kolumbijski rząd wytoczy przeciwko nim ciężkie działa, czy raczej wejdzie w mariaż z afrykańskimi gigantami?

Daniel Brusito



Siostry zbierają 7400 zł do 15 lipca, by żyć!

Poznaj Siostry. Balbinka i Jadzia. Zawsze razem, przez życie i korytarzem ku śmierci, która czai się na małe kucyki. Zawsze wtulone w siebie, jakby miało to coś zmienić. Stoją na swoich krótkich, trzęsących się nóżkach. Gdyby mogły, zapadłyby się pod ziemię. Nie uda się. Pod sterą odchodów jest betonowa posadzka.

Patrz na mnie bez grama ufności, bo coś mogłabym od nich chcieć. Już tyłu coś chciało, i od tych wszystkich chęci stały się wrakiem. Jedna kulawa, druga bardzo ciężko oddycha, gdy ruszy się z miejsca. Nikt nie sprawdzał powodów. Takie sprawdzanie przecież kosztuje. A w ich wieku są już tylko kosztem. To nie czas na inwestycje, które nigdy się nie zwrócą. Ludzie takich nie lubią.

Podchodzę nieco bliżej, a one wtulają się w siebie jeszcze bardziej. Handlarz mówi, że aż załzyłoby nie ubić razem. Wręcz nie wypada.

Nie wiem, czy naprawdę są siostrami, czy po

prostu kawał życia spędziły razem. Handlarz mówi, że stały u chłopa i tam rozdziły żrebacki. I pewnie robiły jeszcze mnóstwo innych rzeczy, aż pewnego dnia Balbinka okulała. A kulawa nie nadaje się do niczego. Jadzia nie miała więcej szczęścia. Od dawna miała problem z oddychaniem każdej wiosny. No więc była typowym darmożędem, bo po kilku krokach jej oddech robił się ciężki, oczy ogromne. Typowy skazaniec, bez apelacji.

Więc wyrok nie był niespodzianką. Zapadał latami, wkładał się do stodoły i czekał, sezon za sezonem. Jakby wiedział, że wystarczy trochę cierpliwości. A Balbinka i Jadzia będą jego.

Bez sentymentu właściciel zadzwonił w tamten lipcowy dzień po handlarza. Biznes to biznes. A że kucyki to jedyny biznes tego gospodarstwa, siostry nie miały szans na inne jutro. Może gdyby o tym wiedziały, nie starałyby się tak bardzo.

Przyjechał więc handlarz na wezwanie. Pewnie nocą, żeby na wsi nie gadali. Wyprowadził je ze stodoły, wiatr rozwiał im grzywę, a ziemia otuliła małe kopytka. Weszły potulnie, bo sprzeciw to bat. A bat zawsze boli małe kucyki gdy tną skórę.

Balbinka i Jadzia nie mają adwokata. Nie stać ich. Nikt ich nie będzie bronił, wyciągał na światło dzienne zasług, i nie ma drugiej instancji ani żadnego odwołania.

Dziś mają jedyną szansę. Swoje 5 minut. Mogą błagać o życie. Tylko dziś Balbinka i Jadzia mogą spróbować Cię przekonać, że warto dać im jakieś jutro, jeszcze kilka wschodów i zachodów słońca i kolejną złocistą jesień, gdy chłodny wiatr rozwiewa czerwone liście pod małymi kopytkami. Choć do dziś czerwone liście widywały tylko przez szparę w drzwiach, gdy wrześniey wiatr rozwiewał rok rocznie ich marzenia, że coś się zmieni.

Gdy teraz przyjdzie wrześniey wiatr, już ich nie zastanie w tej stodołę na krańcu wsi. Gdy wpadnie wrześniey wiatr przez szparę w drzwiach, tam będą już tylko smętnie wiszące liny i błakające się po kątach wspomnienia o dwóch małych kucykach, które spędziły tu wiele jesieni. A one minionego lata wdrapały po trawie, kopytko za kopytkiem, i pojechały tam, gdzie wąskim korytarzem małe kucyki idą ku swemu przeznaczeniu.

Jesteś jedyną opcją. I jedyną nadzieją. Jadzia i Balbinka muszą zebrać 7400 zł do 15 lipca. Pomożesz im, by wiatr je jeszcze znalazł?

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem JADZIA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści JADZIA na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus
ul. Walbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław, tel. 518 569 487, tel. 518 569 488, www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj! Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rikm>



Co ma robić ambasador

Piszcie do mnie listy! Wszystkie czytam! – wołał do ambasadorów Andrzej Duda podczas dorocznej narady. No to teraz zastanówmy się, jak mają to robić i jak to wszystko będzie wyglądać.

Po pierwsze, pisanie listu do prezydenta RP nie jest proste, bo pocztą ambasador wysyłać go nie powinien. Równie dobrze mógłby zamieścić wpis na Facebooku.

Zatem szyfrogram? Ale to też nie jest dobra droga. Pomińmy fakt, że nie każda placówka ma łączność szyfrową, te mniejsze jej nie posiadają. Więc wiadomości wymagające tajności wędrują pocztą kurierską albo do centrali, albo do dużej placówki i stamtąd są przysyłane do Warszawy.

Ale to nie rozwiązuje sprawy. A to z tej prostej przyczyny, że nie można wysłać zaszyfrowanej depeszy do Pałacu Prezydenckiego. Trzeba ją wysłać poprzez Biuro Łączności MSZ. A i wówczas, zanim taka korespondencja trafi na biurko Andrzeja Dudy, wcześniej będzie na biurkach wiceministra, ministra, dyrektora departamentu kierunkowego. A także na biurkach przy ul. Miłobędzkiej, bo – jak każdy wie – szyfranci podlegają innej służbie.

Innymi słowy, zwykły ambasador nie ma możliwości przekazania jakichś ekstra informacji wyłącznie prezydentowi. Chyba że wykona jakiś myk. Na przykład przekaże list poprzez osobę godną zaufania. Ale jak taką znaleźć?

Jest na to sposób i Andrzej Duda o nim napomknął – mówiąc, by kontaktować się albo z nim, albo z jego współpracownikami. Oto czytelna zachęta – ambasador powinien zorganizować jakieś wydarzenie, na które mógłby zaprosić przedstawiciela Kancelarii Prezydenta.

Tylko że to nic nowego. Wspomnienia ważnych osobistości z czasów Polski Ludowej są aż gęste od podobnych opowieści. Że gdy bywali na delegacjach za granicą, opiekowali się nimi szefowie placówek, organizowali program turystyczny, program kulinarny i w ten sposób mieli szansę dobrze się zaprezentować i zadzierzgnąć bliższą znajomość. Takie kontakty pomagały później w karierze, otwierały wiele ważnych drzwí.

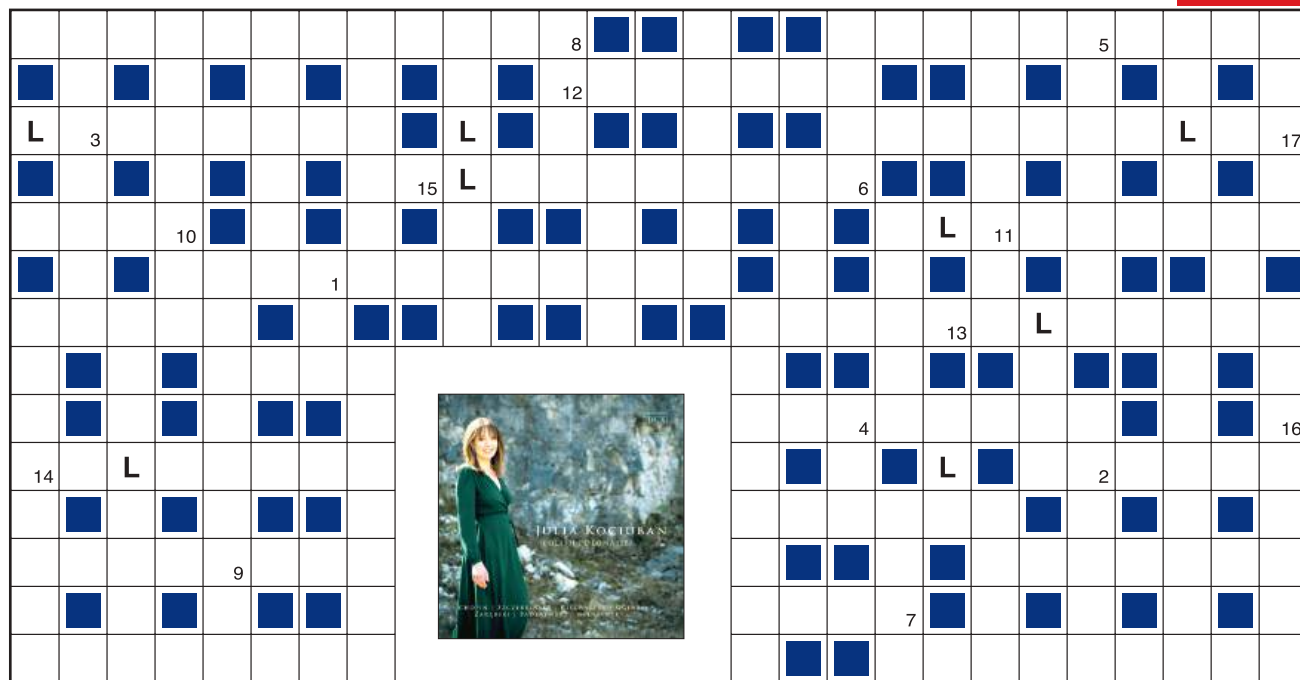
Dziś to się zmieniło o tyle, że wyjazdów za granicę jest całe multum, więc opieka nad „szeregowymi” posłami czy nawet ministrami spada już na młodszy personel. I to często jest dla nich upiorne zadanie – przywożenie i odwożenie na lotnisko, praktycznie codziennie, różnych delegacji. Często mało ważnych, za to z wielkimi oczekiwaniami. Ambasador musi zatem być w tych sprawach dobrym graczem. Wiedzieć, kogo dopieścić, a kogo odpuścić.

Na marginesie tych rozważań warto dodać, że wezwanie do aktywności ambasadorów również nie jest nowe. Żeby nie sięgać głęboko w przeszłość – swego czasu Radosław Sikorski domagał się, by ambasadorowie byli aktywni na Facebooku i Twitterze. Byli więc aktywni, kręcili różne filmiki. Jedni pokazywali, jak układa się widelce, drudzy śpiewali (np. po koreańsku), trochę się wygłupiali. Wpływu na efektywność naszej polityki zagranicznej to nie miało, czego innego świat oczekuje od dyplomacji, ale Sikorski się cieszył. Za Waszczykowskiego z kolei trzeba było wyświetlać „Smoleńsk”. A teraz wypada, by organizować eventy z udziałem prezydenckich ministrów. Najlepiej antyrosyjskie.

Ech, szanowny panie prezydencie... Mówisz i masz!
Attaché

Na targu w syryjskim mieście Al-Bab w prowincji Aleppo trwają przygotowania do muzułmańskiego Święta Ofiarowania. Zgodnie z tradycją co roku w ofierze składane są zwierzęta – krowy, wielbłądy, kozy i owce.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 17 utworzą końcowe hasło.

- dopisek, uwaga
- imię córki Jerzego Buzka
- cyrkowiec ekwilibrysta
- film z Willem Smithem jako bokserem
- blotnisty stawek
- tam zmarła królowa Bona
- coraz wyższe w sklepach
- ...na posylki
- krasomówca ma ...przemawiania
- przywóz towaru, zaopatrzenie
- maszyna jak bayraktar
- o drobnomieszczaństwie, kultuństwie
- pojazd konny do przewozu pasażerów i poczty
- kabotynizm, szpanerstwo
- gospodarstwo rolne
- uzbrojony okręt wojenny, i ptak
- ...I Barbarossa
- popularna w PRL jak goździk i frezja
- squaw u jego boku
- forma rozliczeń bezgotówkowych za pośrednictwem banku
- wybredny wyjada najsmaczniejsze
- japoński strój i rękawów krój
- zawiadomienie o czyjejś śmierci i pogrzebie
- żartobliwie o fryzurze
- przebranie, strój aktora
- niespecjalista
- słownik o charakterze encyklopedycznym
- państwo macierzyste wobec swoich kolonii
- zbyttnia prostota i łatwowierność
- kapitan u Verne'a i rybka z kreskówki
- nosa – to katar
- dezynwoltura
- poeta Cyprian Kamil
- harcerski, językowy, wędrowny
- Francuzki ze stolicy, jakże stylowe
- brudna woda po zmywaniu
- Dakar lub rowerowy
- romantyczne spotkanie
- nie buja w obłokach
- jego „Zwierzyniec” i „Zwierciadło”
- imię aktorki Gąsiorowskiej
- ćwiczenia przed startem
- subtelna – to niuans
- dawna ręczna broń palna o długiej lufie
- skoro... – bardzo wcześniej
- stolica Estonii
- pełnomocnictwo
- cukrowa na patyku
- zajrzenie do czegoś, by skontrolować
- ...Sam, czyli USA
- wiejski fartuch z wełny

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązywania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1073”. Do rozlosowania CD „Julia Kociuban. Polish Polonaises” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 17 lipca 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1070” z nr. 26: *Strach wyostrza zmysły.*
Nagrody otrzymują: Andrzej Bas z Krakowa, Zofia Biszewska ze Szczecina, Ewa Filipowicz z Kielc.

PENETRACJE

zwierciadło **OLGA TOKARCZUK,**
PISARKA

Uważam, że feminizm jest czymś oczywistym i normalnym. To antyfeminizm i patriarchyta są zaburzeniami podstawowej moralnej normy. Feminizm uważam za naturalny, pozbawiony uprzedzeń przejaw ludzkiego poczucia sprawiedliwości i solidarności. Zdrowi psychicznie, normalni, wrażliwi ludzie są feministami.

MONDE diplomatique **PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,**
REDAKTOR NACZELNY

Wojna i inflacja stały się straszakami, przy użyciu których neoliberalowie chcą złapać nowy oddech. Celem jest po prostu przykręcenie ekonomicznej śruby klasom pracującym. W retoryce neoliberalnej to one są przyczyną szalejącej inflacji. To transfery socjalne rozgrzewają gospodarkę do czerwoności. To progresywne podatki, wczesne emerytury i ZUS odpowiadają za prognozowany spadek PKB. Pomysł na kryzys, jaki się z tego wylania, jest taki jak zawsze: „zabrać biednym, oddać bogatym i jeszcze zmniejszyć im podatki”. A jakby co, wszystko zwać na Putina. Natomiast protestujących przeciw kolejnej fali pauperyzacji okrzyknąć rosyjskim trollami.

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

ANDRZEJ SEWERYN,
AKTOR, DYREKTOR
TEATRU POLSKIEGO

Jacek Kuroń jeszcze w harcerstwie mówił, że najgorsze jest kwękanie, narzekanie. I ja kwękania staram się unikać. Obawiam się, że po zmianie władzy w 2015 r. zbyt wiele zaczyna się i kończy na narzekaniu. Zamiast kwękać, warto być czujnym. Czujność obywatelska to dla mnie ważna rzecz. Chodzi o to, żeby zwracać uwagę na zło i nie czynić zła w imię dobra. Paula Sawicka i jej Otwarta Rzeczpospolita już wiele lat temu mówiła o pojawieniu się języka nienawiści. O zagrożeniach z tego płynących. Dziś język nienawiści jest polską codziennością.

TYGODNIK ANGORA

KATARZYNA WILK-WASICK,
WICEMISTRZYNI ŚWIATA
W PŁYWANIU

50 metrów pokonuję na bezdechu. W perfekcyjnym wyścigu zaczerpnąć powietrze można dopiero na mecie. Każde odwrócenie głowy to przecież strata setnych sekundy. Wykonuję mnóstwo pracy, by powiększyć objętość płuc, nie martwić się o brak tlenu i przepłynąć ten szalony dystans na maksymalnych obrotach. To nie jest „mielenie wody”, chodzi o wykonanie mocnych, ale efektywnych ruchów. Każdy pływa inaczej. Niektóre rywalki biorą jeden oddech w czasie wyścigu, rzadko dwa.

Aby język giętki...

PROF. CEZARY SZCZYLIK
O SZCZEPIENIACH

W PRL system szczepień był wzorcowy. Wszyscy byli zaszczepieni. Dzięki temu nie ma gruźlicy, krztuśca, tężca, ospy prawdziwej, odry.

TOMASZ SEKIELSKI
O PRACY Z TOMASZEM LISEM W TVN

Jego styl zarządzania redakcją opierał się raczej na używaniu kija niż marchewki. Wybuchy złości, nieustająca presja sprawiały, że nie wszyscy wytrzymywali tę swoistą tresurę.

RADOSŁAW SIKORSKI
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

W 2016 r. miał tajne spotkanie z Merkel w zamku Meseberg pod Berlinem.

PROF. MAGDALENA ŚRODA
O MARIUSZU BŁASZCZAKU

Wypowiada się jak Kaczyński, myśli jak prezes, gniewa się jak prezes, ma takich samych wrogów, identyczne opinie, jest tak samo jak prezes wrażliwy i dosłownie na to samo.

MAREK POL O WINIETACH

Moja propozycja upadła, bo PSL nie dostał od Millera dziewięciu stanowisk wiceministrów i zagłosował przeciw.

GRZEGORZ JARZYNA
O PROTESTACH AKTORÓW TR

W naszej pracy od miłości do niechęci jest bardzo niedaleko. Nie ignoruję tego protestu.

KUBA WOJEWÓDZKI
O FESTIWALU W OPOLE

Największym przebojem było namiętne pokazywanie przez TVP prezesa Jacka z małżonką.

MACIEJ RYSZCZUK O TRENINGACH
MOTORYCZNYCH IGI ŚWIĄTEK

Nie lubi bezczynności, więc w przerwach marudzi. Zwłaszcza gdy pracujemy nad siłą.

NATALIA KUKULSKA O AMBICJACH

Ambicje to największa ze zmór mojego życia. Rosły i podlewałam je od dziecka, bo cały czas mierzyłam się z przeszłością.



Gdy kuszą ponczowe ciasta, nawet modlitwa nie pomoże. Krystyna Pawłowicz i kard. Kazimierz Nycz podczas uroczystości w Nuncjaturze Apostolskiej.



Na widok słodczy prawica kwiczy

We Wrocławiu i w Warszawie ruszyły pierwsze w Polsce cukiernie erotyczne. Tak chyba należy bowiem nazwać lokale sieci Dickery (w wolnym tłumaczeniu: K*taśiarnia), serwujące gofry w kształcie penisów i wagin, co ma „przywoływać myśli o radości, równości i akceptacji”. Przedsięwzięcie zostało już potępione, m.in. przez Krzysztofa Bosaka. „Smutno, że najgorszy ściek świata zachodniego wlał się już do Polski, niszczy serca, umysły i ciała dzieci i młodzieży”, napisał o frywolnych wyrobach na Twitterze. Pewnie na samą myśl o nich dostaje wypieków...

Za kraty za szkło na kwiaty?

Stołeczni policjanci zatrzymali 85-latkę, który ukradł luksusowy wazon, by podarować go żonie. Gdy naczynie marki Versace zniknęło ze sklepu firmowego, operacyjni szybko wytypowali prawdopodobnego sprawcę. Nie mylili się: poszukiwany przedmiot, wypełniony kwiatami, zdołał stół w mieszkaniu małżonków. Łup romantyka został zabezpieczony, a on sam zatrzymany. Jeśli miłość nie zostanie uznana za okoliczność łagodzącą, to co nią jest?



Wiemy, co złego zrobisz, kolego

„New York Times” twierdzi, że chińska administracja pracuje nad systemem przewidującym przestępstwa. Będzie on przeczesywał dane na temat obywateli i ich codziennych aktywności, ze szczególnym uwzględnieniem osób z kryminalną przeszłością lub problemami psychicznymi oraz przedstawicieli mniejszości etnicznych i migrantów zarobkowych. Na podstawie zidentyfikowanych wzorów i odchyień od normy będzie następnie szacowane prawdopodobieństwo złamania prawa. Przykładowo, system będzie automatycznie powiadamiać policję, gdy w jednym miejscu znajdzie się kilka „podejrzanych” jednostek. Ciekawe, co będzie następne: nakładanie przez drogówkę mandatów z rocznym wyprzedzeniem?



Co w głowie, to w aktach

Dopracowywana jest także amerykańska technologia czytania w myślach, która ma m.in. pomóc ograniczyć liczbę niesłusznych wyroków skazujących. Complex Trial Protocol, opierający się na analizie fali mózgowej znanej jako P300, pozwala ustalić, czy dana osoba reaguje na znane sobie informacje związane z przestępstwem. Stosowny test pozwala choćby potwierdzić, czy świadek rozpoznaje prezentowaną mu twarz, co ma znaczenie dla oceny jego wiarygodności. Chcąc wykiwać CTP dobrze radzimy: nawet o tym nie myślcie!



Różańcem w kły

Za równowartość 71 tys. zł sprzedano na aukcji zabytkowy zestaw do polowania na wampiry. Należał on do sir Williama Malcolma Haileya, kolonialnego administratora Indii Brytyjskich, a składają się na niego m.in. krucyfiksy, woda święcona, Biblia i różańce, ale także pistolety, drewniany młotek i kołek. Nie wiadomo, czy lord wierzył w istnienie krwio pijących demonów, czy traktował pakiet jako ciekawostkę, ale jedno jest pewne: przezorny ubezpieczył także od wampirzy.

Wiara czyni bardziej pijanym

Z Ameryki Północnej napływają kolejne potwierdzenia, że efekty odurzenia alkoholem zależą od przekonań na



Mający 3 m wysokości szkielet gorgozaura zostanie wystawiony na aukcji w domu aukcyjnym Sotheby's w Nowym Jorku. Spodziewana kwota ze sprzedaży – od 5 do 8 mln dolarów.

jego temat. Prof. Yann Cornil z Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej dowiódł, że wódka z napojem energetycznym działa znacznie mocniej na tych, którzy wierzą, że takie połączenie bardziej uderza do głowy niż np. miks gorzałki z sokiem. Z kolei prof. Andrew Lac z Uniwersytetu Kolorado wykazał, że zachowania alkoholowe – to, czy ktoś po paru głębszych staje się zrelaksowany, hulaśliwy czy skłonny do ryzyka – mają charakter samospełniających się przepowiedni, mających niewiele wspólnego z oddziaływaniem etanolu na układ nerwowy. Ciekawe, czy ktoś sprawdził, jaką moc mają wyobrażenia na temat kaca.



FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, SARKA FARKA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, A-MEM, SIPA USA/EAST NEWS



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogotkiewicz

e-mail: a.gogotkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),

Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),

Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,

Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),

Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),

Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,

Jan Ordyński, Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,

Eliza Sarnaacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),

Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,

Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,

Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,

Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczkowski,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytary: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruk po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtusa 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBPPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Beksiński na Śląsku



Ekspozycja obejmuje ponad 50 obrazów Zdzisława Beksińskiego oraz obszerną wystawę multimedialną „Beksiński Multimedia Exhibition – Human Condition”. Towarzyszą jej pokazy filmów o życiu artysty, spotkania z jego przyjaciółmi, panele i dyskusje, a także koncert finałowy „Świat Mistrza Beksińskiego”. Jest to pierwsze w Polsce tak kompleksowe przedsięwzięcie artystyczne poświęcone twórczości słynnego malarza. Zdzisław Beksiński stworzył swój oryginalny i sugestywny sposób malowania, poza obowiązującymi modami i trendami. Na wystawie widoczne są dwa najważniejsze i najbardziej fascynujące okresy jego twórczości. Pierwszy to okres fantastyczny, przypadający na lata 70. i początek lat 80. XX w., najbardziej dynamiczny, wizjonerski i wzbudzający wśród widzów ogromne emocje. Drugi, przypadający na lata 90. i początek XXI w., to czas przemiany, w którym artysta w sposób wyważony, niezwykle malarski kreuje nowe wizje. Wszystkie wybrane obrazy są niezwykle różnorodne, spinają kłamrą lata 1970-2005 i pozwalają zaobserwować rozwój oraz dojrzewanie sztuki artysty.

Tichauer Art Gallery
Tychy, ul. Browarowa 21
do 25 września

KUBA,
Dawca szpiku

ANIA,
Dawczyni szpiku

**BEZ WZGLĘDU
NA DYSTANS,
ŁĄCZĄ
NAS GENY**

W Polsce co 40 minut ktoś dowiaduje się, że
choruje na nowotwór krwi min. białaczkę.
TY TEŻ MOŻESZ POMÓC!

**ZOSTAŃ DAWCĄ SZPIKU
I ZAMÓW PAKIET
NA DKMS.PL**

• TEATR CAPITOL •

PRZEBOJOWE KOMEDIE ♦ GWIAZDORSKIE OBSADY ♦ PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI

Capitalne lato!

• klimatyzowane sale teatralne • orzeźwiające napoje •



#kopciuszek
piątek, 15 lipca g.10:00



Kiedy kota nie ma...
piątek, 15 lipca g.19:00



Klimakterium II
sobota, 16 lipca g.19:00



Brzechwa 2020
niedziela, 17 lipca g.11:00



Pinokio
czwartek, 21 lipca g.10:00



O co biega?
czwartek, 21 lipca g.19:00



A mi to rybka!
piątek, 22 lipca g.19:30



Kiedy kota nie ma...
sobota, 23 lipca g.19:00



Alibi od zaraz
sobota, 23 lipca g.19:30



Klimakterium I
niedziela, 24 lipca g.18:00

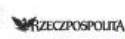
GRAMY PRZEZ CAŁE LATO!

• KUP



• www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni



Partnerzy Teatru



TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 9ad373cca2